

Nadwiśloceze

OGÓLNOPOLSKI KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY NR 1 (30) 2011

www.promocja.mielec.pl

KOLPORTAŻ MIELEC - ZIEMIA MIELECKA - PODKARPACKIE I OKOLICZNE - PRENUMERATA KRAJOWA I ZAGRANICZNA

Nr indeksu 381802 cena 5 zł (w tym 8% podatku VAT)



**HITLEROWSKIE
NAUKOWE BADANIA”
ANTROPOLOGICZNE**

W BOROWEJ k. Mielca str.47-49

ANTONI KANIA - astronom z Mielca - str. 15-19



str. 12-13

Leszek Deptuła we wspomnieniach

ISSN 1731-5697



SERWIS KLIMATYZACJI
 Napelnianie układów
 Płukanie układów **samochodowej**
REGENERACJA SPRĘŻAREK
 Dorabianie węży
 Sprawdzanie szczelności **klimatyzacji**

Klim-FAF
 kom: 503 507 206
 tel/fax: (17) 585 33 26

39-300 Mielec
 ul. Wojsławska 62
 e-mail: firma@klim-faf.pl
 www.klim-faf.pl

MARKPOL
 transport towarów i osób na terenie Polski i Europy
 CHORZELÓW 20
 tel. 17 584 1448, 796969151
 www.markpol.mielec.pl

nowa linia - konkurencyjne ceny
MIELEC - KRAKÓW
 (Stara Stacja PKS) Przez Szczucin (Dworzec Główny)
KRAKÓW - MIELEC
 (Dworzec Główny) Przez Szczucin (Stara Stacja PKS)

**WYNAJEM LUKSUSOWYCH
 BUSÓW I AUTOKARÓW**

MAKFOL
 ODZYSK SUROWCÓW WTÓRNYCH

39-300 Mielec
 ul. Piaskowa 9 (baza GS)
 tel. 17 583 70 20
 kom. 609 717 135



**Manhattan
 NIGHTCLUB**

tel. 17.780.07.74-Rezerwacje
 Mielec, ul. Powstańców Warszawy 2
 Klub mieści się w nowo otwartym basenie na Osiedlu Smoczka

KAMIENIARSTWO
NAGROBKI
GROBOWCE
PARAPETY



Rak Tadeusz
 39-460 Nowa Dęba, ul. Kolejowa 21
 tel. 15 846 41 77, fax 15 846 28 18
 tel. kom. 509 387 123 www.rak.nowadeba.pl

BIBMOT

**STACJA
 KONTROLI
 POJAZDÓW**

ul. Drzewieckiego 1 ul. Przemysłowa 61
 tel. 17 774 58 43 tel. 17 774 58 18







Zdrowych, Pogodnych
 Świąt Wielkanocnych,
 pełnych wiary, nadziei i miłości.
 Radosnego, wiosennego nastroju,
 serdecznych spotkań w gronie rodziny
 i wśród przyjaciół
 oraz wesołego "Alleluja"
 życzą
 Wszystkim Mieszkańcom Ziemi Mieleckiej

Rektor
 doc. dr Wacław Nelec

Spoleczność Akademicka
 Wyższej Szkoły
 Gospodarki i Zarządzania
 Wydział Ekonomii w Mielcu



Na okładce: Grób Leszka Deptuły na Cmentarzu Komunalnym w Mielcu (fot. W. Gąsiewski); Antoni Kania fot. ze studenckiego Dowodu Osobistego (foto arch.), Znak okupacyjnego Institut für Deutsche Ostarbeit (foto arch.)

*Święta Zmartwychwstania Pańskiego to czas zadumy nad zwycięstwem światłości,
nad mrokiem, dobra nad złem, miłości nad nienawiścią...*

*Życzymy Mieszkańcom Powiatu Mieleckiego, aby wraz z Wielkanocą
zagościły w naszych sercach radość i pojednanie i umocniły wiarę w lepszą przyszłość.
Spokojnych i zdrowych Świąt Wielkiej Nocy życzą*

*Starosta Powiatu Mieleckiego
Andrzej Chrabąszcz*



*Przewodniczący Rady Powiatu
Henryk Niedbała*

Teresa Paryna

Beatyfikacja Jana Pawła II

UCZYŁEŚ NAS

Uczyłeś nas
jak pięknie żyć.
Jak się starzeć
bez makijażu.
Jak umierać
bez śladu rozpacz
kiedy domyka się
rozdział ostatni
a życie – mój Boże!
jak przejście przez szatnię
albo film
zawsze nazbyt krótki ...
I już bilet w kieszeni
na najdłuższe milczenie.
Przepustka
za niebieskie roгатki ...
A tam – tam czeka Bóg
i Domu świetlisty próg,
z którego najlepiej
widać Tatry.

BIEGLIŚMY DO CIEBIE

Biegliśmy do Ciebie
gdy mail się maj.
Przez czerwcę brzemienne
w mokre koniczyny.
Z dzwoneczkiem konwalii,
z gałązką jaśminu.
Biegliśmy do Ciebie
przez caluński kraj.

Biegliśmy do Ciebie
przez złociste sierpnie,
kiedy krwawych rocznic
poszarpane blizny ...
Z szelestem sztandarów,
wśród brzozowych krzyży

chowając w plecaku
okruszek Ojczyzny.

Biegliśmy do Ciebie
przez upał i chłód.
Gdy perlił się ranek
i gdy noc zapadła
na zamknięte powieki,
na otwarte rany,
gdy ręce powalił
szary polski trud.

Biegliśmy do Ciebie
z naszych niskich progów,
Ze słabości płaskich
i z tęsknot niełatwych.
Choć prężył nas lęk,
uwierały winy –
biegliśmy do Ciebie,
biegliśmy ku światłu ...

Biegliśmy do Ciebie
z ziarenkiem nadziei
spod ślepej latarni,
z przygluczej ulicy –
święci, wniebowzięci,
biegliśmy co tchu
aż po same krańce
Twojej Tajemnicy ...

BY SIĘ DOKONAŁO

Nie przemocą
a z mocy ducha
jak bicz z piasku
rozpadł się mur kłamstwa.
I kula, co miała zabić –
chybiła.
Nagle ktoś
zmienił tor,

czyjaś ręka osłoniła.
Twój pastorał
jak laska Mojżesza
i rozstąpiło się „morze czerwone”.
Są prawa,
są drogi,
są plany Boże,
a Ty – Ty musiałeś przyjść,
by się dokonało.

PROŚBA O CUD

To my.
Czy nas jeszcze poznajesz? –
skłóceni,
podzieleni
na tych, co za,
na tych, co przeciw,
na tych, co za
a nawet przeciw ...
Pomieszały się nam języki
jak przy Wieży Babel.
Półwierzący,
półwierni –
bardziej puści
czy bardziej pełni? ...
Każdy ma swego boga,
każdy ma swoje niebo,
każdy ma swoją prawdę.

Między bogiem a Bogiem –
diabeł na mszę dzwoni.
Między niebem a Niebem –
przepaść bezmyślności.
Między prawdą a Prawdą –
ściana polityki.

Stoimy przed Tobą
jak rozbite atomy.
Gniotą nas nasze winy.
Błogosławiony Janie Pawle

II
módl się o cud przemiany!
BŁOGOSŁAW NAM

Mówiłeś:
„Nie lękajcie się, uwierzcie!”

Gdy wiara się chwiewie,
miłość traci wzrok
i nadzieja błądzi beznadziejnie ...
Podnieś nas,
wyzwól nas!
Błogosław nam
Wielki Janie Pawle.
Niech nasze wargi
czuwają na modlitwie.
Niech nasze dłonie
rozdają dobro.
Niech nasze stopy
śpieszą ku światłu.
Niech nasze oczy
zapatrzą się w niebo.

WCIAŻ NIEDOWIERZAMY

Dzień się otwiera jak poemat,
jak wielki ogród polskich kwiatów.
I niebo się otwiera –
spływasz łagodnie
złotą struną światła ...
Stoimy jak w Kanie puste stągwie
–
czy wypełnisz je cudem?
Kiedy nasza wiara
ciągle byle jaka –
byle jakie myśli,
byle jakie słowa,
byle jakie czyny.
Byle jak.
i byle ja!
Toczy nas wirus pierworodny.
Wciąż niedowierzamy,
że można
oderwać się od ziemi.

MIELECJANA I REGIONALIA

Spis treści:

str. 3 - **Teresa Paryna**, *Beatyfikacja Jana Pawła II. Wiersze.*

Mielecjana i Regionalia

str. 5 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *W Bogu tylko człowiek tu zwycięża...; tenże*, Ks. Marek Łabuz, *Dzieje diecezji tarnowskiej. T. 1. Okólniki rozesłane przez Kurię tarnowską w latach 1951-1956* (notka bibliograficzna); tenże, Ks. Janusz Królikowski, *Tylko Jezus Chrystus. Duchowa lektura Listu do Filipian* (notka bibliograficzna).

str. 6 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Prezentacja i promocja „Studiów Regionalnych”.*

str. 7 - **Włodzimierz Gąsiewski**, Ks. dr Norbert Rucki *rodem z Kliszowa.*

str. 8-9 - **Bartosz Walicki**, *Nowe publikacje sokołowskie.*

str. 9 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Gazeta Tuszowska.*

Mielecjana i Regionalia - katyńsko - smoleńskie

str. 10-12 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Katyń-Smoleńsk-Mielec 1940-2010-2011.*

str. 12-13 - *Leszek Deptuła we wspomnieniach.* **Stanisław Żelichowski. Wiesław Rygiel. Bogusława Boyen z d. Deptuła.**

str. 14-15 - *Uczcili pamięć poległych na Wschodzie* (Obchody rocznic Katynia i Smoleńska w Dębicy mieście i gminie oraz w Ropczycach).

str. 15-19 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Astronom z Mielca dr Antoni Kania (1900-1940) absolwent Gimnazjum w Mielcu, por. art. rezerwy WP - zamordowany przez NKWD w Charkowie.*

str. 19 - **Mieczysław Kuriański**, *Katyńskie rozważanie.*

Mielecjana i Regionalia - Judaica

str. 20 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Melitser Jidn Żydzii mieleccy w fotografii.*

str. 21 - *Mieleckie Judaica w sztuce.*

Wspomnieniowe Nadwisłocze

str. 22-25 - **Janina Korpanty**, *Rodzina Korpantych (6).*

str. 25-29 - **Teofil Lenartowicz**, *Przeclawskie wspomnienia, cz. X. W jaskini lwa.*

Nadwisłocze emigracyjne

str. 30-35 - *List z podróży do Ameryki.* Wyd. i opr. **Krystyna Gargas-Gąsiewska.**

Kresowe Nadwisłocze

str. 36-40 - **Mieczysław Kuriański**, *Ze wspomnień repatrianta – Memories of repatriate. IV. U progu nowej rzeczywistości. Lata zmian - On the Threshold of a New Reality. Years of Change (1982-1994).*

str. 41 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Krzyże kresowe* (wiersz i zdjęcie).

Historia i ludzie

str. 42-44 - **Marian Piórek**, *Losy wojenne rodziny Jachyrów z Cmolasu i zabójstwo, ale jakie?*

str. 44 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Marian Piórek, Zapomniane karty z dziejów Dzikowca i okolic* (notka bibliograficzna).

str. 45 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Okupacyjne zbrodnie na Ziemi Mieleckiej.*

str. 46-47 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Wywiad z Justyną Łuczaj Salej - reżyserem i autorką scenariusza filmu dokumentalnego pt. „Archiwum istnień”.*

str. 47-49 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Hitlerowskie „naukowe badania” antropologiczne w Borowej k. Mielca.*

Historia i wiara

str. 50 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Wspomnienie arcybiskupa Żylińskiego.*

str. 51 - **Ryszard Mścisz**, *Teologiczny sukces licealistki z Jeżowego.*

str. 52-54 - **Ks. Józef Mandziuk**, *Postacie z dziejów Kościoła katolickiego na Śląsku w czasach nowożytnych. Cz. XI. Jerzy Wilhelm Neuherzt i jego polichromia krzeszowska; Antoni Dorazil - twórca rzeźb w krzeszowskim mauzoleum piastów; Franciszek Zeller - twórca stall w kościele pw. św. Wincentego we Wrocławiu; O. Fryderyk Wolf von Ludingshausen - pierwszy rektor Akademii Leopolińskiej.*

Literackie Nadwisłocze

str. 55 - **Mieczysław Kuriański**, *Radość zmartwychwstania; New age i Wielkanoc; Na Twoje imieniny.*

str. 55 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Album Urywek z życia Józefa Kardyś, Tomasza Pyciora, Jana Śpiewaka, Stanisława Kality, Stanisławy Owczar oraz Janusza Kapuściński, Posłuchaj wiatru!!! Posłuchaj!* (notki bibliograficzne).

str. 56 - **Ryszard Mścisz**, *Dominika i Karolina poezją zawojowały Warszawę.*

str. 57 - **Jolanta Sobczyk**, *Promocja tomiku wierszy pt. „Mowa wiatru” Kazimierza Szczykutowicza.*

str. 57 - **Kazimierz Linda**, *Próg (Threshold). Ofiarom Smoleńska - wiersz z tomiku poetyckiego.*

str. 57 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Zdzisława Górka, Przylądek mojej nadziei* (notka bibliograficzna).

str. 57 - **Marian Berkowicz**, *Deficyt sensu. Wrota czasu - wiersz z tomiku poetyckiego.*

str. 58-59 - **Ryszard Mścisz**, *Miejsce, słowa i prawda czasu, czyli „Jesień 2” Mirosława Osowskiego.*

str. 59 - **Krzysztof Graboń**, *Czy to jest sen? O poezji Olgi Lalić-Krowickiej.*

str. 60 - **Mirosław Osowski**, *Erotyczna „Ona” - o tomiku wierszy Andrzeja Moskala.*

str. 61 - **Danuta Kośla**, *Córki dobrych Ojców; Różańcowe okruchy.*

str. 61 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Harfa w chmurach Kazimierza Treli.*

Kultura i cywilizacja

str. 62 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Edward Daniel poeta, malarz i muzyk zapomniany (1921-1986) w 90. rocznicę urodzin.*

str. 63 - **Bronisław Dryja**, *O kobiecie i nie tylko słów kilka.*

Obronne Nadwisłocze

str. 64-65 - **Bronisław Kowalczyk**, *Wojskowy perłowy jubileusz.*

str. 65 - **Włodzimierz Gąsiewski**, *Mapa Lager Mielec* (informacja).

„Nadwisłocze” Ogólnopolski Kwartalnik Społeczno-Kulturalny.

Wydawca: Agencja Wydawnicza „Promocja”.

Honorowa współpraca wydawnicza: Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej w Mielcu oraz Stowarzyszenie na rzecz Rozwoju Lokalnego w Żarówce.

Redaktor naczelny: Włodzimierz Gąsiewski.

Sekretarz Redakcji: Krystyna Gargas-Gąsiewska,

Współpraca redakcyjna: Adam Chrabąszcz, Robert Czop, Jacek Krzysztof Danel, Bronisław Dryja, Olga Gąsiewska, Krzysztof Graboń, Jerzy Kazana, Józef Kawalek, Paweł Komoński, Szczepan Komoński, Ks. Janusz Królikowski, Józefa Krzak, Jacek Krzysztofik, Józefa Kwiatkowska, Dorota Kwoka, Olga Lalić-Krowicka, Tadeusz Łakomy, Zbigniew Michalski, Leszek Midura, Ryszard Mścisz, Mirosław Ossowski, Teresa Paryna, Krystyna Philipp, Andrzej Przybyszewski, Ewelina Radion, Antoni Rejman, Adam Rzaśa, Leszek Szot, Edward Winiarski.

Skład komputerowy i łamanie własne. Druk: Autograf - Mielec. Kolportaż: RUCH SA Warszawa O/Rzeszów. Prenumerata krajowa i zagraniczna - można zamawiać poprzez punkty sprzedaży prasy RUCH.

Biuro redakcji i reklam: 39-300 Mielec, ul. Jana III Sobieskiego 1, tel. 17 7411527,

www.promocja.mielec.pl,

e-mail: promocja@nb.com.pl lub kontakt@promocja.mielec.pl

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń i reklam oraz zastrzega sobie prawo do ew. redagowania nadsyłanych tekstów, które publikowane są nieodpłatnie (bez honorariów). Zapraszamy do współpracy.

W Bogu tylko człowiek tu zwycięża...

Włodzimierz Gąsiewski, *W Bogu tylko człowiek tu zwycięża... Działalność religijna, społeczna i patriotyczna ks. dr Adama Kopycińskiego jako proboszcza parafii Gawłuszowice w latach 1893-1914 – przyczynki biograficzne*. Gawłuszowice 2010. Wydawca: Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Gawłuszowickiej im. Ks. Adama Kopycińskiego. Współpraca wydawnicza: Agencja Wydawnicza „Promocja” w Mielcu. Druk. Zakład Poligraficzny Z. Gajek Mielec. Format 16x24 cm, 112 stron. Publikacja zawiera rozdziały: *Przedmowa* (ks. dr hab. Janusz Królikowski); *Od autora*; *Z Tarnowa do Gawłuszowic*; *Działalność religijna ks. dr Adama Kopycińskiego w parafii Gawłuszowice i dekanacie mieleckim*; *Przyczynki działalności społecznej ks. dr Adama Kopycińskiego jako proboszcza parafii Gawłuszowice*; *Ks. dr Adam Kopyciński żarliwy patriota*; *Rodzinne ślady ks. dr Adama Kopycińskiego*; *Krytyka kazań ks. dr Adama Kopycińskiego*; *Źródła i opracowania*; *Indeks nazwisk, imion świętych, pseudonimów i nazw geograficznych*.

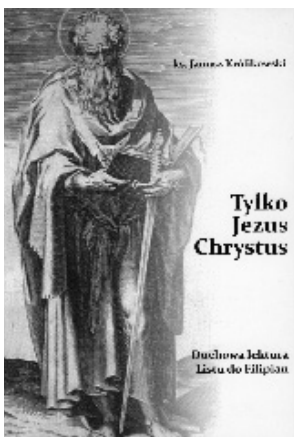
Ks. Adam Kopyciński, doktor Kościoła, profesor teologii seminarium duchownego w Tarnowie, wieloletni poseł na Sejm wiedeński i członek c.k. Rady Państwa, był w swoim życiu przede wszystkim kapłanem, ale też i wielkim patriotą i społecznikiem i poprzez kapłaństwo w Bogu tylko chciał zwyciężyć. Jednak mimo swojej niezwykłości i wielkiego dorobku, także pisarskiego przez całe dziesięciolecie był zapomniany. Wydaje się, że po raz pierwszy z niepamięci wydobył go Krzysztof Dunin Wąsowicz, który w *Polskim Słowniku Biograficznym*, w 1968 r. opracował jego blisko jednostronicowy życiorys. Ks. dr Adama Kopycińskiego wraz z jego szczegółową bibliografią odnajdujemy również w *Słowniku Polskich Teologów Katolickich* pod redakcją ks. Hieronima Eugeniusza Wyczawskiego OFM. Do odkrywania ks. Kopycińskiego przyczynił się także ks. Adam Nowak w swoim monumentalnym czterotomowym *Słowniku biograficznym kapłanów diecezji tarnowskiej*, jak również i ks. Bolesław Kumor w publikacji *Diecezja tarnowska. Dzieje ustroju i organizacji 1786-1985* oraz ks. Marek Łabuz, który wydał



dzieło pt. *Duchowieństwo diecezji tarnowskiej w latach 1886-1918*. Niewątpliwie jednak najbardziej obszernej prezentacji ks. dr Adama Kopycińskiego podjęła się s. Barbara Salomea Czarska CSDP, która w 1999 r. wydała książkę pt. *Ks. dr Adam Kopyciński – proboszcz w Gawłuszowicach*. Oczywiście postać ks. Kopycińskiego przewijała się ponadto w wielu innych publikacjach, w tym także niemieckojęzycznych i to już od końca XIX w.

W. Gąsiewski

Dzieje diecezji tarnowskiej. T. 1. *Okólniki rozestane przez Kurię tarnowską w latach 1951-1956* (Tarnów 2011), to niemalże monumentalna publikacja wydana przez Polskie Towarzystwo Teologiczne Oddział w Tarnowie i tarnowski BIBLOS. Książka w formacie 17x24 cm, 444 strony, z twardą i kolorową oprawą opatrzona jest Nihil obstat, Imprimatur oraz recenzją ks. dr hab. Janusza Królikowskiego oraz ks. dr hab. Józefa Stali, profesorów Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, obydwu rodaków Ziemi Mieleckiej. (WG)



Tylko Jezus Chrystus

Tylko Jezus Chrystus. Duchowa lektura Listu do Filipian, ks. dr hab. Janusza Królikowskiego (Tarnów 2010), to rzeczywiście, według autora nie tyle komentarz w znaczeniu egzegetycznym, a właśnie „lektura duchowa, zrodzona z modlitwy”, mająca na celu nawrócenie i spotkanie z Jezusem Chrystusem.

Publikacja opatrzona Nihil obstat ks. dr Wiesława Piotrowskiego, Imprimatur ks. bp Wiesława Lechowicza - wikariusza generalnego diecezji tarnowskiej oraz recenzją ks. prof. dr hab. Alojzego Drożdża. Poza *Wprowadzeniem*, zawiera rozdziały pt. *Lektura* oraz *Dodatek*, a w nim teksty: *Rzucił ogień na ziemię* oraz

Twórca przełomu religijnego i kulturowego. Oczywiście odnoszą się one do św. Pawła autora Listu do Filipian.

Książka licząca 107 stron formatu A-5, wydana nakładem własnym autora, wydrukowana starannie jest lekturą dla każdego, kto chce zgłębiać słowo Boże zwłaszcza wobec wyborów i decyzji, których dokonujemy każdego dnia.

W. Gąsiewski

PREZENTACJA I PROMOCJA „STUDIÓW REGIONALNYCH”

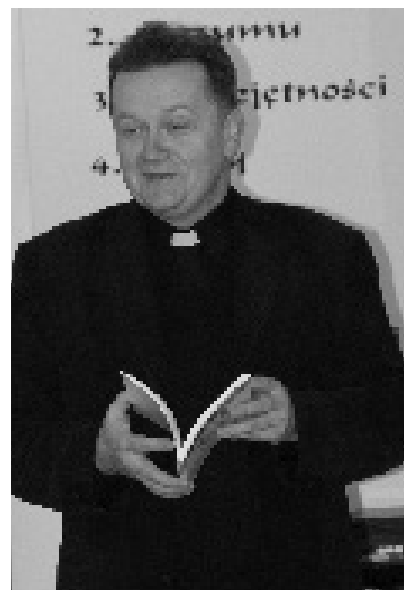
11 marca br. w Katolickim Ośrodku Kultury parafii pw. Ducha Świętego w Mielcu odbyło się spotkanie promocyjne rocznika naukowego „Studia Regionalne” 3-4 (2009-2010), na które zaprosił proboszcz ks. mgr Waldemar Ciosek, Redaktor Naczelny „Studiów Regionalnych” ks. dr hab. Janusz Królikowski oraz współwydawca Agencja Wydawnicza „Promocja” w Mielcu i jej właściciel Włodzimierz Gąsiewski. „Studia Regionalne” współwydaje także Polskie Towarzystwo Teologiczne w Tarnowie.

Spotkanie, oprócz gospodarzy, odbyło się w kameralnym gronie znamiennych gości, m.in. Władysława Ortyla - senatora RP, Jerzego Kazany - prezesa Towarzystwa Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Wł. Szafera w Mielcu, mec. Władysława Bieńka

- prezesa Klubu Inteligencji Katolickiej w Mielcu, Józefy Krasoń - dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Pedagogicznej w Rzeszowie - Filia w Mielcu oraz Marii Błażków - dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Mielcu.

Na porządek dzienny spotkania złożyły się: prezentacja obecnego wydania rocznika naukowego „Studia Regionalne”, której dokonał ks. Janusz Królikowski oraz prelekcja ks. dr Marka Łabuz, pt. „Kościół tarnowski w latach stalinizmu”. Miało też miejsce omówienie niektórych artykułów, wystąpienia okolicznościowe i dyskusja.

Ks. dr hab. Janusz Królikowski przedstawił pokrótce treść rocznika, zwracając uwagę na jego niektóre artykuły, oparte na zupełnie nieznanymi źródłach archiwalnych.



Ks. dr Janusz Królikowski

Niezwykle ciekawy był referat ks. dr Marka Łabuz, który mówiąc o Kościele tarnowskim w latach stalinizmu właściwie przedstawił swoją książkę, *Dzieje diecezji tarnowskiej. T. 1. Okólniki rozesłane przez Kurię tarnowską w latach 1951-1956*, (Tarnów 2011). Okólniki te, ze względu na zakaz druku, rozsyłane były do parafii w maszynopisowych przebitkach, podpisane przez biskupa tarnowskiego Jana Stepy, którego sylwetkę przedstawił również dr Łabuz.

W dyskusji zabrał głos m.in. senator Władysław Ortyl, mec. Władysław Bieńka oraz Włodzimierz Gąsiewski.

Inf. **W. Gąsiewski**
fot. **D. Gąsiewski**



Goście spotkania promocyjnego



ROZPRAWY

Marzena Baum-Gruszowska, SeferDembic. Księga Pamięci Żydów Dębicy;
Anna Gąsior, „Tyś Król... o cuda! Tyś mój poddany!”. Motyw Chrystusa Króla w poezji polskiej;
Włodzimierz Gąsiewski, Geneza obecnego herbu gminy Padew Narodowa;
ks. Sylwester Jaśkiewicz, Eschatologiczny kierunek historii;
Janusz W. Koralewski, Pustelnia Złotego Lasu w Rytwianach. Zarys dziejów;

Renata Kosińska, Kulturotwórcza i społeczna rola pustelni kamedulskich w kulturze nowożytnej Polski. Na przykładzie Pustelni Złotego Lasu w Rytwianach;

Andrzej Krempa, Mielczanie w bitwie budziżyńskiej;

ks. Marek Łabuz, Stowarzyszenia w diecezji tarnowskiej na przełomie XIX i XX wieku;
Bartosz Walicki, Proboszczowie parafii w Sokołowie Małopolskim w XX wieku;
MATERIAŁY

ks. Janusza Królikowski, Z dziejów szkolnictwa w Chrzastowie;

ks. Janusz Królikowski, Mała „autobiografia” biskupa Karola Niedziałkowskiego;

ks. Janusz Królikowski, Ksiądz Wiktor Ożarowski;

OMÓWIENIA I RECENZJE

Małgorzata Borkowska, Zakony żeńskie w Polsce w epoce nowożytnej. Wydawnictwo KUL, Lublin 2010, ss. 438 (ks. Janusz Królikowski);

Piotr Mieczysław Gajda, „Zgasły nasze imiona, ale świecą nasze czyny”. Przemówienia wygłoszone z okazji uroczystości patriotyczno-religijnych w okręgu Tarnów

Świątowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Tarnów 2010, ss. 368, ii. 32 (ks. Janusz Królikowski);

Marek Łabuz, Okupacja niemiecka w Radgoszczy w oczach jej mieszkańców, Wydawnictwo Biblos, Tarnów 2010, ss. 210 (ks. Janusz Królikowski);

Józef Micek, Skąd nasz ród..., Drukarnia Glinik Robert Huk, Gorlice 2009, ss. 192 (ks. Janusz Królikowski)

Jadwiga Stabińska osb ap, Miniszki Pierwszej Rzeczypospolitej, Wydawnictwo WAM, Kraków 2009, ss. 210 (ks. Janusz Królikowski);

Kazimierz Talarek, Ks. Kazimierz Jarosz, wikariusz, administrator i proboszcz w Żabnie 1943-1979, Tuchów 2003, ss. 260 (ks. Marek Łabuz).

Krzysztof Struziak, Szczucin i okolice, Zarys dziejów do 1948 roku, Szczucin 2009, ss. 442 (ks. Marek Łabuz)

Z dziejów Brzostku. Studia i materiały, t. 2: Okres staropolski i czasy zaborów, red. Bogdan Stanaszek, Wydawnictwo Towarzystwo Miłośników Ziemi Brzostockiej, Brzostek 2009, ss. 316.

Ks. dr Norbert Rucki rodem z Kliszowa

W ubiegłym roku zmarł ks. dr Norbert Rucki, wieloletni proboszcz parafii w Aleksandrowie Łódzkim. Mało kto wie, iż pochodził on z parafii Gawłuszowice, na Ziemi Mieleckiej. Urodził się 4 VI 1933 r. w Kliszowie k. Mielca, w ówczesnej diecezji tarnowskiej. Chrzest przyjął w kościele pw. św. Wojciecha w Gawłuszowicach z rąk ks. Stanisława Kořka, a jego rodzicami chrzestnymi byli Franciszek Maćek - wójt i Julia Romer - hrabina, właścicielka majątku w Borowej k. Mielca. Miał czworo rodzeństwa, siostrę i trzech braci. Do szkoły podstawowej w latach 1939-1948 uczęszczał w Gawłuszowicach, a następnie do Gimnazjum im. St. Konarskiego w Mielcu, gdzie w 1948 r. otrzymał małą maturę. Następnie wstąpił do Niższego Seminarium Duchownego w Łodzi, uczęszczając jednocześnie do II Liceum Ogólnokształcącego im. G. Narutowicza w Łodzi. W 1950 r. przystąpił do wcześniejszej eksternistycznej matury, którą uzyskał w IV Gimnazjum im. Emilii Szczaniackiej w Łodzi. W tym samym roku wstąpił do Seminarium Duchownego w Łodzi, które ukończył w 1955 r. jako diakon, a po uzyskaniu wieku kanonicznego, 9 X 1955 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk bp. Michała Klepacza - ordynariusza diecezji łódzkiej. Mszę św. prymicyjną odprawił 16 X 1955 r. w Gawłuszowicach. Jesienią 1955 r. rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym, sekcja biblii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie studiował również teologię dogmatyczną, uzyskując w 1957 r. stopień mgr teologii za pracę pt. „Teoria poznania u Floriana Bochwica”.

Po odnowie październikowej w 1956 r. i po uzgodnieniu tematu pracy doktorskiej z ks. prof. W. Granatem, w 1957 r. wyjechał do Francji na stypendium naukowe, częś-



ciowo fundowane przez rodzinę mieszkającą we Francji. Podczas studiów nawiązał kontakt z ośrodkiem przygotowującym odnowę liturgii w podparyskim klasztorze Sióstr Benedyktyn, koło Massy Palisau. W 1958 r. prowadził pielgrzymkę Polaków z północnej Francji do Lourdes, uczestniczył również w pielgrzymce studentów Sorbony do Chartres.

W czerwcu 1960 r. obronił pracę doktorską z teologii pt. „Autonomia psychosomatyczna Chrystusa w Teologii pierwszej połowy XX wieku”. W latach 1960-1962 był wikariuszem w parafii Najświętszego Zbawiciela w Łodzi, a we wrześniu i październiku 1962 r. pracował w parafii Matki Bożej Zwycięskiej w Łodzi. W 1962 r. otrzymał polonijne stypendium naukowe w Paryżu, gdzie zamieszkał w Polskim Seminarium przy 5 Rue des Irlandais. Stamtąd udał się do Rzymu, gdzie ks. Bogdan Dziwosz zaangażował go do pracy w auli soborowej. Mieszkał wówczas w Polskim Kolegium w Rzymie. Tam też pod wpływem atmosfery Soboru Watykańskiego II oraz licznych rozmów z ks. bp. Michałem Klepaczem zrezygnował z kontynuacji pracy naukowej na rzecz pracy duszpasterskiej. W latach 1962-1968 pracował również dla Radia w Buffalo w USA. W 1962 r. wygrał konkurs na cykl pogadanek radiowych „Godzina Ojca Justyna”, których napisał ponad 120. Podczas soboru towarzyszył ks. bp. M. Klepaczowi w radio Watykańskim.

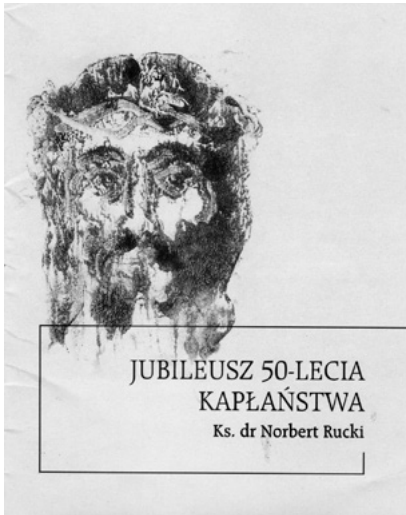
W 1965 r. wrócił do kraju, gdzie został wikariuszem ekonomem parafii św. Antoniego w Łodzi, gdzie m.in. zajął się organizowaniem sal katechetycznych, co spotkało się z ostrą reakcją ówczesnych władz komunistycznych. Po śmierci ks. bp. Michała Klepacza (27 I 1967 r.) ówczesne władze duchowne społegliwe wobec

władz wyznaniowych PRL odwołały go z parafii św. Antoniego i został przeniesiony na wikariat do parafii św. Józefa w Łodzi, gdzie nadal kontynuował tworzenie sal katechetycznych. Spowodowało to działania Służby Bezpieczeństwa i kolejne próby odwołania młodego wikariusza. Po stronie prześladowanego ks. Norberta stanął wówczas Prymas Tysiąclecia ks. kardynał Stefan Wyszyński, który obronił krzywdzonego kapłana broniącego spraw parafii i Kościoła.

Ks. Norbert Rucki na terenie Łodzi zorganizował Duszpasterstwo Akademickie, gdzie aktywnie działał. Nadal był obserwowany przez SB. W 1970 r. za radą ks. kardynała S. Wyszyńskiego wyjechał za granicę. Przebywał m.in. w Niemczech, Holandii, Belgii i Francji. W 1976 r. po powrocie do Polski objął administrację parafii św. Archaniołów Rafała i Michała w Aleksandrowie Łódzkim, gdzie działał bardzo aktywnie zarówno na polu duszpasterskim jak też gospodarskim, wykonując wiele prac remontowych i budowlanych. Podczas stanu wojennego poświęcił sztandar „Solidarności” Zakładów SANDRA narażając się na uwięzienie. Stawał w obronie uwięzionych, był ostoją dla opozycji i ludzi nastawionych patriotycznie. W latach 1990-1992 pełnił funkcję proboszcza parafii Zesłania Ducha Świętego w Aleksandrowie Łódzkim. Ponadto pełnił godności: prałata Jego Świątobliwości, Kanonika Honorowego Kapituły Archidiecezji Łódzkiej, wykładowcy Pisma Św. u OO. Orionistów, Sekretarza Rady Kapłańskiej. Był bodajże jedynym w Polsce po 1990 r. wieloletnim radnym Rady Miejskiej w Aleksandrowie Łódzkim. W 1999 roku został odznaczony przez Ministerstwo Edukacji Narodowej za zasługi dla oświaty. 22 X 2004 r. Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi przyznał mu status pokrzywdzonego. Ks. dr Norbert Rucki zmarł 1 X 2010 r. Kilka miesięcy wcześniej poznałem go osobiście podczas spotkania na parafii Gawłuszowice u ówczesnego ks. proboszcza Jana Sarwy. Ks. Norbert wspominał wówczas postać gawłuszowickiego proboszcza ks. dr Adama Kopycińskiego, mieliśmy jeszcze rozmawiać na ten temat. Prawdopodobnie ks. dr Adam Kopyciński był wzorem, który naśladował, jako Doktora Kościoła, pasterza parafii i wielkiego społecznika.

Włodzimierz Gąsiewski

Źródła: W. Gąsiewski, *W Bogu tylko człowiek tu zwycięża... Działalność religijna, społeczna i patriotyczna ks. dr Adama Kopycińskiego jako proboszcza parafii Gawłuszowice w latach 1893-1914 - pryncypki biograficzne*. Gawłuszowice 2010; *Jubileusz 50-lecia kapłaństwa. Ks. dr Norbert Rucki*. [Aleksandrów Łódzki 2005]



Bartosz Walicki

Nowe publikacje sokołowskie

Publikacje o charakterze regionalnym realizują ważny cel, pomijany niekiedy przez opracowania o charakterze ogólnym. Jest nim wieloaspektowe badanie „małych Ojczyzn”. Wydawnictwa te stanowią owoc analiz historycznych lokalnych społeczności przeprowadzanych zarówno przez naukowców, jak i przez regionalistów-amatorów. Dzięki nim można zaspokoić głód informacji na tematy, których próżno szukać w pracach podejmujących ważne, lecz ogólne kwestie. W tę rzeczywistość wpisuje się środowisko Sokołowa Małopolskiego, w którym w ostatnich latach podjęto szersze działania o charakterze edytorskim. Koniec 2010 roku był czasem, gdy na rynek wydawniczy trafiły dwie nowe publikacje dokumentujące przeszłość i teraźniejszość ziemi sokołowskiej.

Pierwszym z tym wydawnictwem jest książka „Bogurodzica na ludzkich drogach życia”. Stanowi ona pokłosie ogólnopolskiej konferencji naukowej pod tym samym tytułem, która odbyła się w Sokołowie Małopolskim w maju zeszłego roku. Konferencję tę zorganizowały: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II w Lublinie, sokołowska parafia pw. św. Jana Chrzciciela i miejscowa księżnica. Patronatu temu przedsięwzięciu udzielili: ordynariusz diecezji rzeszowskiej bp Kazimierz Górny, delegat Konferencji Episkopatu Polskiego ds. Duszpasterstwa Emigracji Polskiej bp Wojciech Polak oraz dyrektor Instytutu Duszpasterstwa Emigracyjnego w Poznaniu ks. dr Wiesław Wójcik TChr.



Staraniem sokołowskiej Biblioteki Publicznej ukazały się materiały pokonferencyjne zawierające wykłady i referaty wygłoszone podczas sesji naukowej. Ich autorami są naukowcy związani z Rzeszowem, Lublinem i Poznaniem, jak również regionaliści z ziemi sokołowskiej i kolbuszowskiej. Zamieszczone artykuły dotyczą tematyki maryjnej oraz emigracyjnej, z ukierunkowaniem na kwestie duszpasterstwa polonijnego. Prócz tego w tomie zamieszczone inauguracyjne konferencje kazanie wygłoszone przez ks. infuł. Wiesława Szurka.

We wprowadzeniu do publikacji bp Kazimierz Górny zaznaczył: „Sokołów Małopolski, sięgający swymi początkami XVI wieku, stanowi jeden z ważniejszych ośrodków życia religijnego naszej diecezji. To miasto wybrała sobie w szczególności Matka Boża, już w czasach przedzoborowych zasłynął tu łaskami obraz NMP Królowej Świata – Opiekunki Ludzkich Dróg. Na ten szczególny fenomen zwrócił uwagę już w połowie XVIII wieku ówczesny biskup przemyski Wacław Hieronim Sierakowski. Czasy zaborów przyniosły przygaszenie i zapomnienie kultu. Odrodził się on w drugiej połowie XIX stulecia, a w ostatnich latach trwają przygotowania do koronacji na prawie diecezjalnym”.

Spotkanie promocyjne tego wydawnictwa zostało zorganizowane 6 lutego br. w czytelni biblioteki w Sokołowie Małopolskim. Była to okazja do spotkania miejscowych regionalistów i czcicieli Matki Najświętszej. Wśród kilkudziesięciu uczestników prezentacji znaleźli się samorządowcy, nauczyciele, społecznicy, członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Sokołowskiej i Regionalnego Towarzystwa Kultury w Kolbuszowej. Obecny był proboszcz sokołowski ks. Jan Prucnal, wiceburmistrz Bogusław Kida, radni sokołowskiej Rady Miejskiej z jej przewodniczącym Andrzejem Pasierbem, dyrektor Zespołu Szkół w Górnicy Lucyna Perlak i dyrektor Ponadgimnazjalnego Zespołu Szkół w Sokołowie Antoni Kula.

Przybyłych gości powitał kierownik księżnicy. Następnie prof. dr hab. Kazimierz Ożóg, dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Rzeszowskiego dokonał prezentacji książki. W swoim wystąpieniu zaznaczył:



„Ludzkie drogi, różne, trudne, ciągle do przejścia, wymagają wysiłku. Skąd czerpać siły do przejścia, do pokonywania trudności szlaku. W kim mieć nadzieję? Odpowiedzi na te pytania zawiera książka »Bogurodzica na ludzkich drogach życia«. Maryja rzeczywiście jest Opiekunką Ludzkich Dróg. Tych prostych, ale i tych trudnych”. Z przygotowaniem do koronacji łaskami słynącego wizerunku Matki Bożej Sokołowskiej zapoznał też obecnych ks. Jan Prucnal. Część oficjalną spotkania zamknęły przemówienia. Dalsza dyskusja toczyła się przy poczęstunku przygotowanym przez bibliotekę.

Drugą publikacją regionalną jest kolejny, siódmy już numer „Rocznika Sokołowskiego”. Jest to pismo popularnonaukowe wydawane przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Sokołowskiej. Jego autorami i redaktorami są badacze i fascynanci Ziemi Sokołowskiej, nauczyciele i kapłani, naukowcy i regionaliści. Periodyk ten od roku 1999 wpisał się mocno w krajobraz kulturowy ziemi sokołowskiej. Dziś jego starsze numery stanowią kopalnię informacji o Sokołowie i okolicznych miejscowościach, zarówno historycznych, jak i dokumentujących życie współczesne mieszkańców.

Siódmy, niemal 400-stronicowy tom został poświęcony głównie obchodom organizowanym na ziemi sokołowskiej w roku 2009, w tym: 440. rocznicy lokacji Sokołowa Małopolskiego, 65-lecie miejscowego Liceum Ogólnokształcącego, 60-lecie księżnicy miejskiej, 65. rocznicy tragedii w lesie turzańskim. Oprócz artykułów o charakterze historycznym, w „Roczniku” pomieszczone zostały: sprawozdania, kalendarium i przegląd bibliograficzny. Wartościo-

GAZETA TUSZOWSKA

wą część stanowią materiały, na które złożyły się trzy kazania wygłoszone podczas kolejnych wydarzeń społeczno-religijnych, przygotowane i wygłoszone przez sędziwego o. Hieronima Warachima z Sędziszowa Małopolskiego, ks. dr. Jana Koca z Niechobrza i ks. Jana Prucnała z Sokołowa. Cenny dział tworzą też biogramy czterech osób znaczących dla regionu sokołowskiego, które zmarły w roku 2009: regionalisty Leszka Walickiego z Sokołowa, artysty Piotra Kidy z Górna, emerytowanego proboszcza z Trzebosi ks. Jana Kubasa i emerytowanego proboszcza i dziekana sokołowskiego ks. Mieczysława Wajdy.

Zadaniem „Rocznika Sokołowskiego” jest przede wszystkim pielęgnowanie pamięci o przeszłości, jak również stałe odkrywanie i utrwalanie tożsamości ziemi sokołowskiej. Zrozumiałe więc, że w słowie wstępnym redaktorzy zawarli życzenie, aby lektura publikacji była okazją do poszerzania wiedzy o regionie, dokumentowania dorobku żyjących tu osób i funkcjonujących instytucji, a także budziła wdzięczność i miłość do tej ziemi, która pozostaje dla nas wszystkich kolebką i źródłem.

Prezentacja nowego numeru „Rocznika” odbyła się w czytelni Biblioteki Publicznej w Sokołowie w niedzielę 13 lutego. Połączona ona była z Walnym Zebraniem członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Sokołowskiej. Stanowiło to okazję do spotkania miejscowych regionalistów, samorządowców, nauczycieli i sympatyków biblioteki. Prezentacji „Rocznika” i omówienia jego treści dokonał prof. dr hab. Kazimierz Ożóg, dziekan Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Rzeszowskiego. Ciepłe słowa do uczestników spotkania skierowali także: poseł Stanisław Ożóg, burmistrz Andrzej Ożóg i doktorant KUL ks. Grzegorz Wójcik. Zacytować tu warto słowa ks. dr. Sławomira Zycha, opiekuna naukowego sanktuarium maryjnego w Sokołowie, skierowane do uczestników prezentacji: „Serdecznie gratuluję To-warzystwu cennej inicjatywy wydawniczej. Jest to niewątpliwie intelektualna wizytówka miasta i regionu, a podobnym osiągnięciem mogą się poszczycić tylko nieliczne ośrodki. Dziękuję za podejmowanie na łamach „Rocznika” problematyki dotyczącej dziedzictwa kulturowego Sokołowszczyzny, które jest zakorzenione w wierze ojców. Słowa wdzięczności kieruję również za ukazywanie na łamach periodyku zagadnień związanych z kultem Pani Sokołowskiej”.

Ukazał się nr 1/2011 Kwartalnika „Gazeta Tuszowska”, którego wydawcą jest Urząd Gminy w Tuszowie Narodowym. Z życzliwością witamy to samorządowe czasopismo, które wpisuje się w barwny krajobraz wydawniczy Ziemi Mieleckiej. W prezentowanym numerze Kwartalnika przeczytać możemy następujące artykuły i informacje: *Rekordowa frekwencja podczas wyborów sołtysów w Gminie Tuszów Narodowy* - m.in. szczegółowe wyniki wyborów w poszczególnych sołectwach; *Odezwa do mieszkańców Gminy Tuszów Narodowy* - podpisana przez wójta gminy, radnych gminnych i dyrektorów szkół; *Diariusz samorządowy*; *Informacje*; *Wystąpienie wójta gminy Tuszów Narodowy podczas konferencji „Dziś i jutro polskiej wsi”*; *Statystyka Gminy Tuszów Narodowy na dzień 31. 12. 2010 rok*; *Urząd Skarbowy w Tuszowie Narodowym*; *Dyrektor Agencji Rynku Rolnego Oddział terenowy w Rzeszowie Mariusz Kawa z wizytą w Tuszowie Narodowym*; *Dofinansowanie sportu i rekreacji*. Znaczną część gazety zajmują prezentacje poszczególnych szkół w gminie, w tym: Publicznego Gimnazjum im. Jana Pawła II w Tuszowie Narodowym, Szkoły Podstawowej im. gen. W. Sikorskiego w Tuszowie Narodowym z Filią w Grochowie, Zespołu Szkół w Maliniu - Szkoła Podstawowa im. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego, Zespołu Szkół w Jaślanach, Szkoły Podstawowej w Czajkowej, Szkoły Podstawowej w Borkach Nizińskich. W czasopiśmie są także artykuły dotyczące bibliotek i życia kulturalnego w gminie oraz Program „Majowych Dni Tuszowa Narodowego” 17-22 maja 2011 r., który prezentujemy poniżej:

17 maja - 11.00. Msza Święta Dzięczyna za dar beatyfikacji Jana Pawła II pod przewodnictwem J. E. Ks. Biskupa Edwarda Frankowskiego, przejście pod figurę Jana Pawła II, złożenie kwiatów, zapalenie zniczy;

18 maja- 9.00. Konkurs pieśni Maryjnej „Totus Tuus” w Kościele Parafialnym pw. Matki Bożej Wspomożenia Wiernych; 11.30. Montaż słowno - muzyczny w wykonaniu uczniów gimnazjum. Podsumowanie konkursów: pieśni Maryjnej, plastyczne go ph. „Moje serce dla Jana Pawła”, multimedialnego „Serce Jana Pawła II”, literackiego „Błogosławione spotkanie. Moje wspomnienie - świadectwo o Janie Pawle II”; 18.00 - Majówka z Janem Pawłem przed figurą, montaż słowno - muzyczny w wykonaniu młodzieży gimnazjalnej;

19 maja - Uroczystości rocznicowe w szkole podstawowej - obchody 30 rocznicy nadania szkole imienia gen. Wł. Sikorskiego; 8.30. Przedstawienie upamiętniające patrona w wykonaniu uczniów szkoły podstawowej, prezentacja przypominająca dzieje szkoły w ostatnim trzydziestolecu; 9.30. Biegi uliczne, w przerwie występ szkolnego zespołu tanecznego dziewcząt; 10.00. Turniej wiedzy o Gen. Sikorskim dla Gimnazjalistów w Gminnej Bibliotece; Podsumowanie konkursów: wiedzy dla szkół podstawowych, turnieju wiedzy dla gimnazjalistów;

20 maja - główne uroczystości poświęcone gen. W. Sikorskiemu: 11.00 Msza Święta w Kościele Parafialnym pw. Matki Bożej Wspomożenia Wiernych w Tuszowie Narodowym pod przewodnictwem J. E. Ks. Bp Kazimierza Górnego, przejście pod pomnik generała Sikorskiego, otwarcie Centrum Pamięci gen. Sikorskiego oraz wystawy ph. „Żołnierze II wojny światowej”, odznaczenie sztandaru szkoły podstawowej *Medalem Pro Memoria*, wystąpienia okolicznościowe, składanie kwiatów, Apel Pamięci i prezentacja jednostki wojskowej z Rzeszowa, zwiedzanie wystawy plenerowej;

21 maja - atrakcje lotnicze, prezentacja Stowarzyszenia Awiatycznego Tuszów Narodowy Początek, godz. 12.00 -ładowisko Tuszów;

22 maja - 11.00 Msza Święta odpustowa w Kościele Parafialnym pw. Matki Bożej Wspomożenia Wiernych w Tuszowie Narodowym, 16.00 „Familiada” - atrakcje dla rodzin, konkursy, występy artystyczne, przygotowane przez WDKiR.

W czasopiśmie jest także krótka wzmianka o rocznicy Tragedii Smoleńskiej oraz nazwiska i zdjęcia ofiar katastrofy, które w przeszłości odwidziały Tuszów Narodowy.

Gratulujemy publikacji redaktorom „Gazety Tuszowskiej”, wśród których są nie wymienieni z nazwiska pracownicy Urzędu Gminy oraz kierownicy jednostek organizacyjnych. Gazeta jest formatu A-4, zawiera 36 stron i jest rozdawana bezpłatnie.

W. Gąsiewski



KATYŃ - SMOLEŃSK - MIELEC - 1940 - 2010 - 2011



Uroczysta Msza Święta w bazylice mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu



Przed „Ścianą Katyńską” bazyliki mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu. Na zdjęciu m.in. od lewej: Mirosław Karapyta, Waldemar Pawlak, Joanna Deptuła i Jan Bury.



Wieniec składają m.in. Krystyna Skowrońska, Stanisław Żelichowski, Jan Tarapata i Zdzisław Nowakowski

Rocznicowe uroczystości 10 kwietnia 2011 r. poświęcone ofiarom katastrofy polskiego samolotu w Smoleńsku, w której zginęło 96 osób w tym para prezydencka oraz m.in. poseł Ziemi Mieleckiej Leszek Deptuła zainaugurowała w bazylice mniejszej pw. św. Mateusza w Mielcu Msza Święta koncelebrowana pod przewodnictwem ks. dziekana Józefa Mroza - proboszcza parafii Borowa, w asyście m.in. ks. Janusza Kłęczka - proboszcza parafii pw. św. Mateusza w Mielcu i ks. Stanisława Jurka - rezydenta w tejże parafii i jej byłego proboszcza oraz ks. Waldemara Cioska - proboszcza parafii pw. Ducha św. w Mielcu. Okolicznościową homilię wygłosił ks. Janusz Kłęczek, który poza częścią teologiczną kazania, nawiązującą do niedzielnego czytania Słowa Bożego o wskrzeszeniu Łazarza odniósł się też do tragicznej katastrofy pod Smoleńskiem sprzed roku, mówiąc m.in.: *Siostry i bracia, pamiętam sobotę rok temu, mieliśmy swoje prywatne plany spotkań, wyjazdów, ale w świetle tragedii wszystko stało się jakieś inne. My staliśmy się inni. Polska stała się inna. (...) Chyba wszyscy przeżyliśmy to sobotnie przedpołudnie tak samo. Najpierw szok, wstrząs, niedowierzanie, a potem oczekiwanie wieści ze smoleńskiego lotniska, a potem jeszcze natężył pytanie, przed którym jak przed murem staje nasz rozum, nasze skurczone serce - dlaczego!? Jak do tego mogło dość? Czy tak być musiało, kto zawinił? Dalej szukamy tych odpowiedzi, a minął już rok. Jedną z odpowiedzi, która pojawia się w takich sytuacjach jest formuła: „Bóg tak chciał”. Było im tak widać przeznaczone...*

Po zakończonej mszy świętej w intencji pomordowanych oficerów i ofiar katastrofy lotniczej delegacje oraz mieszkańcy Ziemi Mieleckiej złożyli wieńce i kwiaty przed „Ścianą Katyńską” na murze cmentarnym mieleckiej bazyliki.

Dalsze uroczystości odbyły się na cmentarzu komunalnym przed grobem posła Leszka Deptuły z wartą honorową i w asyście Kompanii Honorowej Wojska Polskiego. Jako pierwszy do zgromadzonych zwrócił się starosta Powiatu Mieleckiego Andrzej Chrabąszcz mówiąc:

„Spotykamy się dzisiaj dla upamiętnienia pierwszej rocznicy śmierci ofiar katastrofy Smoleńskiej oraz dla uczczenia 71 rocznicy zbrodni NKWD z 1940 r. popełnionej na polskich jeńcach i więźniach w Katyniu, Charkowie, Miednoje i Bykowni. Spotykamy się przy grobie nieodżałowanej pamięci Posła Leszka Deptuły, który zginął jako jeden z 96 pasażerów samolotu prezydenckiego w dniu 10 kwietnia 2010 roku. Nasza obecność tutaj ma charakter symboliczny. Dzisiaj w całej Polsce odbywają się uroczystości rocznicowe tych dramatycznych zdarzeń.

My licznie zgromadzeni mieszkańcy Mieleckiej Ziemi, samorządowcy z Powiatu Mieleckiego wraz z rodziną śp. Leszka chcemy dać wyraz naszej pamięci. Dramat zbrodni katyńskiej sprzed 71 lat, jest częścią naszej wspólnej historii i naszej narodowej tożsamości. Rodziny tysięcy Polaków nie doczekały się powrotu swoich najbliższych z niewoli. Pochylamy się nad tymi, którzy zginęli męczeńską śmiercią za Ojczyznę, których talenty, nadzieje, plany na przyszłość zostały bezlitośnie przerwane oraz przed członkami ich rodzin, którym przez długie lata nie dane było nawet poznać miejsca wiecznego spoczynku ich bliskich.

Na konieczność kultywowania pamięci ofiar zwracał uwagę Wielki Polak, papież Jan Paweł II, który podczas spotkania z delegacją Rodzin Katyńskich mówił – - Tragiczne wydarzenia, które miały miejsce na wiosnę 1940 roku w Katyniu, Charkowie i Miednoje, są rozdziałem w martyrologium polskim, które nie może być zapomniane. Ta żywa pamięć powinna być zachowana jako przestroga dla przyszłych pokoleń (...).

My także jesteśmy zobowiązani tę pamięć przekazywać kolejnym pokoleniom Polaków. Te patriotyczne względy wiodły śp. Leszka do Smoleńska 10 kwietnia 2010 roku, gdzie chciał,

jak sam pisał „...pochylić głowę przed Krzyżem Katyńskim i w swoim sercu połączyć się z wszystkimi, których w jakikolwiek sposób dotknęła ta zbrodnia.” Znacznie wcześniej dzielił się z nami z własną oceną zdarzeń sprzed lat pisząc na blogu internetowym:

- Zbrodnia Katyńska ze względu na jej ideologiczne umotyowanie względami klasowymi, narodowymi oraz jej masowość jest dla mnie zbrodnią ludobójstwa - zbrodnią przeciwko ludzkości. Dlatego ta ohydna zbrodnia nigdy nie może ulec przedawnieniu. Nigdy, jako Polak nie zgodzę się na odrzucanie przez Rosję tej historycznej prawdy i czynienie wielu przeszkód do ostatecznego ujawnienia wszystkich okoliczności tej potwornej zbrodni.

Szanowni Państwo – przed rokiem, właśnie tutaj, na mieleckim Cmentarzu wraz z Rodziną żegnaliśmy Leszka. Przyjaciele, współpracownicy, mieszkańcy Podkarpacia i przedstawiciele najwyższych władz państwa. Pożegnaliśmy wtedy Człowieka, którego znaleźliśmy, podziwialiśmy i szanowaliśmy. Człowieka, który miał ogromne zasługi dla Podkarpacia, naszego powiatu, środowiska. Chociaż od katastrofy minął rok, to pamięć o nim jest wciąż żywa i jego brak tak bardzo odczuwalny. Drodzy Zebrani – los sprawił, że pamięć o śmierci posła Leszka Deptuły wiązać się zawsze będzie z pamięcią o bohaterskich ofiarach Katyńskiego Lasu.

Nie zapomnimy !!!

Cześć ich pamięci!”

W mieleckich uroczystościach uczestniczyła rodzina posła RP Leszka Deptuły, w tym żona Joanna oraz syn Michał. Przybyli także m.in. wicepremier i minister gospodarki rządu Rzeczypospolitej Polskiej, prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego - Waldemar Pawlak, wiceminister Skarbu - Jan Bury, przewodniczący Klubu Poselskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego - Stanisław Żelichowski, oraz grono parlamentarzystów, samorządowcy z Podkarpacia i województw ościennych z marszałkiem województwa podkarpackiego Mirosławem Karapytą.

Przed grobem Leszka Deptuły przemówienie wygłosił również Waldemar Pawlak, mówiąc m.in.: *Rok temu połączył nas Katyń, połączył nas Katyń poprzez tą nową ofiarę, bo ta katyńska ziemia zażądała nowej krwi, zażądała nowej ofiary pielgrzymów, którzy przyjechali upamiętnić te dramatyczne i tragiczne wydarzenia sprzed 70 lat. Był pośród nich także Leszek Deptuła i on tu do Mielca przywiózł w ten dramatyczny i tragiczny sposób tą wielką pamięć. Zalazł się pośród tych, którzy też z Mielca, tam na tej ziemi katyńskiej zostali zamordowani. Bo to pamięć po tym dramatycznym wielkim wydarzeniu powiodła tych pielgrzymów tą ostatnią wędrowką. Być może jest to znak od Opatrzności, żebyśmy się jako społeczeństwo, naród trochę opamiętali, że przecież ta wielka tragedia znowu połączyła wszystkich ludzi z różnych środowisk, różnych orientacji i różnych poglądów, połączyła w jednym wspólnym grobie. Bo ta pamięć i ta historia może być tragiczna, ale można w niej też odczytać nadzieję, jeśli potrafimy z tej historii dobrze czytać, jeśli potrafimy postępować tak, aby ci którzy odeszli mogli być z nas dumni, aby Pan Prezydent, aby Leszek Deptuła mógł być dumny z tego co się dzieje w naszej Ojczyźnie. (...)*

Zwieńczeniem uroczystości był symboliczny apel poległych oraz salwa honorowa kompanii honorowej Wojska Polskiego, po której złożono wieńce i kwiaty na grobie Leszka Deptuły. Uroczystość uświetniła też znakomita część artystyczna, którą przygotowali uczniowie z I i II Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu. (Więcej informacji w najbliższym wydaniu Kwartalnika „Nadwisłocze”).

Inf. i fot. W. Gąsiewski



Na cmentarzu komunalnym w Mielcu, w pierwszym rzędzie od lewej: Jan Bury, Joanna Deptuła, Waldemar Pawlak, Mirosław Karapyta, Michał Deptuła, Bogusława Boyen oraz młodzież I i II LO w Mielcu.



Na zdjęciu po lewej Andrzej Chrabąszcz, a od prawej Waldemar Pawlak wygłaszają okolicznościowe przemówienia.

LESZEK DEPTUŁA WE WSPOMNIENIACH



Stanisław Żelichowski - poseł na Sejm RP, przewodniczący Klubu Parlamentarnego PSL

Bardzo szanowaliśmy w Klubie Parlamentarnym PSL posła Leszka Deptułę i bardzo go lubiliśmy. Traktujemy nasz klub parlamentarny jak jedną wielką rodzinę i wprawdzie czas leczy rany, ale strata Leszka Deptuły, była i jest nadal dla nas olbrzymią. W kwietniu ubiegłego roku prawie wszyscy posłowie PSL, w tym Leszek Deptuła, zgłosili się że chcą lecieć do Katynia i uznaliśmy,

że ci polecą, którzy najwięcej pracują. Leszek był członkiem sejmowej komisji śledczej, Wiesław Woda był członkiem Komisji Przyjazne Państwo i Edward Wojtas był także w sejmowej komisji śledczej. To byli posłowie, którzy tyrali od świtu do nocy i to była nagroda za ich wysiłek. Poinformowałem podczas posiedzenia Klubu, że na 31 posłów PSL zgłosiło się 29 i po przedstawieniu propozycji wspomnianych trzech posłów, nikt nie miał zastrzeżeń i wszyscy się zgodziliśmy, że to oni polecą 10 kwietnia 2010 r. na uroczystości w Katyniu.

Leszek, jeszcze przed wyjazdem mówił do mnie w ten sposób: „Ja wyszedłem z dosyć dużej choroby i postanowiłem sobie, że jeśli wyzdrowieję, to pojadę do Katynia aby uczcić zamordowanych polskich oficerów.” I nikomu z nas nawet do głowy nie przyszło, że wsiadając do samolotu prezydenckiego, który na całym świecie uważany jest za najbezpieczniejszy, że to tak się skończy. Nie ukrywam też, że gdyby ta podróż odbyła się za dwa dni, to pewnie byłby inny skład uczestników z naszego grona.

Leszek Deptuła był więc niezwykle pracowity i niemal z chłopskim uporem dążył do celu. W tę komisję sejmową go po prostu „wrobiłem” i mówiłem mu: „Leszku to jest trudna praca”, ale już po dwóch tygodniach przewodniczący komisji, poseł Czuma mówi mi, że to jest rewelacyjny człowiek, ja nie zdawałem sobie sprawy, że wy macie takich ludzi, bo on potrafił tonować nastroje, jak nie mógł inaczej to dowcipem rozładował sytuację, a wiadomo, że w komisji były same gorące głowy...

**„Per aspera ad astra”
Moje wspomnienie o Leszku Deptule**

Za każdym razem, gdy wspominam Leszka jest pogodny, żartuje i uśmiecha się. Nie potrafię Go sobie przypomnieć inaczej, a przecież w ciągu ośmiu lat mieliśmy czasem trudne rozmowy i skomplikowane problemy do rozwiązania. Może miałem to szczęście, że szanowaliśmy się i lubili, a może Leszek po prostu taki już był?

Nasze pierwsze spotkania miały miejsce końcem 2002 roku. Leszek był marszałkiem województwa podkarpackiego a ja, jako starosta ropczycko-sędziszowski zabiegałem o zwiększenie wsparcia finansowego na budowę Hali Widowiskowo - Sportowej w Ropczycach. Pamiętam, jak na dzień dobry stwierdził, że nie rozumie po co przyjechałem, bo w Ropczycach wszystko już wybudowano, a on nie ma już żadnych pieniędzy... Uczynił to jednak z wesołym i serdecznym uśmiechem, a następnie



Od lewej: Leszek Deptuła i Wiesław Rygiel, 14 X 2005 r., podczas inauguracji roku szkolnego w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Ropczycach (foto. arch.)

przyjaźnie wypytał w czym sprawa. Może to pierwsze pozytywne wrażenie sprawiło, że takim go wciąż pamiętam.

Później były wielokrotne i niełatwe rozmowy na temat utworzenia Nauczycielskiego Kolegium Języków Obcych w Ropczycach, dofinansowania rozbudowy Domu Pomocy Społecznej w Lubzinie i w wielu innych sprawach. Dobrze się rozumieliśmy. W rezultacie, na otwarciu hali w Ropczycach, Leszek po uroczystym wspólnym przecięciu wstęgi, inaugurował działalność tego obiektu rzutami do kosza i żartował, że odrobinę utracił lekkość od czasu, gdy wyczynowo uprawiał sport... Udało się też utworzyć kolegium i zmodernizować dom pomocy. Świetnie służą one do dzisiejszego dnia. Co ustaliliśmy - to wykonaliśmy, a Leszek kilkakrotnie uczestniczył również w lokalnych uroczystościach na terenie powiatu, na których przemawiał z wielką swadą, nawiązując łatwo kontakt z widownią i budząc sympatię bezpośredniością i szczerością wypowiedzi.

Niejednokrotnie spotykaliśmy się również w związku z działalnością w ramach Polskiego Stronnictwa Ludowego. Byliśmy „konkurentami” zarówno w wyborach do parlamentu krajowego jak i europejskiego, ale rywalizacja przebiegła w sposób bardzo dżentelmeński i umocniła nasze koleżeńskie relacje.

Z czasu pełnienia przez Leszka funkcji Posła na Sejm RP pamiętam Go nieodłącznie z laptopem i aparatem fotograficznym na naradach w Podkarpackim Urzędzie Wojewódzkim w Rzeszowie. Najczęściej były to spotkania dotyczące inwestycji drogowych i kolejowych na Podkarpaciu, którymi się interesował.

Myszę, że życie Leszka tak bardzo aktywne, pełne pozytywnej energii w zawodowej, społecznej i politycznej pracy, w wyjątkowy sposób charakteryzuje niejednokrotnie przytaczana przez Niego i ulubiona łacińska maksyma „Per aspera ad astra” - Przez trudy do gwiazd. W jakimś sensie podążał ku gwiazdom, podejmował z sukcesem kolejne wyzwania, osiągał najwyższe cele.

Zostawił zbolatą w smutku rodzinę, ale i liczne grono przyjaciół, zwłaszcza na Mieleckiej Ziemi, z którymi staram się dziś, jako parlamentarzysta, jak najlepiej współpracować. To moja powinność, ale i zaszczyt. Mam jednak świadomość, że Leszek należał do tej kategorii ludzi, których nie sposób zastąpić.

Wiesław Rygiel Poseł na Sejm RP
(objął mandat poselski po Ś.P. Leszku Deptule
10 maja 2010 roku)

Bogusława Boyen z d. Deptuła, siostra śp. Leszka Deptuły

Mija rok od tragicznej i niewiarygodnej dla mnie katastrofy pod Smoleńskiem. Rano w radio, około godziny dziesiątej usłyszałam listę pasażerów Tupolewa. Usłyszałam „Leszek Deptuła poseł PSL”. Tyle i aż tyle. Powiem tak: do dzisiaj, wszystko co się dzieje, co słyszę i co przeżywam jest jak w innym odległym świecie. Im dłużej to trwa, tym bardziej odczuwam brak swojego brata. We wczesnym dzieciństwie i młodości budowaliśmy silne więzi. Wiązały się z trudnym dzieciństwem i wspólnymi marzeniami o tym, aby być dobrym człowiekiem dla siebie i innych, aby można było zdobywać wiedzę i dzięki tej wiedzy i pracy osiągać w życiu to, co najważniejsze – dobrą i lubianą pracę oraz to, aby być wśród ludzi. Śmierć mojego brata ukazała mi, że warto być przyzwoitym człowiekiem. Warto było słyszeć tyle słów ciepłych o bracie. Niekiedy dopiero po 10 kwietnia 2011 roku usłyszałam, kogo miałam za brata – dobrego i ciepłego człowieka, który dawał najbliższym poczucie bezpieczeństwa. Zawsze można było liczyć na jego pomoc, nigdy nie odmówił bycia z nami wtedy, gdy go potrzebowaliśmy.

Nie mogę pogodzić się z jego stratą, z tym, że już nigdy nie powie do mnie ciepło „siostra”...



Odślonięcie pamiątkowej tablicy w Sejmie RP 20 X 2010 r. Nazdjęciu od lewej: Pogusława Boyen, Janusz i Marzena Bikowie, Joanna Deptuła - żona i Elżbieta i Edward Wieteszkowie kuzyni Leszka Deptuły (foto arch.)

Uczcili pamięć poległych na Wschodzie

ROPCZYCE

Obchody 71 rocznicy sowieckiego mordu dokonanego na polskich oficerach i 1 rocznicy katastrofy pod Smoleńskiem rozpoczęła uroczysta msza św. odprawiona w ropczyckiej farze. Później uroczystości, w których uczestniczyli m.in. mieszkańcy miasta, kombatancki, samorządowcy oraz parlamentarzyści przenieśli się do Zespołu Szkół nr 1. Złożył się na nie m.in. wykład Andrzeja Żylicza, prezesa koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej na temat historycznego tła Zbrodni Katyńskiej oraz spektakl „słowa, które pomagają pamiętać” przygotowany przez uczniów szkoły. Uczestnicy minutą ciszy uczcili pamięć Lecha i Marii Kaczyńskich oraz pozostałych ofiar tragicznego lotu z 10 kwietnia 2010 r., a przy pamiątkowym obelisku pojawiły się wianki i wieńce.



Dębica - uroczystości na Pl. Mikołajkowów (foto arch.)

DĘBICA

Uczestnicy rocznicowej uroczystości zasadzili kolejne dęby na śródmiejskim Placu Mikołajkowów. Dębicka Lista katyńska liczy obecnie 48 nazwisk. - Rok temu, sadząc kolejne drzewa symbolizujące bohaterstwo i nieśmiertelność, nie przypuszczaliśmy, że następnego dnia dojdzie do najtragiczniejszego wydarzenia od czasu drugiej wojny światowej, katastrofy prezydenckiego samolotu pod Smoleńskiem – mówił podczas uroczystości dyrektor Gimnazjum Miejskiego nr 1, Zbigniew Drzymała. Zapelniał się także pobliski kościół św. Jadwigi, w którym odprawiono nabożeństwo w intencji polskich oficerów zamordowanych przez sowieckich komunistów wiosną 1940 r. oraz ofiary Smoleńska z 10 kwietnia 2010 r.



Uroczystości w gminie Dębica. Pierwsi od lewej - Zdzisław Pupa, Alicja Zajęc i Jan Warzecha (foto arch.)

GMINA DĘBICA

Hołd poległym w miejscach kaźni na terenie b. ZSRR oraz w katastrofie pod Smoleńskiem złożyli także mieszkańcy gminy wiejskiej Dębica. Uroczystej mszy św. przewodniczył wykładowca Seminarium Duchownego w Tarnowie, ks. Stanisław Sojka. Po nabożeństwie wszyscy udali się na Apel Poległych pod Pomnik Katyński, gdzie złożono urnę z poświęconą chwilę wcześniej ziemią z miejsca upadku polskiego tupolewa 10 kwietnia ub.r. W obchodach zorganizowanych w gminie Dębica uczestniczyli parlamentarzyści PiS – posłowie Jan Warzecha z Dębicy i Kazimierz Moskal z Ropczyc oraz senatorowie Zdzisław Pupa z Góry Ropczyckiej i szczególnie gość uroczystości senator Alicja Zajęc z Jasła, wdowa po śp. Stanisławie Zajęcu, poległym rok temu w katastrofie pod Smoleńskiem. Stanisław Zajęc przez wiele reprezentował Podkarpacie w ławach poselskich i senatorskich, wybrany z list Zjednoczenia Chryścijańsko – Narodowego (był m.in. prezesem tego ugrupowania), a później Prawa i Sprawiedliwości. W latach osiemdziesiątych, jako adwokat był obrońcą w procesach politycznych przed krośnieńskimi i rzeszowskimi sądami.



W Ropczycach uczczono pamięć Ofiar Katynia i Smoleńska (fot. SP)

Ku pamięci ofiar Smoleńska, Katynia i Turzy

ROPCZYCE

Mieszkańcy miasta i powiatu oddali hołd poległym pod Smoleńskiem, uczestnicząc w uroczystej mszy św. polowej w intencji Lecha i Marii Kaczyńskich oraz wszystkich pozostałych ofiar, odprawionej pod Krzyżem Millenijnym na



Ku pamięci ofiar Smoleńska, Katynia i Turzy (foto. arch.)

osiedlu Witkowie. O obowiązku zachowania pamięci i walki o prawdę przypomnieli zarówno proboszcz miejscowej parafii ks. Kazimierz Płonka, jak i ropczycki poseł PiS, Kazimierz Moskal. - Tragedia pod Smoleńskiem była niejako dopełnieniem Golgoty Wschodu. Ta ofiara przypominała światu o Katyniu – mówił K. Moskal.

W drugiej części uroczystości obok pamiątkowej tablicy, w pobliżu dębu „Lech”, zasadzonego rok temu ku pamięci Prezydenta Lecha Kaczyńskiego wmurowane zostały urny z ziemią ze Smoleńska, Katyńia oraz Turzy. To ostanie miejsce ma dla Ropczyca szczególnie wymowną symbolikę. Późnym latem i jesienią 1944 r. w oddalonej o kilkanaście kilometrów od Rzeszowa Trzebusce, działał obóz NKWD. Więźniów sowieci wywozili do kompleksu leśnego w pobliskiej Turzy, gdzie ginęli od strzału wykonanego „metodą katyńską” lub podcięcia nożem tętnicy szyjnej. Turzański las, zwany Rzeszowskim Katyńiem kryje doczesne szczątki setek ofiar sowieckiego terroru, w większości bezimiennych żołnierzy AK i NSZ. Do dziś udało się z całą pewnością ustalić tożsamość jedynie trzech z nich : ppor. Zdzisława Brunowskiego („Cygan”), pchor. Eugeniusza Zymroza („Macedończyk”) oraz kpr Zdzisława Łaskawca („Monter”). Wszyscy trzej byli żołnierzami AK – Narodowej Organizacji Wojskowej z Ropczyca.

Ropczycką uroczystość pierwszej rocznicy Smoleńska wspólnie zorganizowały MKK „Solidarność” oraz poseł Prawa i Sprawiedliwości, Kazimierz Moskal. Oprawę zapewniła młodzież z ropczycko – sędziszowskiego „Strzelca”.

RK

Astronom z Mielca

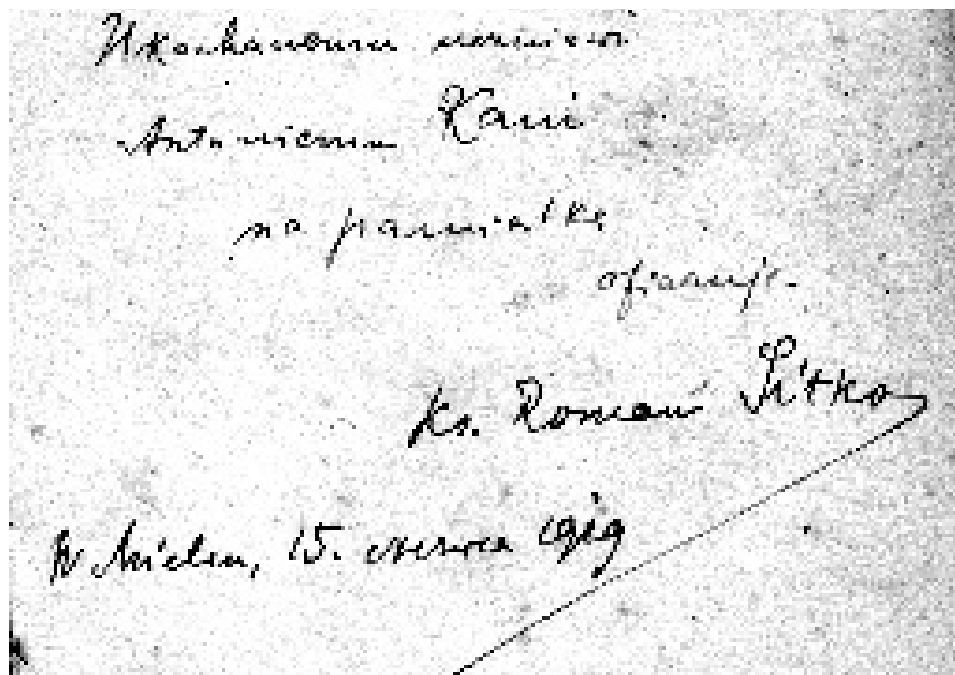
dr Antoni Kania (1900-1940)

**absolwent Gimnazjum
w Mielcu, por. art.
rezerwy WP
- zamordowany przez
NKWD w Charkowie**

Urodził się 4 XII 1900 r. w Wojsławiu k. Mielca, jako syn Jana i Antoniny z d. Flis. Natomiast w Charkowskiej Księdze Cmentarnej mówi się o Rozalii z Sobusiaków, która w rzeczywistości była babką Antoniego Kania. W latach 1906-1909 uczęszczał do 1-klasowej szkoły ludowej w Wojsławiu, a w latach 1909-1911 do 5-klasowej szkoły ludowej w Mielcu. W latach 1911-1919 uczeń Państwowego Gimnazjum w Mielcu, w którym naukę rozpoczął w roku szkolnym 1911/1912, kończąc klasę Ib jako uczeń uzdolniony. W roku szkolnym 1912/1913 uczęszczał do klasy IIb, a w roku szkolnym 1913/1914 do klasy III, co



Antoni Kania, zdjęcie z legitymacji ubezpieczeniowej z 1938 r.



Dedykacja ks. Romana Sitko w książeczce religijnej dla Antoniego Kania



Antonina Kania z d. Flis, matka Antoniego Kani (foto arch. rodz.)



Władysław Kania, brat Antoniego Kani - profesor gimnazjalny w Mielcu (foto arch. rodz.)



Siostra Antoniego Kani - Maria Kania (foto arch. rodz.)

oznaczało, że klasy „a” i „b” zostały połączone. W klasie VII odnajdujemy go w wykazach uczniów z roku szkolnego 1917/1918. W tymże roku szkolnym 4 I 1918 r., w Wojsławiu, Antoni Kania, jako uczeń klasy VIII zgłosił się do tzw. Pospolitego Ruszenia. Badania lekarskie odbył 21 stycznia tego roku w Mielcu i wówczas został uznany za niezdolnego do służby w tej austriackiej formacji militarnej. Uchroniło go to przed służbą w armii austriackiej tuż pod koniec I wojny światowej i w roku szkolnym 1918/1919, Antoni Kania w dniach 14-16 maja 1919 r. zdał pisemny, a 12 czerwca ustny egzamin maturalny i 13 czerwca otrzymał świadectwo dojrzałości. Od 15 VII 1919 r. do 23 XII 1920 r. służył ochotniczo w Wojsku Polskim.

W lipcu 1919 r. jako plutonowy rezerwy stacjonował w Jarosławiu w 39 pp Strzelców Lwowskich. W czerwcu lub lipcu 1920 r. służył w 3. plutonie 4. kompanii w akademickim obozie zbiornym w Rembertowie pod Warszawą, natomiast w sierpniu 1920 r. był słuchaczem kursu akademickiego w Centralnej Szkole Podoficerów Piechoty w Biedrusku pod Poznaniem, gdzie służył w I drużynie kompanii akademickiej. W październiku tego samego 1920 r. został przeniesiony do Centralnej Szkoły Podoficerów Piechoty w Chełmnie na Pomorzu gdzie służył w I kompanii I batalionu zapasowego w 17 pp.

Od roku akademickiego 1920/1921 do 1924/1925 studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, oddając się głównie studiom matematyki i fizyki. Na studia został przyjęty 12 IV 1920 r., na Wydział Medyczno-Filozoficzny, zaś od 26 IX 1923 r. był studentem tylko Wydziału Filozoficznego. Od 1 X 1924 r. mieszkał w Domu Akademickim w Krakowie przy ul. Jabłonowskich 12, w pokoju nr 103. Podczas studiów należał m.in. do Akademickiego Koła Mielczan w Krakowie oraz do Kółka Matematyczno-Fizycznego uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, w których działał dość aktywnie. Koło matematyczne powołało do życia m.in. Instytut Kół Matematycznych i Astronomicznych Polskiej Młodzieży Akademickiej, którego statut redagował właśnie Antoni Kania. Podejmowało też działania zakupu literatury naukowej, m.in. w księgarniach w Paryżu. Podczas studiów młody Kania działał także w Polsko-Amerykańskim Komitecie Pomocy Dzieciom, Towarzystwie Wzajemnej Pomocy Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz w uniwersyteckim Kole Pedagogicznym. Przyjaźnił się m.in. ze studentami Wydziału Filozofii UJ: Ja-

nem Smoleniem, Wilhelmem Führerem i Adolfem Scheybalem.

Od 27 VII 1925 r. do 22 VIII 1925 roku odbywał ćwiczenia wojskowe. Służył wówczas nadal jako plutonowy rezerwy w 39 pp Strzelców Lwowskich w Jarosławiu jako oficer ewidencyjny. Po odbyciu ćwiczeń wojskowych od 1 X 1925 r. do 31 VII 1926 r. był młodszym asystentem przy obserwatorium astronomicznym UJ w Krakowie. Od 23 VII 1926 r. do 26 VII 1927 r. odbywał czynną służbę wojskową najpierw w Dywizjonie Szkolnym Artylerii OK. I w 2. baterii w Ostrowie-Komorowie (Ostrowie Łomżyńskim) a następnie nadal w stopniu plutonowego podchorążego we Włodzimierzu Wołyńskim, podczas której ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Artylerii, służąc wówczas w I baterii I dywizjonu. W tym samym okresie służył też w 8 batalionie III, 22 pułku artylerii polowej w Gródku Jagiellońskim. Wówczas w dniach 14 IV – 30 IV przebywał na okolicznościowym urlopie w rodzinnym Wojsławiu. Następnie służąc w tym samym pułku w lipcu 1927 r. odbywał ćwiczenia na poligonie we wsi Dęba, poczta Majdan Kolbuszowski pod Tarnobrzegiem. Od 1 X 1927 r. do 31 XII 1932 r. był nadal młodszym asystentem przy obserwatorium astronomicznym UJ w Krakowie. W międzyczasie od 4 VI 1929 r. do 13 VII 1929 r. i od 5 IX 1932 do 15 X 1932 roku znów odbywał ćwiczenia wojskowe. Z dniem 1 I 1930 r. mianowany podporucznikiem i przydzielony do 22 pułku artylerii lekkiej, gdzie odbywał ćwiczenia rezerwy. Podlegał pod PKU Dębica.

18 II 1928 r. dostał dopuszczony do złożenia egzaminu nauczycielskiego w celu nabycia praw nauczania matematyki i fizyki. W tym celu złożył stosowne wypracowanie, które 23 V 1929 r. Prezydium Państwowej Komisji Egzaminacyjnej dla Kandydatów na Nauczycieli Szkół Średnich w Krakowie, uznało za dostateczną do dalszego ciągu egzaminu. Nie wiemy jaki był jego wynik, ale 14 I 1932 r. Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego umieściło Antoniego Kanię na liście kandydatów ubiegających się o stanowisko nauczycielskie, zaś 28 II 1932 r. upoważniło dyrekcję Gimnazjum Państwowego im. B. Nowodworskiego w Krakowie do zawarcia umowy z Antonim Kanią. 31 X 1932 r. Antoni Kania uzyskał na Uniwersytecie Jagiellońskim tytuł doktora filozofii, zaś od 1 I 1933 r. do 31 VIII 1937 r. był starszym asystentem obserwatorium astronomicznego przy UJ w Krakowie. Ponadto od 1 III 1932 do 30 VI 1932 roku uczył jako nauczyciel kontraktowy w I Państwowym Gimnazjum w Krako-

wie im. B. Nowodworskiego. W latach szkolnych 1932/1933 do 1936/1937 r. uczył w prywatnym Gimnazjum im. St. Jaworskiego w Krakowie. W okresie 20 X 1927 r. do 28 IV 1932 r. mieszkał w domu przy ul. Kopernika 27 m. 7 w Krakowie. Następnie zaś od 16 X 1933 roku w mieszkaniu nr 5 w budynku obserwatorium astronomicznego UJ, które składało się z przedpokoju suterynowego o powierzchni 11,02 m² i pokoju parterowego o powierzchni 17,62 m², co razem dawało powierzchnię 28,62 m². Były to dość skromne warunki jak na doktora uniwersyteckiego, który 19 VI 1936 r. został mianowany na starszego asystenta przy Obserwatorium Astronomicznym UJ w Krakowie. Jednak dr Kania w rok później złożył rezygnację z zajmowanego stanowiska i z dniem 31 VIII 1937 r. rektor UJ prof. Władysław Szafer, *nota bene* pochodzący z Mielca, zwolnił go z pełnienia dotychczasowych obowiązków służbowych. Według niepotwierdzonych informacji rodzinnych Antoni Kania miał w Bochni narzeczoną i to dla niej zwolnił się z pracy w Krakowie. Od 1 IX 1937 r. został nauczycielem kontraktowym w Państwowym Gimnazjum w Bochni i tam też mieszkał. Z dniem 1 V 1938 r. zarządzeniem Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie został mianowany nauczycielem tymczasowym.

Antoni Kania wielokrotnie odwiedzał rodzinny Wojsław. Prowadził też bogatą korespondencję, zwłaszcza z braćmi i siostrą. Wiadomo, że został zaproszony na „Raut Letni” zorganizowany staraniem Mieleckiego Koła Młodzieży Akademickiej, który pod protektoratem marszałka powiatu mieleckiego odbył się 19 VIII 1922 r. w sali Rady Powiatowej. Antoni Kania był członkiem Koła Młodzieży Akademickiej w Mielcu i aktywnie uczestniczył w jego pracach. Prawdopodobnie też uczestniczył w Zjeździe Wojsławian, na który został zaproszony, a który odbył się 7 i 8 VIII 1937 r. W Komisji Zjazdowej był jego brat Władysław Kania – profesor Gimnazjum w Mielcu. Ostatni raz Antoni Kania był w Wojsławiu w sierpniu 1939 roku Wszystko dokładnie oglądał, jakby chciał zapamiętać, przeczuwając, że już tu nie wróci. We wrześniu 1939 r. prawdopodobnie został zmobilizowany do Wojska Polskiego. Wcześniej miał w Bochni zdeponować pokaźną bibliotekę naukową, której był właścicielem.

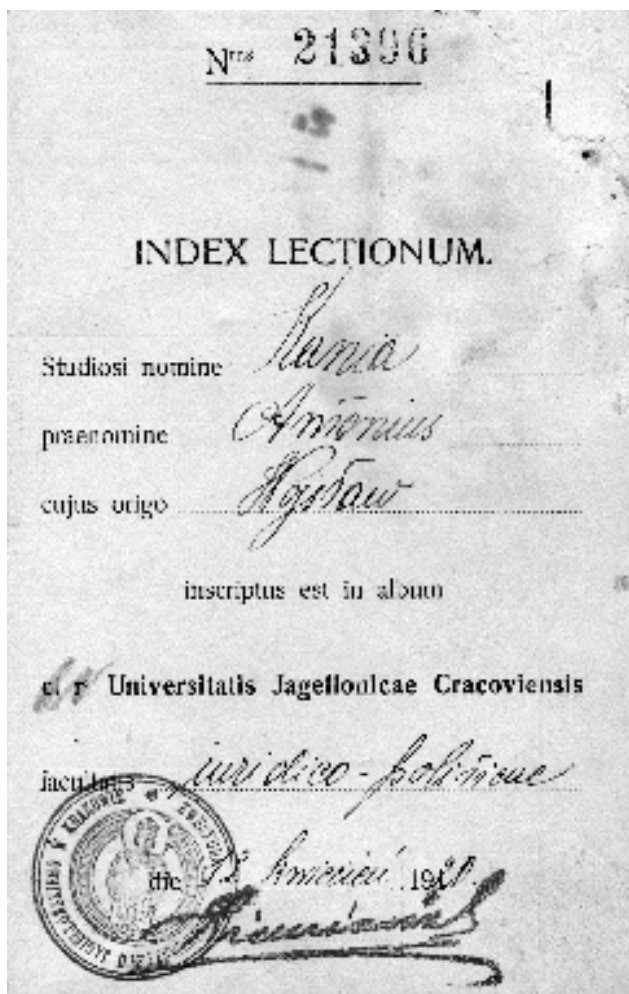
W ogóle nieznana jest bibliofilska pasja Antoniego Kania, który tuż po maturze, 15 czerwca 1919 r., od bł. ks. Romana Sitko, wówczas gimnazjalnego katechety otrzymał książeczkę religijną



Studencki Dowód Osobisty Antoniego Kania, jako studenta UJ Wydziału Filozoficznego obejmujący okres od 23 września 1923 r. do końca roku akademickiego 1925/1926.



Pamiątkowe zdjęcie, prawdopodobnie wykonane w Collegium Majus Uniwersytetu Jagiellońskiego, drugi od lewej to prawdopodobnie Antoni Kania. Z podpisów na odwrocie zdjęcia wynika, że jest tam ponadto: Ryszard Wasielewski, Zygmunt Raczkowski, Jan Adolf Scheybal i inni. Podpisane są też trzy kobiety: Krystyna Bilaska, Irena Sokulska i Maria Wojakówna (foto arch. rodz.)



Pierwsza strona indeksu studenckiego UJ Antoniego Kania studiującego wówczas na Wydziale Prawno-Politycznym w kwietniu 1920 r.



Pocztówka z gmachem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie wysłana do A. Kania przez Adolfa [Scheybala] i Janka Korpantego 16 VII 1924 r.



Zdjęcie z ćwiczeń artyleryjskich, w których prawdopodobnie brał udział Antoni Kania (foto arch. rodz.)

Tomasza á Kempis, pt. „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa”, którą opatrzył dedykacją o treści: „Ukochanemu uczniowi Antoniemu Kani na pamiątkę ofiaruje ks. Roman Sitko. W Mielcu, 15 czerwca 1919”. Być może książeczka ta stała się załącznikiem jego zbioru, chociaż młody Kania już w okresie gimnazjalnym dużo czytał i kupował książki, np. w marcu 1918 r. z wiedeńskiej księgarni nabył wysyłkowo książkę Sienkiewicza. Kupował też w księgarni Artura Gieglera w Lipsku i Hieschwalsche Buchhandlung w Berlinie. W latach następnych kupował książki m.in. w księgarni Arnolda Barda we Lwowie, Friedleina i G. Gebethnera w Krakowie. Już od młodości tworzył okazałą bibliotekę, jej pozostałości zachowały się w rodzinnych zbiorach w Mielcu, os. Wojsław. Natomiast nic nie wiadomo o losach jego księgozbioru pozostawionego prawdopodobnie w 1939 r. w depozycie w Bochni.

Po 17 września 1939 r. w nieznanych okolicznościach por. Antoni Kania został wzięty do niewoli przez Sowieców i osadzony w obozie w Starobielsku. W kwietniu lub maju 1940 r. zamordowany w siedzibie NKWD w Charkowie i jest pochowany na tamtejszym Polskim Cmentarzu Wojennym. Jego rodzina w Wojsławiu do 2007 r. nie miała pojęcia co się z nim stało. Dopiero kiedy właśnie w tym roku prezydent RP Lech Kaczyński awansował wszystkich zamordowanych oficerów polskich w ZSRR wiosną 1940 r., skojarzyli nazwisko Antoniego Kania ze swoim krewnym, dr filozofii i astronomem z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jednak w odnalezionych przez rodzinę dokumentach pozostawionych przez Antoniego Kanię odnalazł się list z Krakowa, datowany na 8 lutego 1947 r., wysłany zapewne do żyjących jeszcze rodziców, w którym czytamy:

Szanowni Państwo!

Niniejszym zwracamy się z prośbą o przesłanie nam wiadomości o losach naszego byłego Kolegi dr. Antoniego Kania, o którym wiemy tylko tyle, że był w obozie w Starobielsku. Na liście katyńskiej, dzięki Bogu, nie znaleźliśmy go, natomiast słyszeliśmy potem, jakoby miał być w Turcji, ale to nie była pewna wiadomość. Jeśli żyje i znany jest jego adres prosimy o przesłanie pozdrowień.

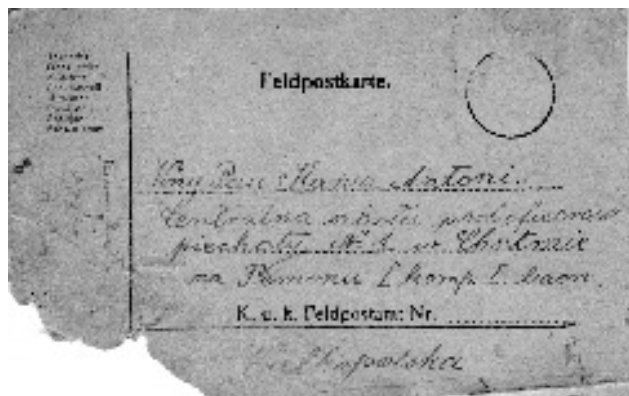
Asystenci Obs. Astr. UJ w Krakowie

Warto tu też wspomnieć, że Antoni Kania był rodzonym bratem Władysława Kania – profesora Gimnazjum w Mielcu, który podczas okupacji niemieckiej, 6 VIII 1940 r. został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu hitlerowskiego koncentracyjnego w Oranienburgu, gdzie zmarł 12 X 1942 r.

Po Antonim Kani pozostało wiele dokumentów, w tym głównie korespondencji w różnym stanie zachowania z różnych okresów jego dorosłego życia. Wymagają one dalszego, żmudnego i pracochłonnego opracowania. Nie wiemy natomiast prawie nic o jego pobycie w Bochni, nie mówiąc już o kampanii wrześniowej 1939 r. i okoliczności niewoli. W związku z tym zwracamy się do naszych Czytelników, w tym też do ewentualnych krewnych opisywanych przez nas osób do przekazywania nam informacji, dokumentów, zdjęć itp., abyśmy mogli jeszcze pełniej pokazywać, zapomniane, a godne pamięci postaci Ziemi Mieleckiej i okolic. Antoni Kania, o którym historia milczała przez 70 lat, jest najlepszym przykładem tego, że nadal warto dokonywać takich poszukiwań.

Włodzimierz Gasiewski

Nasz adres:
Redakcja „Więści Regionalnych”, 39-300 Mielec,
ul. Mickiewicza 7;
tel. 17 5831498, tel. kom. 602 776197;
e-mail: gasiewski@interia.eu



Jedną z najwcześniejszych korespondencji z wojska wysłaną do Antoniego Kania służącego wówczas w Centralnej Szkole Podoficerów Piechoty Nr 1 w Chełmie na Pomorzu I. komp. I baon. z dnia 18 X 1920 r. przez prawdopodobnie jego koleżkę szkolnego.

Źródła:

Archiwum Rodziny Kaniów w posiadaniu Stanisława Flisa z Rzeszowa i Krystiana Żmudy z Mielca os. Wojsław, m.in.: *Dowód Osobisty studenta UJ Antoniego Kania z lat 1923-1926*; *Indeks studencki UJ nr 21396 z 1920 r.*; *Legitymacja ubezpieczeniowa Antoniego Kania nr 1718230, wydana 14 V 1938 r. w Tarnowie*; *Książeczka religijna Tomasza á Kempisa, pt. „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa” z dedykacją bl. ks. Romana Sitko*; *Życiorys napisany własnoręcznie przez Antoniego Kania z 1937 lub 1938 r. oraz kartki pocztowe, listy i inne dokumenty i zdjęcia*;

Alfabetyczny spis absolwentów szkoły, opr. A. Tychanowicz. W: *Księga jubileuszowa 100 rocznicy Gimnazjum i Liceum w Mielcu 1905-2005*. Red. J. Skrzypczak. Mielec 2005, s. 701;

Archiwum Gimnazjum i I Liceum Ogólnokształcącego w Mielcu, sygn. 1.1.13, s. 10 i sygn. 1.1.43, s. 3; *Arkusze ocen Antoniego Kania z Katalogu Głównego c.k. Gimnazjum w Mielcu klasy Ib z roku szkolnego 1911/1912 i z klasy VIII roku szkoln. 1918/1919*;

CAW, AP 7780; *Charków. Księga cmentarna*. Warszawa 2003, s. 209;

S. Flis, *Niech czas nie zaćmi lub niepamięć. Rzecz o ludziach i ziemi*. Kamionka 2003;

W. Gąsiewski, *Astronom z Mielca. Antoni Kania (1900-1940). Absolwent Gimnazjum w Mielcu, por. art. rezerwy WP - zamordowany przez NKWD w Charkowie. „Nadwisłocze”*. R. 2010, nr 3, s. 19 oraz „Wieści Regionalne”. R. 2011, nr 3, s. 7; tenże, *Mielecka gimnazjalna lista katyńska*. Mielec 2010, s. 15-16;

Lista Starobielska nr 1338; Rocznik oficerów rezerwy 1934. Warszawa 1934, s. 146, 634;

Sprawozdanie dyrekcyi c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1912. Mielec 1912, s. 48;

Sprawozdanie dyrekcyi c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1912/13. Mielec 1913, s. 91;

Sprawozdanie dyrekcyi c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1913/14. Mielec 1914, s. 110;

VI Sprawozdanie dyrekcyi c.k. Gimnazjum w Mielcu za rok szkolny 1917/18. Mielec 1918, s. 33;

VII sprawozdanie dyrekcyi Gimnazjum Państwowego w Mielcu za rok szkolny 1918/19. Mielec 1919, s. 25;

J. Witek, *Biogramy*. W: *Księga jubileuszowa 100 rocznicy Gimnazjum i Liceum w Mielcu 1905-2005*. Red. J. Skrzypczak. Mielec 2005, s. 422.

KATYŃSKIE ROZWAŻANIE

szum katyńskich lasów świadków
ukołysał do snu rzeczypospolitej orły
ongis enkawudzista przewiercił im głowy
świdrem nienawiści do polskich mundurów
i do dziś matka potajemnie szlocha
za nimi po nocach głośno i żałośnie

prawda wciąż bolesna rana ropiejąca
nawet zwiędły kwiaty w ogrodach naszych
i o nich pamięć jest skrwawiona
która wciąż woła oddaj nam dzieci żywe
i nie odzieraj ich z godności przykrywając
pohańbione ciała całunem kłamstwa

prosimy w imię ołtarzy świętych na ziemi
gdzie jeszcze polskość w sakramentach płonie
niechaj nie jadą do katynia hochsztaplerzy
zbrukani krwią herosów i obłudą faryzejskiej wiary
niech nie burzą wiecznego spoczywania zmarłych
tych rozstrzelanych i z ostatniego lotu

panie przebacz tym co stroją nad grobem skecze
a bohaterów obdarz co rychlej powstaniem
z martwych o to cię kornie proszą biedacy
już bez oręża dumy i chwały
pełni upodlenia i frymarczenia wolnością
ty nas wysłuchaj boże i miej litość niezmierną

padamy przed tobą przedwieczny
w pokutny proch się zmieniamy pytając
dlaczego nasze jestestwa tak sieczesz różgą
naprawy a my głupiejemy do reszty
zabierz nam wszystko bogactwo i famę
tylko zostaw drobinę ludzkiej godności

klękamy na licznych mogiłach współbracia
z waszymi ojcami matkami i dziećmi
przyjmijcie pisanki i bazy wierzbowe
zdobne w modlitwę świętą wielkiej nocy
może wam przyśni się z palmą dzieciństwo
dzwony rezurekcja alleluja i zmartwychwstanie.

Sanctae Catharinae,
Die XXVIII mensis Martii
Anno Domini MMXI

Mieczysław Kuriański



Melitser Jidn Żydzi mieleccy w fotografii

Wielkiego oraz Muzeum Regionalnego w Mielcu. Informację o tym oraz kilkanaście zdjęć Żydów przedstawiliśmy w Kwartalniku „Nadwislócze” w 2004 r.

Obecna wystawa, swym rozmachem i setkami wcześniej nie pokazywanych zdjęć przewyższa wszystko co do tej pory wydarzyło się w tym zakresie w Mielcu i jest z pewnością wydarzeniem historycznym, ale też i kulturowym nie tylko w wymiarze lokalnym, ale też regionalnym i krajowym.

Celem wystawy, jak pisze jej autor w okolicznościowym suplementcie: *jest przede wszystkim ukazanie postaci, twarzy, przedstawienie konkretnych ludzi. Tylko w niewielkim stopniu zdecydowaliśmy się na zamieszczenie fotografii związanych z architekturą. (...) Pominięto także ponad 50 fotografii ukazujących deportację mieleckiej gminy żydowskiej w 1942 r., decydując się umieścić jedynie dwie z nich, by - obraz ulicy Szerokiej z wyniesionymi na nią żydowskimi meblami i współczesne fotografie monumentów w Bełżcu - stanowiły groźne memento.* Wystawę można było oglądać do końca marca 2011 r.

Na zdjęciu Juda Horowitz, rabin mielecki. Jedno z najpiękniejszych zdjęć żydowskich patriarchów w Polsce, fot. Wiktor Jaderny, ze zbiorów Stanisława Wanatowicza. Zdjęcie z plakatu i suplementu do wystawy, zob. także: W. G[ąsiewski], Judaica - I wyróżnienie dla Emilii Wanatowicz w Mielcu. Żydzi mieleccy w fotografii. „Nadwislócze” r. 2004, nr 2, s. 58-59

Inf. i fot. W. Gąsiewski

W dniu 10 marca br. w Centrum Wystawienniczo-Promocyjnym Samorządowego Centrum Kultury w Mielcu została otwarta wystawa pt. „Melitser Jidn. Żydzi mieleccy w fotografii”, autorstwa Stanisława Wanatowicza z Mielca, z jego zbiorów oraz Muzeum Regionalnego w Mielcu.

Otwarcia i wprowadzenia w tematykę wystawy dokonał Jacek Tejchma - dyrektor SCK w Mielcu, mówiąc m.in., że w regionie mieleckim mieszkało oprócz Polaków, także kilka innych narodowości, jak chociażby duża społeczność żydowska, czy też potomków kolonistów niemieckich, a nawet osadników tatarskich, stąd potrzeba dokonywania ich prezentacji. Natomiast w swoim wystąpieniu Stanisław Wanatowicz, autor i inicjator wystawy, przedstawił pokrótce historię jego zainteresowania tematyką żydowską, w czym inspiracją był m.in. sukces jego córki Emilii Wanatowicz, która w 2004 r. zdobyła I wyróżnienie w konkursie „Historia i kultura Żydów Polskich” zorganizowanego przez Amerykańsko-Polsko-Izraelską Fundację „Shalom”. Emilia Wanatowicz w pracy konkursowej zamieściła wiele zdjęć ze zbiorów Stanisława Wanatowicza i Jana Ziobronia z Radomyśla



Na zdjęciu od prawej: Stanisław Wanatowicz - autor wystawy i od lewej Jacek Tejchma, gospodarz wystawy, dyr. SCK w Mielcu



Unikalne zdjęcia legitymacyjne mieleckich Żydów zaprezentowane na wystawie.

Mieleckie Judaica w sztuce



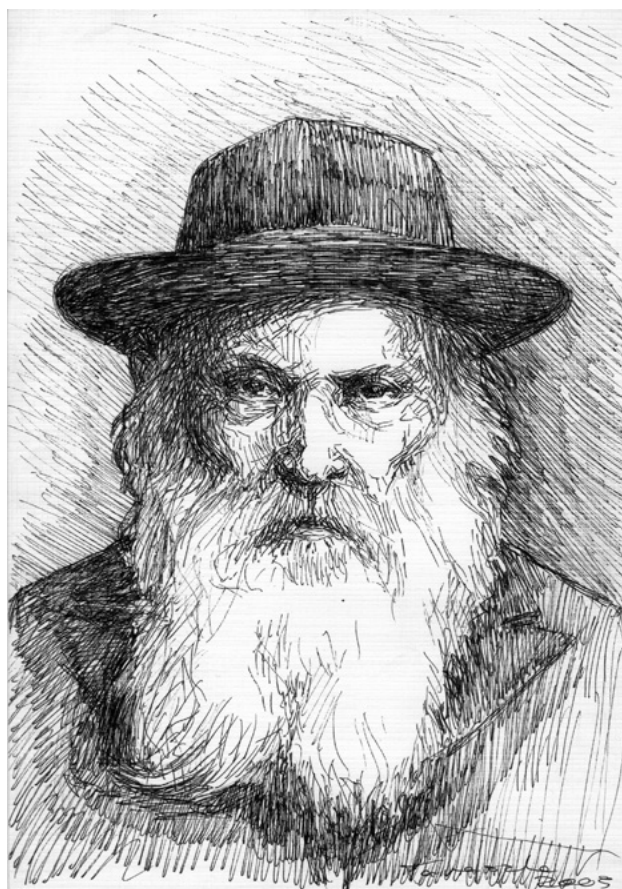
Chłopcy żydowscy w Mielcu. K. Taraszka, rys. na podst. fot., zb. prywatne



Żydowskie miasteczko. Z. Maglecki, olej, zb. prywatne



Żyd z brodą. Z. Maglecki, olej, zb. prywatne



Żyd mielecki. K. Taraszka, rys. na podst. fot., zb. prywatne

Janina Korpanty

Rodzina Korpantych (6)

Rok 1934
Pułaczów powiat Opatów

Na skutek tej politycznej sprawy zostałam dyscyplinarnie przeniesiona do Pułaczowa, małej wsi na pograniczu powiatu Opatów i Sandomierz. Posadę objęłam dopiero od 1 grudnia roku 1934. Zabrałam swoje meble i pojechałam furmanką z gospodarzem znad Wisły, którego nastreczył nam Wilek Piątek, który pracował przy warsztacie Tatusia. On ze mną pojechał. Pułaczów to była mała wieś, szkoła drewniana leżała w dole, tu już był teren pagórkowaty, blisko Góry Świętokrzyskie. W szkole byli starzy rodzice kierownika, który był żonaty, ale żona z nim nie pracowała. Mieszkanie moje było na końcu wsi, niedaleko starego lasu, drzewa grube, ale rzadko rosły. Miałam jedną izbę z kominem. Gospodarzami byli Labudowie, syn i córka, oboje dorośli, gnieździli się w małej kuchni. Do szkoły miałam spory kawał drogi. Całe życie mam to we krwi, że zawsze wszędzie przychodzę dużo wcześniej przed oznaczoną godziną. Ile razy rano przyszedłam do szkoły, tyle razy było nasikane do miednicy w mojej klasie; robiono to na złość, że ja przyszedłam do tej szkoły, a nie żona kierownika. W szkole, jak zwykle, prymityw, ławki stare, czyściliśmy je na robotach, podłoga napuszczana olejem, umywalka drewniana, miednica, wiadro, już nie pamiętam, czy były ręczniki. Szkoła była usytuowana tuż przy wielkich stawach należących do hrabiego Jelskiego, którego babka była wnuczką Tadeusza Czackiego, założyciela Liceum w Krzemieńcu, do którego uczęszczał Juliusz Słowacki. Dwór Jelskich był w następnej wsi, w Szumsku koło Rakowa. Te stawy były zarodowe, tu puszczano ikrę i „rodziły” się małe karpie, dlatego te stawy były płytkie, by woda była ciepła. W zimie okna w szkole i w moim pokoju zamarały, bo były pojedyncze, paliło się drzewem. W zimie na skraj tego lasu wychodziły wilki i wyły do księżycy. Pamiętam, jak po Bożym Narodzeniu odwiózł mnie Wilek, miałam pożyczone futro do wyjazdu od rejenta Ignacego Kosińskiego, u którego pracował wujciu Tadeusz Wanatowicz, a Tatuś dał mu rewolwer, bo zawsze miał broń, jaka straszna była ta chwila, noc, zima ja zostaje, a on jedzie przez lasy, bo jak się wjechało w lasy to można było jechać cały dzień, las i las, a ja się boję. Ale przeżyłam tam rok szkolny, byłam nawet na weselu wiejskim i nikt mi żadnej nie zrobił krzywdy. Ten gospodarz Libuda co niedzielę jechał z żoną do kościoła do Szumska, bo tam była parafia, zawsze zabierał mnie ze sobą i nie brał pieniędzy za furmankę. Byłam świadkiem różnych scen w tym domu, ale lepiej o nich nie pisać.

Rok 1935
Szumsko koło Rakowa

Szumsko to wieś duża, leżąca wśród wzgórz pokrytych urodzajną glebą, na której dwór miał koniczynę białą (na farby), mak, buraki cukrowe. Pola chłopskie miały gorszą glebę. Na wzgórzach stał ładny kościół duży z czerwonej cegły, trochę dalej też wysoko plebania, koło plebanii szkoła murowana, stara. Naprzeciw szkoły po drugiej stronie drogi długie, duże stajnie dworskie i ogólnik, czyli wybieg dla krów, cieląt, koni, zrebaków. Niżej tych stajni wielkie stawy rybne. Ryby karmiono ziemniakami gotowanymi z paszą i łubinem. Niżej stawów ogród warzywny dworski

i sad z dworem, który był usytuowany w środku wsi. Dwór drewniany z gankiem, typowy dla dawnych dworów szlacheckich. We dworze nigdy nie byłam. Rezydował tam stary Ładysław Jelski i jego syn Jerzy, kawaler nie pierwszej już młodości. Ojciec siedział w Warszawie, pilnował fabryki ołówków w Pruszkowie, a młody Jerzy gospodarzył i hulał, miał wiele kochanek. Nazwiska proboszcza nie pamiętam; już o nim pisałam, jak to nie dał mi dyspensy od postu.

Kierownik Kulczyński był rezerwistą, oficerem, miał chorą żonę, krecił romans z moją koleżanką, bo nas było troje. Jako kierownik i nauczyciel był doskonałym fachowcem, chodził na hospicja, lekcje analizował dokładnie i pouczał mnie, dużo mu zawdzięczam. Ponieważ był tylko jeden ksiądz, a dzieci dużo, dlatego miałam misję kanoniczną od ks. Biskupa z Sandomierza i uczyłam religii, przygotowywałam do Pierwszej Komunii Świętej.

Dzieci było dużo i biedne, najbiedniejsze były dzieci fornali czyli służby dworskiej, która pracowała w polu i obrządzała krowy, świnie, konie itd.

Na wsi była wynajęta klasa dla małych dzieci, dwa małe okienka, wchodziło się do klasy wprost z drogi, jak okna zamarały, to odtajały na wiosnę, dzieciom kupowałam przybory szkolne, w zimie uczyłam w kozuchu i rękawiczkach, dużo dzieci było niedorozwiniętych, głodnych zwłaszcza na przednówku, jadły tylko kaszę, dopiero jak nastaly jagody w lesie, a lasy były piękne i dookoła horyzontu, to zbierali i kupowali chleb i my jak byliśmy w domu, to prawie co wieczór składaliśmy się razem z chłopcami przy warsztacie na biały chleb od grubego piekarza Trompetra by sobie odmienić, bo jedliśmy razowy w domu.

Gospodarze czyli właściciele swoich pól mieli w pogardzie fornali i dojarki, które doily piękne całe czerwone krowy, rasa świętokrzyska, krowy dworskie.

Ja mieszkalam daleko od szkoły sama w całym domu, który miał duży pokój do ulicy, sionkę i drugi mniejszy pokój, w którym były składane jabłka, nieraz aż po okno wysoko.

W tym domu mieszkalam aż do roku 1937. Nikt, nigdy nawet nie zastukał do okna. Miałam radio detektor, płaciło się miesięcznie 5 zł, a za pokój 15 zł, na wakacje zdejmowałam antenę, by nie płacić opłaty, pisałam do radia i raz taki sławny pan, nie pamiętam nazwiska, czytał mój list przez radio.

W Szumsku miałam kościół na miejscu, stołowałam się we dworze. Gospodynią była panna Teresa bardzo gruba pani, za obiad płaciłam 1,20 gr. Dziecko od sąsiadów nosiło, płaciłam 5 zł, do obiadu nosiło się 3 menażki na: 1 zupa, 2 drugie danie, 3 legumina, garnuszek półlitrowy na kompot i serwetkę na kromkę chleba. Jakie były obiady?

Np. postny: zupa ziemniaczana koloru czarnej kawy (wywar z grzybków), leniwe kluski (rozplywały się w gębie, zawsze były troszkę słodkie), jabłka pieczone nadziewane konfiturą z czerwonych porzeczek.

Obiad na imieniny Ładysława Jelskiego (gdzieś w jesieni były obchodzone) 1. rosół koloru czarnej kawy bez jednego oka z francuskimi kluskami, ani żdziebelko drobne z tych klusek nie pływało w rosole, 2. indyk w potrawce z ryżem, nigdy indyk nie był pieczony, tylko gotowany, potrawka kwaskowata, sos białawy, przezroczysty, babka (Savarin) na 60 złotych nie dała się podnieść do ust, a na języku rozplywała się.

Zawsze na imieniny pisałyśmy na wizytówkach życzenia, hrabia zawsze uprzejmie dziękował, był Szambelanem Jego Świętobliwości Papieża, drugi syn hrabiego był umysłowo chory. Na te imieniny przyjeżdżał z Kurozwek hr. Popiel, taki olbrzym, że nogi miał prawie na ziemi jak jechał konno.

Choć we dworze nie było pani domu, to goście byli stale, starzy panowie z Warszawy, np. generał Wróblewski w jesieni jechał wieczorem konno na polowanie na jelenie, za nim lokaj

wiół nowoczesną dubeltówkę z muszką, rano wracali. Mięso z jelenia jest bardzo dobre, tak jak z zająca, zawsze była pieczeń na dziko, czyli z śmietanie. Po pierwszym szłam płacić za obiady i pani Teresa dziękowała i w pas się kłaniała, taki był „ciężki” nasz pieniądz.

Dwór nam, to znaczy szkole i proboszczowi, przywoził codziennie pocztę z Rakowa, to wielka była wygoda.

Oprócz tego generała, częstym gościem był jego brat artysta malarz, który przyjeżdżał zwłaszcza na wiosnę, by namalować bzy, bo taki malował portret „pani z bzami,” byli to wysocy b. piękni panowie, na malarza mówiliśmy św. Józef, bo miał brodę.

W kościele dwór siadał w kolatorskiej ławce po prawej stronie, a szkoła, rządca dworski, praktykanci po lewej.

Rządca był pan Zalewski, bliżej żyłam z jego rodziną, ja do nich chodziłam, oni do mnie, zawsze jak jechałam na Boże Narodzenie dostawałam od nich zająca, kupowałam gęś na wsi, pożyczali mi futro do wyjazdu i jechałam furmanką 36 km do Opatowa przez lasy, co uwidziałam człowieka to się już bałam, że bandyta. Przejeżdżałam koło olbrzymiego zamku w Ujazdowie, w którym było 365 pokoi, tyle ile dni w roku. W Opatowie wynajmowałam taksówkę i jechałam do Ostrowca Świętokrzyskiego i stąd pociągiem do Mielca, zawsze przeziębiona, angina, chora i nic nie jadłam, bo nie mogłam przełknąć, zawsze kierownik dawał mi dzień wcześniej urlop, wracałam normalnie, umówiony gospodarz czekał na mnie w Opatowie.

We dworze często zmieniali się praktykanci, to z nimi chodziliśmy na randki do lasu, a lasy były piękne. Na wiosnę bieleły się od białych zawilców, nad strugiem złościły się od żółtych kaczeczków, podglądaliśmy wieczorem jak sarny idą do wodopoju, jadąc przez lasy widziałam małe sarenki, a w południe przelatujące ważki (duże, ciemne owady) wydawały dziwną woń, wabiły samice, samców.

Jak patrzyłam na te kobierce kwiatów leśnych, to miałam ochotę tarzać się po tym kobiercu, często te lasy mi się śniły i hrabia Jerzy Jelski, o nim napiszę szerzej.

Jerzy Jelski to rasowy szlachcic, chudy, wysoki, orli nos, cały dzień na koniu, jeździł po polach, nie był pierwszej młodości, rozeszła się wieść, że dziedzic żeni się z panną Karską z Górek spod Sandomierza (wspomniana ta miejscowość jest w „Popiołach” Żeromskiego, który był w tych okolicach, bo gdy w Warszawie dostał na studiach tyfusu płamistego, to Go krewni zabrali do Kurozwęk hr. Popiela, bo jego krewny był tam rządcą, zawsze ubranie spallili). Nim się Jelski ożenił, to wyprawił wielkie polowanie, przyjechało dużo szlachty, przez cały dzień polowali z nagonką w lesie, a pod wieczór utworzyli kocioł, wypędzone zające przez chłopów z nagonki z lasu zepchnęli na duże pole koło czworaków i tu wszystkie wystrzelali, jechały wozy drabiniaste z takimi drążkami i na tych drążkach wieszali zabity zwierzyne z numerem strzelca. Młody Jelski się ożenił, młoda, ładna pani przyjechała do dworu.

Małżeństwo nie było szczęśliwe i młoda hrabina umarła przy dziecku, poród był w Warszawie, niekrzepliwość krwi, sprowadzili aż lekarzy z Wiednia, dziecko syn było żywe i chowało się.

Jak wieść o śmierci dziedziczki przyszła do Szumska, to stary Jelski przyszedł do szkoły i prosił, byśmy się zajęły przygotowaniem wielkiego przedpokojku na rodzaj kaplicy, na zwłoki. Był to chyba maj, bo było bardzo ciepło i kwiaty białe, pachnące jaśminy, w te kwiaty ubraliśmy pokój jej, bo stary hrabia przypuszczał, że tu będą złożone zwłoki, a później do kościoła.

Stało się inaczej, bo w przeddzień pogrzebu przyjechało z Górek od rodziców dziedziczki 6 wozów kwiatów, same egzotyczne palmy, podziwiałam jak to były te palmy pakowane, służba też z Górek i przygotowali wspinały katafalk w kościele. Zwłoki przywieziono z Warszawy, już się rozkładały.

Od męża był wieniec z białych kalii i napis: Marysi – Jerzy. Pogrzeb ogromny, dziedziców mnóstwo, i po powozach, brykach poznawałam zamożność właścicieli.

Szkoła, dzieci wymościły całą drogę z kościoła na cmentarz kwiatami, przeważnie czerwonymi piwoniami, Jelscy na cmentarzu mieli swoją rodzinną kaplicę i do niej złożyli młodą dziedziczkę, szkoła – dzieci otoczyły kaplicę wiankiem i tak się złożyło, że stałam blisko zmarłej rodziny, pamiętam matkę zmarłej, wysoka, postawna kobieta, jeszcze urodna, w czarnej sukni z długim rękawem i na szyi olbrzymi sznur pereł wielkości orzecha laskowego, sięgał prawie do kolan. Wielu uczestników pogrzebu, wprost z cmentarza, siadali do powozu i odjeżdżali. Po uroczystościach panowie Jelscy przysłali podziękowanie (mam jeszcze) a Jerzy Jelski zwrócił nam uwagę, że piwonie są kwiatami samobójców, a my w niewiedzy, takie kwiaty były rzucane na drogę.

Jak już wyjechałam ze Szumska, młody dziedzic ożenił się po raz drugi z biedną panną, pierwsze dziecko, syn dobrze się chował. Po roku 1945 po reformie rolnej odebrali im majątek i Jerzy Jelski, gdzieś w Olsztynie pracował i nawet miał jakąś brudną sprawę, o tym czytałam w gazecie.

Tak jak na tamtych posiadach nauczycielskich tak i z Szumska jeździliśmy na konferencje rejonowe do Łagowa, takie małe miasteczko. Na tych konferencjach było miło i wesoło, zawsze sobie kupowałam w masarni baleron, bardzo lubię, lepiej niż szynkę.

Z konferencji wracaliśmy późnym wieczorem, w koło pagórki uprawne, bardzo dobra gleba, jechało się pod górę i z góry, zawsze furman hamował wóz. Zwykle w milczeniu, każdy był zajęty sobą, a jak ja patrzyłam na ginący w mroku świat Boży, słońce, zawsze mnie ogarniało uczucie nieskończoności, tego samego uczucia doznawałam w górach (byłam z Bronkiem) i nad Bałtykiem.

Zwiedziłam Góry Świętokrzyskie, Puszcze Jodłową.

W Szumsku przyjaźniłam się z rodziną Biemów, czy tam jeszcze kiedy pojedę, podobno tam teraz raj, a to była taka piękna okolica.

Jeszcze opiszę jak młócono we dworze, maszyna nazywała się bukowiec (?) bo w niej palono bukowym drzewem, jak młócili mak (a sadzili łany maku) to wymłócili górę, piękny był łan kwitnącego maku, już w tamtych latach znali środki na pasożyty roślin, o każdej porze dnia widać było w polu: dziedzica na koniu, lub praktykanta, lub rządcę na „linijce,” mak, biała koniczyna i buraki cukrowe to kierunki upraw w tym majątku.

Jeszcze jeden obrazek, jak cenny był pieniądz. Na drugie śniadanie posyłałyśmy z koleżanką dziecko do ogrodnika dworskiego, by kupiło za 5 groszy rzodkiewek, to mu opłaciło się iść do warzywnika i urwać białej (sople lodu) i czerwonej rzodkiewki, bo za 5 groszy była bułka, 5 groszy co piątek rodzice dawali biednym, których było dużo, przychodzili do domu, nie było opieki społecznej, ludzie wspierali się wzajemnie dając jałmużnę, dziś ta forma wsparcia uchodzi, bo jest upokarzająca, działa Opieka Społeczna.

Jeszcze muszę napisać, że w Szumsku upadłam na lodzie koło kościoła i zwicnęłam nogę, naprawiał mi znachor z następnej wsi, do szkoły wozził mnie sąsiad.

Ile wydawałam na życie i mieszkanie około 60-70 zł a zarabiałam 160 zł, czyli byłam bogaczem, pieniądze składałam na książeczkę PKO i posyłałam do domu, o czym już pisałam.

Muszę jeszcze napisać, że jednego czasu w Szumsku, był inżynier-geodeta, robił pomiary, był z Kielc, człowiek żonaty. Złożył mi wizytę i prawie co wieczór przychodził na pogwarki, zawsze go przyjmowałam herbatą, pisałam, że miałam detektor, to on rozkręcał i o jednej słuchawce słuchaliśmy radia. Pamiętam jak dziś, jak słuchaliśmy słuchowiska pt. „Tu Santa Cruz” o nadchodzącym cyklonie. Ja haftowałam ten lniany obrus w czerwone polne róże, bo wtedy się szyło, a dziś gapimy się w telewizor.

WSPOMNIENIOWE NADWISŁOCZE

Przypuszczam, że nawiązała się między nami sympatia i jednej nocy śnił mi się taki sen. Uchylają się drzwi do pokoju, ukazuje się głowa diabła piękna, ma rogi i ten diabeł pogroził mi palcem, nic nie mówił, rozumiałam, że to była przestroga.

Ludzie powiadomili żonę, przyjechała, ale ja jej nie wiedziałam, później inżynier wyjechał, nie pamiętam nazwiska jego (powinno się prowadzić zapiski w życiu).

Co ludzie na wsi w Szumsku jedli? Na rano barszcz i ziemniaki, na południe kluski, na wieczór zalewajkę, mało chleba, chleb był w skrzyżni. Ja w Szumsku ubierałam się pięknie, długie suknie, kapelusze, to było rażące w stosunku do wsi.

Chciałam się wyrwać ze Szumaska, bo to była okropna komunikacja, Józiu był u mnie w Szumsku i dlatego co miesiąc pisałam regularnie do krewnego Jana Weryńskiego do Lwowa, bo on tam był kuratorem szkolnym, on co miesiąc mi odpisywał, ale mnie nie mógł przenieść, i wyobraźcie sobie, że w roku 1981 na początku przyszła mi do głowy myśl wytłumaczająca jego niemożność przeniesienia mnie, po tylu latach rozumiałam, że musiałam mieć w aktach personalnych napisaną złą opinię, za ten krzyż w Rudzie i tak na pewno było.

Lata się przeciągały i postanowiłam się dalej kształcić, by się wyrwać z tej posady i zostałam przyjęta na Wyższy Kurs Nauczycielski do Krakowa w r. 1937.

Już wcześniej miałam opisać pogromy Żydów w Mielcu, jeszcze dodam, że jak uczyłam w Rudzie to dzieci przynosiły mi ryby miętusy bez ości, ściągano skórę, bardzo były smaczne, wszędzie, gdzie uczyłam, dzieci czy matki nosiły prezenty: jajka, masło, kogutki.

Lata przed II wojną światową były niespokojne. Buntowali się robotnicy, chłopci a biedota chłopska z lasów spod Kolbuszowej robiła pogromy Żydów w Mielcu. Przychodzili gromadnie, rozbijali sklepy i rabowali towar, co się dało, uciekali po rebelii do swoich wsi. Nie wiem skąd Żydzi wcześniej o tych napadach wiedzieli, bo w przeddzień czwartku przynosili do naszego domu drogocenne towary. Ci Żydzi z którymi Tatuś handlował skórą jak Sruł, Mularz to przynosili krepony na podeszwy (z Argentyny sprowadzane), szefra (?) angielskie, cieniutka, miękka skóra na wierzchy trzewików.

Pamiętam raz Żydówka Groska, która miała bardzo bogaty sklep z luksusowymi materiałami, jedwab, koronki, też przyniosła towary na przechowanie. Chłopci ze zrabowanym towarem uciekali drogą Gołuchowskiego dziś ul. Obrońców Pokoju, koło Banku Narodowego, by się nie zetknąć z policją, bałam się tych ludzi rozjuszonych jak zwierzęta.

Również na tej samej drodze, koło Banku Narodowego były wiece chłopów, a chłopski poseł Krempa z Padwi przemawiał do chłopów stojąc na becze. Czasy przed II wojną światową były społecznie niespokojne, wielkie różnice między biedotą, a bogatym i jeszcze rosnące napięcie polityczne między Niemcami, a Polską, ludzie nic dobrego nie wróżyli.

Jeszcze muszę napisać, że do Szumaska woził mnie pan Trzpis z Kliszowa, dawny legionista, często odwiedzał mnie w Mielcu po II wojnie światowej.

Do Szumaska jechałam furmanką, tylko na Boże Narodzenie pociągami, już o tym pisałam.

A jak się to jechało. Pan Trzpis przyjeżdżał do Mielca, jechaliśmy na Borowę i do Zdakowa, tam przeprawiałam się przez Wisłę promem, po drugiej stronie Wisły leżał historyczny Połaniec, gdzie Tadeusz Kościuszko ogłosił słynny Manifest Połaniecki, biorący w opiekę chłopów.

Jeszcze o Połaniu napisze później. Przejeżdżało się przez Połaniec, a za Połaniem pustynia piaskowa, sypki, żółty piasek na dużej długości drogi, potem wieś i wjeżdżało się w lasy, które należały do księcia Radziwiłła, miejscowość Rytwiany, majątek przemysłowy, przemysł rolniczy, we Włoszczowej była słyn-

na cukrownia. Przez lasy jechało się godzinami, pięknie wyglądał las, gdy go oświetlało słońce, widziałam rodziny saren, małe i duże, w lasach były strugi, leśne łąki. Pamiętam, że przejeżdżało się przez Staszów, typowa miejscina pod zaborem rosyjskim. Olbrzymi rynek. Wokół kamieniczki parterowe, a na środku rynku długi, parterowy budynek, w którym mieściły się sklepy. Pamiętam, że przejeżdżałam przez wieś Wiśniowa, ksiądz z tej miejscowości często gościł naszego proboszcza.

Koło tej miejscowości biegła kolejka wąskotorowa, może raz nią jechałam, najlepiej było jechać furmanką.

Aby dopełnić obrazu mojego życia w Szumsku, należy opisać miejscowość Raków koło Staszowa (taki był adres do mnie: Szumsko – pta Raków koło Staszowa). Było to małe miasteczko, pełne Żydów, tu kupowaliśmy co było potrzeba, stąd dwór przywoził nam pocztę konno. Szkoła w Rakowie była 7 klasowa, a kierownikiem był p. Federowicz, chodziliśmy do nich bardzo często. Raków to słynna siedziba Arian polskich w XVII w., których nazywano też Braćmi Polskimi, byli bardzo postępowi, brali w opiekę uciskanych chłopów i byli przeciwni wojnie, dlatego nosili drewniane miecze. Byli w Polsce dwa ośrodki Arian: Raków i Pinczów, stąd już blisko do Jędrzejowa, gdzie jest Muzeum Przyrkowskich, bo to są potomkowie tych Arian. Ludzie opowiadali, że dawno była to okolica bardzo urodzajna, potem na znak zemsty piachy zasypały tę miejscowość, ale szkoła mieściła się za mojej bytności właśnie w tym starym, autentycznym zborze ariańskim, gdzie czytałam, że teraz w tej szkole jest muzeum.

Piachy zasypały dawny urodzajny Raków, jako znak kary za wypędzenie Arian z Polski, osiedlili się w Holandii i innych krajach Zachodu, był to regres w naszej kulturze XVII w. polska stała się nietolerancyjna, a w XVI w. kwitła tolerancja, kalwin Mikołaj Rej był ojcem literatury polskiej. Szlachta polska zrobiła to z głupoty i zazdrości, bo Arianie byli bardzo dobrymi gospodarzami, szlachta w XVII upadła gospodarczo i chciała cudzej własności w tym wypadku majątku bogatych Arian.

Dziś tj. 20 II 1981 r. godz. 11 w południe, gdy to co opisuję, to było 44 lata temu. Dziś w tamtych okolicach jest „raj,” w Staszowie kopalnia siarki, w Połańcu elektrownia, podobno cuda, brat Janek zawsze obiecuje mi, że mnie autem zawiezie w tamte strony, ale do tego nie dochodzi, bo nie ma czasu, wszyscy nie mamy głowy, bo u nas w Polsce teraz kryzys polityczny i gospodarzy, każdy myśli o chlebie, o jedzeniu i co z nami będzie, czy nas sąsiedzi nie rozbiorą, nie rozbiorą naszych ziem, bo nie mogą ścierpieć, że całe lato 1980 r. jesień i zimę toczy się u nas w narodzie wojna na słowa, by te słowa były prawdziwe, by była sprawiedliwość, i już 1981 i jeszcze wojna trwa, każdy boi się o wolność i suwerenność narodu i państwa, a wojują młodzi urodzeni po II wojnie światowej, którzy nie znali lęku okupacji i wojny i stąd są odważni, nad wszystkimi czuwa Pani Jasno-górska _ Matka Polaków i Kościół z kardynałem Stefanem Wyszyńskim, który mityguje, i młodych robotników, i rząd, by byli ostrożni, bo balansujemy już nie na linie, ale na cienkim drucie.

Muszę jeszcze opisać jak w Szumsku byłam członkiem Komisji podczas wyborów do Sejmu, ponieważ raz jedyny to mi się zdarzyło, więc należy przenieść do potomności.

Byłam członkiem Komisji i miałam wyznaczony dyżur na godziny późne, przewodniczącym Komisji był hr. Jerzy Jelski. Do 9 wieczór czyli do 21 trwało głosowanie, nikt już nie przychodził głosować, głosowanie odbywało się w szkole. Jelski zarządził, by każdy członek Komisji powiedział jakiegoś wica, ale zaznaczył, że nie mogą być szańskie, bo jest z nami pani Janina, to niby ja.

Członkowie chłopci zaczęli opowiadać wice, których nie pamiętam, ale pamiętam wica Jelskiego. Wyszedł na środek klasy i opowiada: jest w miasteczku jarmark, chłop musi załatwić potrzebę naturalną i idzie do publicznego ustępu, otwiera drzwi

i na stolcu siedzi książd, chłop się skłania i mówi: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Po godzinie 9 zaczęliśmy liczyć głosy, chłopie pilnie obserwowali, chodziło o Piłsudskiego, nic nie szachrowaliśmy, głosy zalakowano i około 1 w nocy skończyliśmy pracę, Jelski wszystkim podziękował i poszliśmy do domu.

W Rakowie przeżyłam jedyne przeżycie związane z religią Żydów. Już wspominałam, że do Rakowa chodziliśmy po zakupy i po pensję. Był to chyba dzień – piątek, niedaleko Rakowa spotkała mnie burza i pędem, uciekając przed burzą wpadłam do maleńkiej, biednej chałupy z gankiem na przedmieściu Rakowa. Wpadłam do ganku rozwalającego, nikt w domu nie słyszał, bo szumiała ulewa i z izby dochodził śpiew głośny, namiętny, tchnący Wschodem, nadchodził szabas na drugi dzień miał być szabas, czyli sobota. W tym śpiewie Żydów była taka siła wiary w Jahwe, oddana w obcym języku, taki żar i smutek oddany w przeciągłym śpiewie, że zdrząłam wewnątrz i uświadomiłam sobie, że ci Żydzi to biedny naród który nie ma swojego państwa (dziś już ma – 15 II 1981 r. piszę), swojej ojczyzny, czyżby to kara za Bogobójstwo i czy jeszcze krąży po ziemi Żyd Wieczny Tułacz Aschawer. Dopiero Papież Paweł VI zdjął z Żydów kłatwę za zabicie Boga – Jezusa, a na początku lutego 1981 roku Papież – Polak Jan Paweł II przyjął w kościele katolickim w Rzymie nadržabina żydowskiego, toczą się dialogi z Żydami, prawosławiem, protestantyzmem, z kościołem anglikańskim, by chrześcijanie byli jedno – ekumenizm.

W Mielcu było też dużo Żydów, handel był w ich rękach, przed wojną II światową to był sklep polski żywnościowy Łojczyka na rogu ulicy przy rynku, drugi sklep to koto Wydry, sklep Tlura (?), żona jego była garbata.

Jeszcze należy napisać, że cała rodzina chodziła się kąpać do Wisłoki i całe miasto też, woda była czysta.

Żydzi w Mielcu, tak jak wszędzie mieli swoich pomagierów, którzy u nich sprząтали, prali, palili w piecach w sobotę podczas szabatu. Żydzi na szabas piekli placki, gotowali przeważnie rosół z kury, mieli zawsze rybę i zależnie od zasobności te potrawy były uboższe lub bogatsze. Też tak się modlili w bożnicy (gdzie dziś wybudowano na miejscu spalonej bożnicy przez Niemców 1939 r. pawilon z ubraniami). Też tak modlili się głośno, tak się też uczono w szkołach, chajderach, Żydzi, chasydzi (chusyci), nosili icki, długie, kręcone, znamionowały tych chłopców żydowskich, którzy uczyli się na rabinów, starzy Żydzi noszący icki to Żydzi uczeni w piśmie.

Przeclawskie wspomnienia

z życia Teofila Lenartowicza ur. 20. 5. 1928 r.

w Katowicach. Dotyczą Przeclawia i Ziemi Mieleckiej, które pozostały moją Małą Ojczyzną, do której zawsze wracam i za nią tęsknię - napisane w latach 1997-2005 cz. X

W JASKINI LWA

Jeszcze gdzieś pod koniec roku szkolnego nasz wychowawca Major zakomunikował nam wiadomość, że w nagrodę za dobre wyniki w nauce 5-ciu z nas dostanie nakazy pracy do Departamentu Łączności w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Zachwalał dobre warunki, pracę w Warszawie i możliwość kontynuowania nauki. Wypytowano z naszej klasy 5-ciu. Byłem to ja, Aleszczyk Robert, Jankowski, Firlej i jeszcze jeden, którego już nie pamiętam. Ochotniczo zgłosił się jeszcze Krzywonos i dwu innych. Następnego dnia przeprowadził z nami pojedynczo rozmowę porucznik Pożoga będący kadrowcem w Dep. Łączności MBP. (Po latach ten porucznik był generałem w MSW i często oglądałem go w telewizji). Pożoga znał szczegóły z mojego skromnego życiorysu i o wszystko dokładnie mnie wypytywał. Najwięcej wypytywał o wujka Heńka. Opowiedziałem mu w szczegółach jak było, a on nakazał mi zaraz przy nim, abym to opisał dokładnie tak jak mówiłem i podpisał się pod tym w formie oświadczenia. Gdy skończyłem pisać przeczytał to i zaczął mnie wypytywać o rodzinę za granicą. I w tym momencie stała się rzecz dziwna, gdyż do dzisiejszego dnia nie mogę zrozumieć, co mi strzeliło do głowy, mówiąc, że nie mam rodziny za granicą.

Nie rozumiem, dlaczego wówczas tak powiedziałem. Zawsze starałem się w takich wypadkach nie kłamać, aż tu nagle taki błąd. Być może uległem ogólnemu mniemaniu, że z rodziną za granicą trzeba się kryć, bo z tego mogą być kłopoty. W tamtym okresie tak było. Wprawdzie za zatajenie tego faktu mogły być jeszcze większe kłopoty, ale nie pomyślałem o tym. Później wielokrotnie wracałem do tego momentu swojego życia i zastanawiałem się jak wielki błąd popełniłem. Po latach doszedłem do wniosku, że zrobiłem tak, gdyż wcześniej przeoczyłem ten fakt pisząc życiorys. W życiorysie nie napisałem nic o rodzinie za granicą tylko o wujku Heńku. Gdybym wówczas nie zataił, że w Ameryce mam ciocię Karolinę wraz z wieloma dziećmi moimi kuzynami to sądzę, że nie przyjęto by mnie do tej służby.

Byłem im bliski klasowo, a także sierotą, a więc kimś, za kim nie miałby się kto ująć. Miałem tylko Mamusię i Marysię i to właściwie była cała moja rodzina. Myślę, że moje dobre wyniki w nauce były chyba mniej ważne od pozostałych czynników.

Na decyzję o przyjęciu czekaliśmy około 2 miesięcy, podczas których musieli wszystkich łącznie z najbliższą rodziną dokładnie „prześwietlić”.

W taki to właśnie sposób zostałem zaszczycony pracą w Organach Bezpieczeństwa Publicznego. Wielkim moim zdziwieniem było to, że nie przyjęto Krzywonosa, wielkiego aktywistę i krzykacza, przewodniczącego ZMP. Teraz rozumiem, o co w tym wszystkim chodziło, ale teraz mam 77 lat, a wówczas 23. Było to jak widać zbyt mało żeby takie rzeczy pojąć.

Szkoła pożegnała nas uroczystie, albowiem każdego roku tak na rozpoczęcie jak i na zakończenie odbywały się uroczyste rozdania świadectw. Na dużej pięknej świetlicy były przemówienia, podziękowania i kwiaty. Grała zawsze przy takich okazjach pocztowa orkiestra dęta. Lubilem słuchać melodii tej orkiestry. Świetlica była ogromna, akustyka dobra, więc i efekty muzyczne były wspaniałe. Słuchając tej orkiestry żałowałem, że nie potrafię grać na żadnym instrumencie muzycznym. Potrafiłem jedynie śpiewać, ale okazji do tego było coraz mniej.

Nie miałem w tym roku po szkole urlopu. Zaraz po zakończeniu nauki musiałem się zgłosić do pracy w MBP. Pracę tam rozpoczynałem 1 lipca, więc miałem zaledwie kilka dni żeby pojechać do domu.

Mamusia nie była z mojej decyzji zadowolona. Sobota też ogromnie się zdzwił. Szkoda, że nie miałem ich wtedy w Warszawie, gdy podejmowałem decyzję. Jeszcze wtedy lechało moją ambicję, że nie będę listonoszem, biegającym z listami po wsiach, lecz będę w Warszawie pracował w ministerstwie. Spoglądając na to z perspektywy lat sądzę, że ten fakt był jak gdyby pewnym dowartościowaniem własnej osobowości. Chociaż się z tym nie obnosiłem to jednak mile lechało to moją ambicję.

Napisałem do ciotki Karoliny w Ameryce, że nie będę mógł więcej do niej pisać i żeby ona więcej do mnie nie pisała. Nie napisałem jej, o co chodzi tylko dawałem do zrozumienia, że ze względu na pracę nie będę mógł prowadzić korespondencji. Ona to zrozumiała, bo od tej pory żaden list z Ameryki do Przeclawia nie przyszedł. Zdawałem sobie sprawę, że takiej korespondencji nie udałoby się ukryć, a gdyby ją odkryli to miałbym bardzo poważne nieprzyjemności.

WSPOMNIENIOWE NADWISŁOCZE

Był jeszcze jeden powód, dla którego korespondencja między ciotką Karoliną, a moją Mamą w Przecławiu została zerwana. Zrozumiałem to wiele lat później, kiedy w 2004 roku wnuk Stefana Lenartowicza z Tarnowskich Gór przysłał mi w ramach wymiany pamiątek rodzinnych list Karoliny z USA adresowany do jej przyrodniego brata Stefana. Z listu wynika, że moja Mama została przez Stefana i jego żonę niesprawiedliwie oczerniona. Świadczy o tym przytoczony z listu następujący urywek.

Ja nie piszę więcej do nich, kiedy tak zrobili. Teofil temu nie winien.... Bardzo paskudnie to zrobiła. To trzeba heretyka baby doprawdy.

Domyślałem się, że chodziło o wydarzenia z 1939 roku, kiedy żona Stefana Helena, przyjechała z dziećmi do Przecławia. Wydarzenia te w niekorzystnym dla Mamusi świetle przedstawiono Karolinie i stąd taka jej reakcja. Pisałem o tym w rozdziale pt. „Wojna”. Elektroniczna kopia listu Karoliny do Stefana znajduje się w pamiątkach rodzinnych.

W Przecławiu wiele przez te dwa lata się zmieniło. Młodzież wyjeżdżała stamtąd w poszukiwaniu pracy i do szkół. Mietek Czernia poszedł do wojska. Julek Grębosz (fot. 2/8) był na szkole oficerskiej w wojsku. Kilka razy odwiedził mnie w bursie na Żelaznej w Warszawie. Edkowi „Szafie” tak milicjanci przysłużyli się za to, że ich pobili, że dostał się do karnej jednostki w wojsku, gdzie całą służbę rąbał kamień w kamieniołomie. Po powrocie tak się zmienił, że kieliszka wódki do ust nie wziął. Miał na niego wpływ także fakt, że się ożenił. Nic nie można było z niego wydusić, gdzie był w tej karnej jednostce i jak mu tam było. Co najwyżej można się było tego domyślić. Czesiek Bukowy i Milek Wątróbski poszli do szkół telekomunikacyjnych. Jeden uczył się w Katowicach, a drugi w Krakowie. Kazek Grębosz poznał jakaś dziewczynę z Wadowic, gdzie się ożenił i zamieszkał. Wisia Nowak wyszła za mąż za Fredka Nowaka. Kilku chłopców Tonik Bukowy i Roman Czernia wyjechali na zachód. Wiele innych dziewcząt i chłopców młodszych ode mnie dojeżdżało do Mielca, gdzie się uczyli lub pracowali. Każde z nich miało już swoje życie. Tylko starsi i najwięksi zapaleńcy chodzili jeszcze na próby do Zajchuberki, ale i to się już rozlatywało. Przecław powoli pustoszał, a jego życie zamierało. Tylko święty Jan jak dawniej stał na środku rynku i rozglądał się dokoła.

1 lipca 1951 roku zgłosiłem się do pracy w MBP na ulicy Ksawerów na Mokotowie. Razem ze mną zgłosili się tam Aleszczyk, Jankowski i Firlej. Z innych klas technikum na Nowogrodzkiej przyszedł Julek Góździk, Skibiński i Kania. Rozmowę z nami przeprowadził dyrektor Dep. Łączności MBP płk Sucek.

Był to Rosjanin w polskim mundurze słabo mówiący po polsku, ale można było go zrozumieć. Chyba chciał zobaczyć tylko nasze gęby, bo rozmowa trwała krótko. Po załatwieniu wszelkich formalności, wydaniu odpowiednich przepustek, podpisaniu zobowiązań o przestrzeganiu tajemnicy i innych przydzielono mnie, Julka Góździka, Skibińskiego, Firleja i Kanię do wydziału II-go Dep. Łączn. MBP, a pozostałych porozdzielano po innych wydziałach. Jankowski poszedł na centralę rządową, a Robert Aleszczyk na stację zgłaszającą zachodnie rozgłośnie radiowe.

Nasz Wydział II mieścił się na ulicy Bagatela 14. Była to krótka ulica biegnąca od Belwederu do placu Unii Lubelskiej. Numer 14 był budynkiem stojącym przy placu Unii lubelskiej i rogu ulicy Bagatela. Znajdowała się tam na parterze księgarnia, a od jej zaplecza było wejście do wyższych kondygnacji budynku. Na 1-wszym piętrze nad samą księgarnią mieścił się wydział II pilnowany przez strażników. Znajdowała się tam stacja wysokiej częstotliwości, na której mieliśmy pracować. Pomieszczenie, w którym się to znajdowało, zapewne było kiedyś dużym, pięknym mieszkaniem. Ze względu na narażenie usytuowanie budynku przy placu Unii Lubelskiej ściany pomieszczeń nie były prostopadłe do siebie, lecz ukośne. W jednym z tych pomieszczeń wysoko aż po sufit stała rzędami ustawiona aparatura 3-kanalowej telefonii wielokrotnej popularnie nazywana wysokiej częstotliwości, skąd pochodził skrót WCz. Skrót ten

nazywano wszystkie urządzenia współpracujące ze stacją, a więc telefony abonenckie, centrale telefoniczne, linie przesyłowe i urządzenia szzyfrujące.

Stacja WCz służyła do międzymiastowej łączności między wszystkimi Wojewódzkimi Urzędami Bezp. Publicznego, a Ministerstwem BP. Ponieważ było wówczas 17 województw, więc stacja na Bagatela miała 17 kierunków po 3 kanały na każdy kierunek. Była to angielska aparatura o nazwie SAS i SAT. Mieliśmy jedno wyjście na radziecką centralę, poprzez którą można było dostać połączenie [lub nie było można dostać, gdyż było to uzależnione od tego, kto z naszej strony prosił o połączenie i czy Radziecka centrala zechciała połączenie zrealizować] z Moskwą i pozostałymi stolicami Krajów Demokracji Ludowych. W późniejszym okresie doszła łączność ze wszystkimi Powiatowymi Urzędami Bezp. Publicznego. Łączność WCz nie miała połączenia z żadną inną siecią łączności, a więc podległa PPTiT, czy inną centralą taką jak KBW, lub MON. Nie miała połączenia nawet z Centralą Rządową, służącą członkom rządu do porozumiewania się między sobą.

Łączność swoją MBP udostępniało pierwszemu sekretarzowi KCPZPR Bolesławowi Bierutowi, premierowi rządu Cyrankiewiczowi, ważniejszym członkom rządu i ministrom. W MBP telefon WCz mieli oprócz ministra Radkiewicza i wiceministra Romkowskiego, także dyrektorzy departamentów MBP tacy jak Fejgin, Różański i inni, których nazwisk nie pamiętam. Jeśli nie było w gabinecie dyrektora, nikomu oprócz upoważnionego dyżurnego oficera w randze co najmniej majora nie wolno było z tej łączności korzystać. Wszystkie gabinety czynne były przez okrągłą dobę i biegly z nich dyrektywy w teren. Była to łączność międzymiastowa i abonentów lokalnych nie wolno było łączyć ze sobą. Jak wspomniałem poprzednio dla łączności lokalnej służyła tzw. „Centrala Rządowa”, ale wyjścia z niej na naszą centralę WCz nie było. Abonenci w ilości ponad 100 byli podłączeni do 200-numerowej centrali znajdującej się w następnym pomieszczeniu za naszą aparaturą. Była to ręczna centrala posiadająca 4 stanowiska, na których pracowało 4 telefoniistów w ciągu dnia, a w nocy jeden. Byli to mężczyźni, a wśród nich jedna kobieta nazwiskiem Pokatiłowa, żona jakiegoś sowieckiego pułkownika. Telefoniści ręcznie łączyli abonentów naszej centrali z abonentami poszczególnych województw.

W Wojewódzkich Urzędach Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) znajdowały się stacje WCz współpracujące z naszą i posiadały następujących abonentów. Szef WUBP, 1-szy sekretarz KWPZPR i przewodniczący Woj. Rady Narodowej (WRN). Telefony WCz stały w ich gabinetach i tylko upoważnieni mogli z nich korzystać. Dostęp do tej łączności strzeżony był bardzo ściśle zarówno w Warszawie jak i w województwach. Z sieci łączności WCz było tylko jedno wyjście na radziecką centralę, przez którą można było osiągnąć stolice Krajów Demokracji Ludowych (KDL) takich jak Moskwa, Berlin, Praga czy inne. Na żadną inną sieć łączności, wyjścia nie było. Nawet na centralę rządową, która także obsługiwana była przez MBP i na której pracował mój kolega z klasy Jankowski. Nie było też wyjścia na centralę MON.

Radziecka stacja WCz znajdowała się w Warszawie i łączyć można było z nią tylko niektórych abonentów. Nie wiedziliśmy, gdzie ta stacja się znajduje, ale przypuszczam, że gdzieś bardzo blisko, a najprawdopodobniej w tym samym budynku.

Po ogólnym zapoznaniu się z aparaturą mnie i Julka Góździka przydzielono dyżurnym technikom na zmiany. Na zmianach pracowali Ruscy i polscy techniczni oficerowie. Ruscy technicy odeszli po kilku miesiącach i odtąd personel techniczny pozostał w całości polski. Julek Góździk pracował na zmianie z por. Kuczyńskim, a ja pracowałem z por. Rybczyńskim.

Naszym zadaniem było utrzymanie w sprawności technicznej wszystkich urządzeń stacji WCz, centrali telefonicznej i telegrafu, który był w następnym pomieszczeniu. Do naszych obowiązków należało sprawianie nadzoru nad wszystkimi wojewódzkimi stacjami WCz, a także liniami przesyłowymi. 3-kanalowa aparatura

o szerokości 1-go metra na każdy wojewódzki kierunek stała na sali w trzech rzędach do wysokości sufitu. Nie było w tamtych czasach tranzystorów ani obwodów scalonych. Urządzenia pracowały na lampach elektronowych, więc zajmowały dużo miejsca i pobierały dużo energii elektrycznej. Zasilane były z sieci energetycznej, ale na wypadek awarii sieci mieliśmy w piwnicy spalinowy agregat prądotwórczy, który w wypadku awarii uruchamialiśmy i przełączaliśmy stację na własne zasilanie.

W skład jednego kanału wchodził generator częstotliwości nośnej, generator sygnału 500 c/s, do pomiarów 800 c/s, modulator, demodulator, filtry, panel kontrolny i kilka o mniejszym znaczeniu. Każde było w osobnym panelu. Na każdy kierunek trzeba te panele pomnożyć przez 3, bo aparatura była 3-kanałowa, więc było tego sporo. Na każdym kanale było kilkadziesiąt lamp elektronowych, łącznie, około 1000, więc jak to wszystko zaczęło latem grzać, to trudno było wytrzymać, a klimatyzacji nie było.

Było jeszcze pomieszczenie telegrafu, który też nam podlegał technicznie, ale z nim było najmniej kłopotów, gdyż telegraf pracował na niskiej częstotliwości. Telegrafista, który go obsługiwał nie miał zbyt wiele pracy. Z innych pomieszczeń było pomieszczenie kierownika stacji kpt. Dyr a i pokój tzw. AS-ów. AS-ami nazywano urządzenia szyfrujące rozmowę i zabezpieczające je przed podsłuchem. Za pracę tych urządzeń odpowiadał jeden pracownik i tylko on miał dostęp do tych urządzeń, których działanie trzymano w ścisłej tajemnicy. Był to człowiek bardzo niskiego wzrostu i nazywał się Kluk.

Kierownikiem stacji WCz i moim przełożonym był kpt. Dyr, a jego zastępcą kpt. Krawczyk. Naczelnikiem naszego wydziału był Żyd płk Cwejman. Był człowiekiem bardzo nieprzyjemnym w obęściu z personelem. Człowiek ten był mistrzem w podniecaniu atmosfery strachu, wzajemnej nieufności i donosicielstwa. Jeszcze zanim przyszedliśmy do pracy w MBP ktoś dobrze zorientowany przestrzegaliśmy nas abyśmy nie trafili do Cwejmana. Nie wiem skąd ktoś z zewnątrz mógł o tym wiedzieć, ale tak było. Jak zwykle przeważnie wyciągałem trefny los i tak było tym razem, bo tam właśnie się dostawałem. Wkrótce przekonałem się jak perfidnymi metodami działał Cwejman, aby antagonizować między sobą pracowników nie dopuszczając do zażyłości i przyjaźni. Dotyczyło to szczególnie tych pracowników, którzy pracując na zmianach mieli możliwość podsłuchu rozmów. Starano się tak wypełnić nam czas, aby nie było chwili odpoczynku. Dotyczyło to szczególnie nocy, gdyż była wtedy tylko nieliczna ilość personelu, a więc ograniczona możliwość patrzenia jeden drugiemu na ręce. Znam tylko jeden wypadek nawiązywania zażyłości między pracownikami. Byli to Marta z Włodarczykiem, którzy pobrali się. Marta następnego roku po mnie przyszła do pracy po technikum radiotechnicznym, a on w tym czasie przyszedł po oficerskiej szkole łączności wraz z kilku innymi porucznikami. Nigdy jednak na jednej zmianie nie wykonywali tej samej pracy i nie pracowali na dyżurach.

Po zapoznaniu się z ogólnymi zasadami i znajomością aparatury, jak już wspominałem przydzielono mnie i Julka Góździka dyżurnym technikom. Rybzyński i Kuczyński byli oficerami po szkole łączności, ale teoretycznie z podstaw telefonii, telegrafii, czy nawet elektrotechniki nie wiedzieli wiele. Tłumaczyłem to sobie niskim poziomem szkół oficerskich w tamtych czasach i najprawdopodobniej brakiem tak dobrych wykładowców, jakich ja miałem na Nowogrodzkiej.

Por. Rybzyński, z którym pracowałem na zmianie był dobrym praktykiem i praktycznie na wycucie wiele potrafił zrobić. Miał nosa do wykrywania usterek i często bezbłędnie udawało mu się wykryć uszkodzony element w aparaturze. Być może nauczył się tego od Rosjan, którzy po pewnym czasie odeszli. Rybzyński był dla mnie bardzo wymagający i nie dawał mi taryfy ulgowej. Podnosił mi coraz wyżej poprzeczkę wykonywanych zadań.

Mieliśmy teoretyczne szkolenie z pracy aparatury, ale przyznając, że niewiele mnie nauczyli. Nikt z nich nie potrafił wyłożyć teoretycz-

nych zagadnień z telefonii wielokrotnej tak jak robili to wykładowcy z Nowogrodzkiej. W szkole tylko ogólnie zapoznany byłem z tymi zagadnieniami, więc teraz pracując tu należało je dokładnie poznać. Miałem dostęp do schematów i instrukcji, więc wgrzyzałem się w techniczne zagadnienia. Pamiętam jak jednego razu na szkoleniu płk Cwejman pytał po kolei jak podawany jest sygnał wywoławczy przeciwnej stacji. Kilku pod rząd nie odpowiedziało na to pytanie dopiero ja wyczerpująco powiedziałem, na czym to polega. W dodatku odpowiedzi udzieliłem określeniami takimi jak w instrukcji, czyli takimi, jakimi on chciał, co bardzo go usatysfakcjonowało. Wcale mnie to nie uchroniło przed późniejszymi represjami, jakimi mnie urażono. Robił to ze wszystkimi przy każdej nadarzającej się okazji. Wydawało się, że ten człowiek gardził ludźmi.

Po około pół roku pracy pracowałem już samodzielnie na dyżurach. Z Julkiem Góździkiem zastąpiliśmy Rybzyńskiego i Kuczyńskiego, którzy odeszli do innej pracy. Od tej pory całkowicie odpowiadałem za sprawność techniczną stacji WCz na swojej zmianie. Julek pracował na innej zmianie wykonując tą samą pracę, co ja. Odtąd byliśmy już pod całkowitą presją Cwejmana. Kierownik stacji kpt. Dyr nie potrafił się zdecydowanie przeciwstawić atakom Cwejmana na nas. Był zbyt miękki. Kiedy tłumaczyłem się przed nim ten przyznawał mi rację i rozumiał mnie, ale za żadne skarby nie potrafił tego powiedzieć Cwejmanowi. Po prostu bał się o swoją skórę.

Przeważnie chodziło o wpisy do dziennika. Było to największą zmartwieniem. Każde wydarzenie, które miało miejsce na dyżurze musiało być w dzienniku dokładnie opisane. Najwięcej czepiał się o nocne wydarzenia. Telefonista z centrali, jeżeli nie mógł się gdzieś dozwonić musiał ten fakt zameldować mnie. Musiałem działać, aby ustalić, co było przyczyną braku łączności. Jeśli z którymś z wojewódzkich kierunków nie było łączności to oprócz działań, aby ją przywrócić musiałem jeszcze wszystko dokładnie opisać. Tylko bardzo nieliczne defekty były na mojej stacji w Warszawie. Najczęściej zdarzało się to na stacjach przeciwnych, a najczęściej na liniach. Linie łączące poszczególne województwa z Warszawą były liniami napowietrznymi, które często zrywała burza. Musiałem wówczas uruchamiać posterunki Korpusu Bezpieczeństwa Publicznego (KBW), które w terenie często bardzo odległym naprawiały linie. Najgorzej było na kierunku rzeszowskim, gdyż nie biegła tam linia miedziana, lecz aluminiowa, a jeszcze do tego wykorzystywana przez pocztę. Na niej były najczęstsze awarie.

Sąsiadujące z sobą województwa także miały z sobą łączność. Jeśli między województwami nie było łączności np. między Wrocławiem a Poznaniem to też musiałem o tym wiedzieć, działać na rzecz przywrócenia łączności, a następnie zapisać w dzienniku. Z terenu o wszystkich brakach łączności technicy wojewódzkich stacji WCz mieli obowiązek meldować mnie, a ja musiałem działać technicznymi radami i działaniami na rzecz nawiązania łączności. Następnie swoje i ich działania na placówkach musiałem dokładnie opisać w dzienniku. Odpowiadałem za to przed Cwejmanem.

Najczęściej zdarzało się, że dyżurny technik obsługujący centralę na wojewódzkiej stacji zasnął. Zaalarmowana o braku łączności najbliższa placówka KBW docierała tam i budziła delikwenta. Trzeba było taki fakt również odnotować. Dyżurni technicy na województwach obsługiwali aparaturę WCz i jednocześnie spełniali rolę telefonistów. W nocy był tam tylko jeden człowiek i w dodatku bardzo słaby technicznie. Jeśli było uszkodzenie na jego stacji to musiałem nim kierować udzielając wskazówek jak ma defekt usunąć. Łączyłem się z nim po niskiej częstotliwości i wykrzykując kierowałem nim, co ma robić, aż mnie gardło bolało. Po zakończeniu służby musiałem wszystko dokładnie zapisać. Często takich zdarzeń było kilka w tym samym czasie i wtedy było już urwanie głowy. Tak było zawsze po burzy, która zrywała linie napowietrzne.

Rano jeszcze zanim zdałem nocną służbę przychodził płk Cwejman, czytał dziennik, a następnie włączał się w poszczególne kie-

WSPOMNIENIOWE NADWISŁOCZE

runki łączności sprawdzając słyszalność. Jeśli nie była na jakimś kierunku dobra to musiałem się z tego tłumaczyć.

Aby zapewnić dobrą jakość słyszalności, do obowiązków dyżurnego technika należało nocą robić pomiary aparatury, czyli tzw. pomiar poziomu przenoszenia sygnału. Robiło się to zawsze późną nocą, kiedy nie było ruchu na centrali. Wykonywało się to wspólnie z technikiem na wojewódzkiej stacji. Najpierw on wysyłał mi sygnał z generatora o częstotliwości 800 c/s i poziomie zerowym, a ja regulowałem swoją aparaturę, żeby ten sam poziom uzyskać. Następnie role się odwracały i ja wysyłałem mu sygnał, a on regulował poziom sygnału otrzymany ode mnie. Pomiary przeprowadzałem na wszystkich kierunkach, a było ich 17. Potrzeba było na to 3 do 4 godzin. Najgorsze było to, że nie wszyscy technicy na wojewódzkich stacjach potrafili to robić. Jeśli nie dał na swojej stacji zerowego poziomu sygnału to cała regulacja u mnie była na nic. Znałem te pomiary po kilku miesiącach pracy na pamięć, ale oni słabo albo wcale. Nie było tam fachowców, pracowali ludzie, którzy oprócz włożenia wtyczki w gniazdko na centrali nic więcej nie potrafili zrobić. Musiałem z odległości instruować ich jak to robić. Wymagało to ogromnej cierpliwości i nerwów. Krzyczałem przez telefon, „weź sznur i włóż jeden koniec tu, a drugi tam, teraz zrób to, a potem tamto, przeczytaj wskazanie wskaźnika i przełącz taki przełącznik w takie lub inne położenie, a następnie ustaw potencjometrem wartość wskaźnika na taką, a potem inną itd.” Często, kiedy się u nich coś zepsuło to kazałem ściągać naczelnika wydziału łączności, aby przychodził i usuwał defekt. Odpowiadałem za przerwy w łączności przed płk Cwejmanem, a on w takich wypadkach był bezwzględny. Byłem pierwszy, który obrywał za takie zdarzenia. Wszystko, co się wydarzyło na naszej stacji i na województwach podczas dyżuru musiało być dokładnie opisane w dzienniku. Wymagało to sporo czasu i nie było wolnej chwili, aby odpocząć. Chyba też i o to chodziło, aby nie mieć czasu na ewentualne podsłuchiwanie rozmów.

Mnóstwo lamp elektronowych w aparaturze niesamowicie grało. W pomieszczeniu nie było wentylacji, więc latem ciężko było wytrzymać. Poza tym w aparaturze, w kablach i wszędzie roilo się od pluskiew. Roje pluskiew tak się dawały we znaki, że po nocy, gdy wracałem do hotelu to cały śmierdziałem tymi pluskami. Chodziły nawet po biurku i wchodziły między kartki dziennika, który Cwejman każdego rana oglądał. Nigdy jednak nic nie zrobiono, aby ten stan zmienić. Już po roku takiej pracy dużo dałbym, aby się stamtąd wyrwać, ale wiadomo było, że to niemożliwe. Znało się zbyt wiele tajemnic, aby człowieka puścić. Na dobrą sprawę prędzej skróciłiby o głowę niż wypuścili z tej służby, a ktoś dostałby wysokie odznaczenie, że wykrył groźnego szpiega. Kiedy rozpocząłem tam pracę był rok 1951, a więc czas stalinowskiego terroru. Zdawałem sobie dokładnie sprawę, że wyjście stamtąd możliwe jest tylko poprzez kazamaty ulicy Rakowieckiej. W tym czasie masowo zaczęły mi wychodzić włosy z głowy.

Nie bez powodu martwiłem się, w co się wpakowałem. Byłem młodym człowiekiem i zbyt mało doświadczonym, abym mógł samodzielnie poradzić sobie z tym zagadnieniem. Panowało we mnie ciągłe napięcie. Najgorzej, że nie miałem nikogo, abym mógł się poradzić i zwierzyć.

Tego groźnego napięcia nie wytrzymał Julek Goździk. Był to bardzo dobry i uczynny chłopak. Prowadził podobnie zmianę jak ja. Pracowaliśmy na trzy zmiany i on był jednym z prowadzących. Oprócz mnie i Goździka był jeszcze jeden z oficerów, ale nie pamiętam jego nazwiska. Julek wziął sobie to wszystko zbyt mocno do serca. Nie wytrzymał, nerwy mu puściły i chłopak zwariował. Odwiedziłem go parę razy w Tworkach w zakładzie psychiatrycznym. Smutno to był widok. Kiedy go podleczyli i wyszedł to wiadomo było, że w Organach Bezp. Publicznego pracował nie będzie. Przeszedł na naszą stację WCz i ponieważ gnębiło go wiele spraw zaczął wymyślać. Przestał się bać i było mu wszystko jedno. Wygarnął wszystko, co myślał o Cwejmanie i Bezpiecie. Być może za namową Cwejmana, kpt. Dyr Julka sprowokował i zdenerwował. Następnie

powiedział Julkowi „jak się panu nie podoba to niech pan pisze raport o zwolnienie”. Podsunął mu przy tym papier i pióro do pisania. Julek ujął się honorem, napisał odręcznie raport o zwolnienie na własną prośbę i oddał kapitanowi Dyrowi. Załatwili sprawę bardzo szybko. Nie dostał chłopak żadnego odszkodowania, a przecież wiadomo było gdzie i dlaczego stracił zdrowie. Gdyby nie napisał o zwolnienie z organów BP sami musieliby go zwolnić i to byłoby dla niego korzystniejsze finansowo. Jeśli zrobił to na własną prośbę Cwejman uniknął tłumaczenia, że doprowadził go do takiego stanu. Rezultat był taki, że chłopak żył w biedzie. Nie dali mu żadnego odszkodowania i jak się później z nim kontaktowałem żył jedynie z niewielkiej renty. Tak się traktowało ludzi w systemie, który miał służyć proletariackiemu społeczeństwu. Przyjaźniłem się z nim i odwiedzałem go. Nie wyjechał z Warszawy, gdyż nie miał dokąd. Nie miał żadnej rodziny, mieszkał samotnie w hotelu, gdzie zajmował służbowy pokój. Kilkakrotnie miał nawroty choroby. Jedyne, co dla niego zrobili to nie wyrzucili go z zajmowanego w hotelu pokoju. Ostatni kontakt miałem z nim w 1965 roku.

Często zastanawiałem się czy warto być gorliwym, starając się żeby nałożone obowiązki wykonywać jak najlepiej. Zaczynałem mieć coraz więcej przykładów, że nie warto. Analizowałem swoje postępowanie z postępowaniem innych i dochodziłem do wniosku, że wysuwaniem się przed szereg szkodzi się samemu sobie. Gdybyśmy przykładowo byli z Julkiem miernymi początkującymi i nie przejawiali inicjatywy w poznaniu aparatury, a swoje obowiązki wypełniali byle jak, to nie dostalibyśmy się do pracy jako dyżurni technicy i nie nosilibyśmy tej ogromnej odpowiedzialności, jaka na nas ciążyła. Inni którzy się mniej starali kierowani byli do późniejszych prac spokojniejszych i lepszych.

Analizowałem przykład Kani, który przyszedł do pracy razem z nami. Był chłopakiem starszym ode mnie o 5 lat i być może dlatego mądrzejszym. Gdy się zorientował, że warunki pracy i płacy wcale nie są takie jak obiecywano to przestał się starać i dobrze pracować. Już po kilku miesiącach napisał raport o zwolnienie z pracy w służbie BP. Ponieważ dostał odmowę zwolnienia przestał wykonywać zadania jakie na niego nakładano. Kpt. Dyr nie potrafił wymusić na nim żadnej poważniejszej pracy za wyjątkiem drobnych posług. Ignorował przełożonych w tym samego Cwejmana. Siadał na podłodze i oparty plecami o ścianę przesiadywał tak całymi godzinami. Gdy wchodził Cwejman on na to nie reagował, nawet nie odpowiadał na zadawane mu pytania. Po kilku tygodniach zwolniono go z pracy i w ten sposób uniknął kłopotów, z którymi ja się borykałem. Być może prawdą było to, co Kania mówił, a mianowicie, że ma wysoko postawionego brata w MBP i dlatego się nie bał. Fakt jednak pozostał faktem. Osiągnął zamierzony cel.

Następnym przykładem był Skibiński, który z Julkiem uczył się w jednej klasie. Wprawdzie nie występował o zwolnienie, ale też nie przejawiał zainteresowania pracą. Chodził przeważnie z mandoliną, na niej grał i śpiewał. Ciągłe tylko o tym opowiadał jakby nic innego nie miał w głowie. Kiedy jeszcze byliśmy w szkole to pamiętam jak na praktyce posprzeczaaliśmy się o coś, a on w zdenerwowaniu powiedział.

- Poczekaj jak ja będę twoim kierownikiem, a ty będziesz u mnie pracował to ja ci pokażę.

Jego groźba podyktowana była tym, że chodził on na kurs telemechaników, a ja na telemechaników i z tego faktu wyciągał wniosek, że będę jego podwładnym. Los lubi jednak płatać figle, bo po jakimś czasie, gdy już samodzielnie pracowałem na stacji WCz to tego palanta Skibińskiego przydzielono do mnie do pomocy, abym go przyuczył obsługiwać aparaturę WCz. Śmiałem się w duchu z niego, ale się na nim nie odgrywałem. Nie przejawiałem jednak inicjatywy, aby go uczyć. Po jakimś czasie Cwejman się go pozbył, ale gdzie odszedł tego nie wiem. W tym samym czasie, gdy do pracy przysłała Marta i Włodarczyk, późniejsze małżeństwo, przyszło jeszcze kilkoro innych. Jednym z nich był Smagacz popularnie zwany „Ćmagą”. Był bardzo wesołym i ciągle uśmiechniętym chłopcem. Przeszedł

do pracy na naszą stację z technikum radiotechnicznego w Dzierżoniowie. Lubiłem go, bo zawodowo był dobry, szybko się uczył, a co najważniejsze ciągle miał śmiejącą gębę. Przyszedł także do pracy inż. Kamiński. Bardzo szybko stał się prawą ręką Cwejmana i wkrótce na stacji WCz miał więcej do powiedzenia niż kpt. Krawczyk czy kierownik stacji kpt. Dyr. Nie wiem czy zażyłość Cwejmana z Kamińskim wynikała z tego, że wcześniej się znali czy z tego, że Kamiński także był Żydem. Najprawdopodobniej wchodziło w grę jedno i drugie. Teraz Cwejman miał jeszcze więcej informacji o tym, co się na stacji dzieje, bo Kamiński ciągle u nas siedział i wszystko Cwejmanowi donosił. Cwejman swój gabinet miał na ulicy Ksawerów i wpadał do nas przeważnie rano. Kamiński do wszystkiego się wtrącał, a to bardzo przeszkadzało w pracy. Wprawdzie znał on bardzo dobrze zagadnienia telefonii wielokrotnej, ale samo to wcale mi w pracy nie pomagało.

Jeszcze na początku mojej pracy w MBP wysła sprawą przynależności do PZPR. Zażądano ode mnie legitymacji partyjnej i przeniesienia z poprzedniej organizacji, a ja tego nie miałem. W tym celu pojechałem do Przeclawia i wraz z Mietkiem Mądramkim spiliśmy w knajpie tow. Mela, gminnego sekretarza PZPR w Przeclawiu i ten wystawił mi legitymację kandydacką partii z wcześniejszą datą. Mietek jeden z późniejszych dyrektorów administracyjnych na WSK w Mielcu pomógł mi z Melem, bo dobrze się z nim znał.

Po powrocie do Warszawy wynikł problem, bo okazało się, że kandydatem partii można być rok, a nie jak wynikało z mojej legitymacji 4 lata. Należało mnie wcześniej przyjąć na członka albo wyrzucić. Ściśle tego przestrzegano. W końcu jednak mnie przyjęto. Jak się niedługo po tym okazało z przynależności do partii wynikało wiele obowiązków. Gdybym wcześniej o tym wiedział nie dałbym się do tego namówić. Zmora było siedzenie na zebraniach partyjnych, szkoleniach politycznych i prasówkach. Chciano nam w mózgi wtłoczyć wszystko naraz. Codziennie rano były prasówki, które na zmianę po kolei ktoś inny relacjonował. Gdy wypadło na mnie musiałem zbierać tematy z gazet, przygotowywać się do tego, a później taką prasówkę wygłaszać. Szkolenia partyjne odbywały się też w ten sposób. Na zmianę każdy uczestnik musiał opracować jeden temat z programu szkolenia. Zajmowało to także dużą część wolnego czasu. W końcu tak byliśmy nafaszerowani ideologią, że wierzyliśmy w konieczność walki z kapitalizmem, jako systemem na wskroś złym do tego stopnia, że trzeba go obalić i na jego gruzach zbudować nowy system. Tym systemem na świecie miał być komunizm, jedyne szczęście dla proletariatu z radzieckim człowiekiem na czele. Tęgo radzieckiego człowieka stawiano nam na każdym kroku za wzór. Ten człowiek na polecenie Stalina budował nam już w darze Pałac Kultury.

Zebrania partyjne to był osobny rozdział. Siedziało się na tych zebraniach często do późnych nocy, a jak było wyborcze to do białego rana. Słuchało się politycznych dyskusji prześcigających się ze sobą dyskutantów, popierających swe wystąpienia cytatami z Marksa, Stalina i Lenina. Ciągle słyszało się, że Lenin powiedział to, a Stalin tamto. Ten zalew propagandy wdzierał się w nasze mózgi głęboko, tak głęboko, że zaczynałem myśleć tak jak pozostali.

Pamiętam zebranie partyjne, na którym omawiano sprawę Andrzejewskiego. Był pracownikiem naszej stacji WCz i pracował w akumulatorni. Był to już starszy łysy pan. Biuro do Spraw Funkcjonariuszy SB dowiedziało się, że był on legionistą i w 1920 roku walczył przy boku Piłsudskiego z Armią Czerwoną. W dodatku dostał za waleczność Krzyż Virtuti Militari. Słuchałem tego z obrzydzeniem. Obluzgano błotem Józefa Piłsudskiego. Muszę powiedzieć, że nie mogłem się wewnętrznie z tym pogodzić. Będąc dzieckiem chodziłem do szkoły jego imienia, czym się bardzo szczyliłem. Śpiewałem piosenki legionowe o Piłsudskim i z jego imieniem na ustach wygrywałem dziecięce wojny ołowianymi żołnierzami. Czyżby to wszystko, o czym śpiewałem za dziecka w tych piosenkach było nieprawdą? Czy to, co się o nim wówczas mówiło też było niepraw-

dą? Pamiętałem rok 1935, kiedy Piłsudski, marszałek polski zmarł i był jego pogrzeb. Cały naród był po nim w wielkiej żałobie. Czy to wszystko, co wiedziałem było nieprawdą, a prawdą było to, co oni teraz mówią na zebraniu, że był bandytą? Sam nie wiedziałem, w co mam wierzyć. Może gdybym miał Ojca on wyjaśniłby mi gdzie leży prawda. Nie skłamałby mnie, ale ja Ojca nie miałem, bo zabrała go wojna. W głowie pozostały wątpliwości i zakradał się chaos. O tych wątpliwościach nie było z kim rozmawiać. Jeżeli one były trzeba było się z tym kryć, aby nie być okrzykniętym wrogiem. Andrzejewskiego wyrzucono z partii i zwolniono z pracy, a to oznaczało koniec tego człowieka. Nie znam późniejszych jego losów, ale można się domyśleć, że posądzili go o szpiegostwo. Nigdy więcej go nie widziałem, więc najprawdopodobniej tak było. Był to, bowiem okres największego stalinowskiego terroru. W tamtych czasach nie trzeba było wiele żeby pójść do więzienia lub stracić życie.

Może dzisiaj młodym ludziom trudno pojąć niektóre fakty. Należy jednak wziąć pod uwagę, że społeczeństwo było zastraszone jeszcze od czasów okupacji niemieckiej. Za stalinizmu było nawet gorzej. Za okupacji niemieckiej społeczeństwo stanowiło jeden zwarty monolit ustawiony przeciwko Niemcom, natomiast po wyzwoleniu było inaczej. Społeczeństwo było podzielone, więc bezpieka miała wszędzie swoich konfidentów. Nawet wówczas, gdy wśród swoich mówiło się o polityce to ściszało się głos, mówiło szeptem zamykając wcześniej okna. Ściany miały oczy i uszy. Śpiewaniem piosenek patriotycznych nie mówiąc o legionowych, czy nawet o bitwie pod Monte Casino można było tak się narazić, że człowiek stawał się „czarną reakcją”. Przypięcie takiej etykiety znaczyło być wrogiem ludu, a tacy ludzie stawali wówczas poza prawem i zwalczano ich stosując wszelkiego rodzaju represje.

Mieszkałem na ulicy Iwickiej, boczna Podchorążych. Znajdował się tam duży kompleks bloków mieszkalnych zajmowanych przez pracowników MBP, KBW, Straży Granicznej, Więziennictwa i wszystkich innych służb podlegających Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Budynek, w którym mieszkałem nie był zamieszkały przez rodziny tylko przez samych pracujących w MBP. Funkcjonował na zasadzie hotelu, więc osoby postronne nie miały tam prawa wstępu. Miałem stamtąd niedaleko do pracy i przeważnie chodziłem pieszo. Od Iwickiej szedłem ulicą Podchorążych, następnie Spacerową i już byłem na placu Unii Lubelskiej, czyli przy Bagatela 14, gdzie pracowałem. Od pracy niedaleko miałem na Ul. Koszykową, gdzie obok przy alei Wyzwolenia znajdował się klub MBP, a w nim stołówka. Chodziłem tam na posiłki, często nawet na kolacje.

Gdy się spojrzy na plan Warszawy to nasza stacja WCz często określana skrótem TkN (od telekomunikacja nośna) znajdowała się w centrum „Jaskini Lwa”. Z prawej Belweder z głównym rezydentem Bierutem, nieco dalej na północ ul. Koszykowa, gdzie był główny gmach MBP, a na południe Mokotów z ul. Rakowiecką i słynnym więzieniem, oraz mnóstwo innych rozmieszczonych na Mokotowie budynków podległych MBP i KBW. Śmiem twierdzić, że ilość łączy telekomunikacyjnych sieci MBP przewyższała swoją liczbą łączność sieci miejskiej. Łączyła i wszystkie kable MBP były dokładnie oplombowane i biada temu, kto zerwałby taką plombę. Zdarzało się, że wykorzystywano w kablach pocztowych niektóre pary przewodów, ale stosowano takie praktyki w stosunku do mniej ważnych abonentów. Ściśle strzeżono tajemnicy schematu połączeń poszczególnych abonentów z naszą stacją TkN. Miał do tego dostęp tylko jeden człowiek. Później dołączono do niego jeszcze Firleja.

Pomieszczenie, które zajmowałem w hotelu przy ul. Iwickiej było zwykłym mieszkaniem, które zamieszkiwaliśmy w trójkę. Były tam 2 pokoje, łazienka i mała kuchnia. Mieszkałem z Aleszczykiem Robertem fot. 8/11 i jeszcze jednym chłopakiem, który pracował z Aleszczykiem fot. 7/11. Na fotografiach zafasowaliśmy właśnie mundury i robiliśmy przymiarkę. Miałem wtedy stopień sierżanta, ale w mundurach nie chodziłem do pracy, gdyż nie było takiego obowiązku.

(Cdn.)

LIST Z PODRÓŻY DO AMERYKI

Prezentujemy trochę tajemniczą historię podróży, jednego z mieszkańców gminy Padew Narodowa. Z tekstu wspomnień wynika, że autorem jest Mieczysław Kubik pochodzący z Wojkowa. Rodzice autora, a na pewno ojciec, w 1933 r. wraz z małym Mieczysławem, jego siostrą Zofią i bratem Michałem wyemigrowali do USA i mieszkali w Ware. Potem powrócili do Polski i prawdopodobnie zamieszkali w Wojkowie. Siostra Zofia wyszła za mąż za Józefa Lipę (później zmienili nazwisko na Lipieccy) i oboje byli nauczycielami. Mieli córkę Halinę. Brat Michał w 1946 roku już nie żył. Mieczysław Kubik jesienią 1946 r. wyjechał do Szwecji, a potem popłynął do USA do rodziny w Ware.

John Hanson 28 X 1946, Goteborg-Szwecja

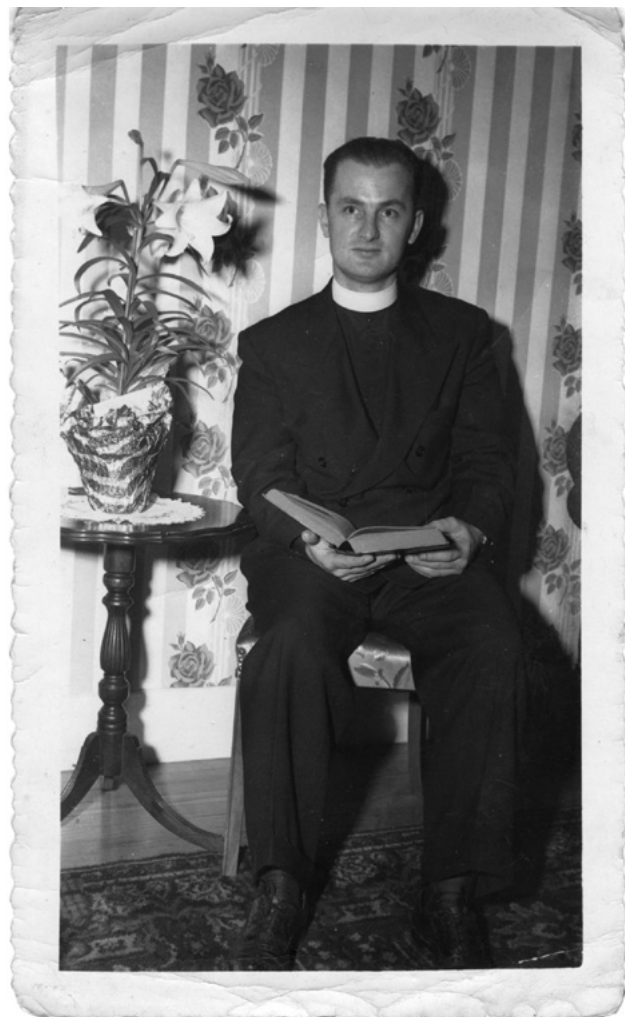
Wsiadłem na ten okręt po południu około 2-ej. Padał lekki deszcz w Goteborgu. Okręt opuścił Szwecję o 3 minuty przed 6-tą wieczór. Tego dnia byłem tak słaby i wycieńczony, pełen smutku i żalu, że opuszczam Szwecję, że po prostu o mało nie mdlałem pomimo tego, że jestem na to dość odporny. Pocieszał mnie znajomy Zydek – bardzo poczciwa dusza Bernasiński. Poszliśmy spać o 8-ej wieczór.

Wtorek 29 X

Wstałem około 6-ej, by zobaczyć piękny i słoneczny poranek, płynąc jeszcze wzdłuż wybrzeży szwedzkich. Cały dzień był piękny, jak wymarzony, toteż cały dzień spędziłem na pokładzie. Po drodze spotykaliśmy różnego rodzaju okręty. Około południa jechał jakiś szwedzki statek z drzewem, a że widocznie ster był nastawiony, a załoga spała lub też piła, o mało nie doszło do zderzenia, lecz na skutek sygnału z naszego okrętu prawie w ostatniej chwili usunął się. Chodziłem cały dzień głodny, bo nie chciałem się obżerać, aby później nie chorować, czy to pomoże czy nie – nie wiem, ale tak myślę i dlatego chodzę głodny. Wieczór nie mogłem spać, więc naprawiałem dziury, jakie miałem w kieszeniach u spodni z tą myślą, że lepiej teraz póki jestem zdrowy i mogę, bo może później trzeba chorować i nie da się. Poszedłem spać o 2-ej. W kabinie jest bardzo ciepło, tak że okno jest otwarte całą noc. Czuję się jak do tej pory wymiennie, tylko serce mam przepiętne żalem i smutkiem za kobietą, którą zostawiłem w Szwecji, a którą tak naprawdę kochałem. Na razie patrzymy się tylko na morze, czy nie widać jakiego statku, by widzieć go na parę minut i znowu go stracić z oczu, ponieważ nasz okręt płynie szybko. Mieliśmy jechać na około Szkocji, a potem wprost na południe. Jednak w środę rano dowiedzieliśmy się, że nie koło Szkocji, ale pojedziemy przez kanał angielski.

Środa 30 X

Z rana było pochmurno i trochę chłodno, później się rozjaśniło i pogoda była dobra. Prawie cały dzień spędziłem na pokładzie, gdyż po drodze spotykaliśmy masę różnych mniejszych i większych statków. Na tym prawie cały dzień zeszedł. W kabinie nie można siedzieć, bo jest cholernie gorąco. W nocy śpi się bez nakrycia. Żarcie jest bardzo dobre. Dzisiaj po raz pierwszy zjadłem całą swoją porcję, gdyż do tej pory bałem się żołądka zbyt obciążać. Po kolacji poszedłem na dziób okrętu, gdzie zauważyłem strażnika, który obserwował świat-



Na zdjęciu prawdopodobnie autor pamiętnika. Na odwrocie treść: „Na pamiątkę mojej Matce i siostrze. Ofiaruje syn. Sundon 29 IX 1951. USA. Zdj. w zb. red.

ło, które ewentualnie by nie było zauważone z mostku kapitańskiego, aby przypadkowo nie było katastrofy. Czuję się jak do tej pory bardzo dobrze. Palę „amerykany”, codziennie jem jedną czekoladę, czyli życie jest już zupełnie inne jak w Polsce. Ale jako prawie że wygnaniec w jednych zdartych spodniach, spotkałem w Szwecji ludzi naprawdę tak serdecznych i zacnych, a zwłaszcza jedną panienkę, że o niczym tylko o niej teraz myślę. Rozmawiając z marynarzami, pytam się jak płacą na okręcie. Jaka praca i w ogóle jakie są warunki, a że kieruje mną trochę sentymentalizm, więc myślę po trochu o pracy na okręcie i pragnę zobaczyć Szwecję, a zwłaszcza JĄ. Jednak i tak mój los jest dość pokręcony, że mimo tego sentymentalizmu muszę się przełamać i naprawdę myśleć o sobie. Siedzę po kolacji i piszę te swoje uwagi w formie pamiętnika i na razie przerywam, bo jeden z marynarzy zaczął z nami rozmowę. Mówiliśmy o warunkach i stosunkach w Polsce, bo ten marynarz pochodzi z matki Polki, ojca Rusina. Wpada niski gruby murzyn jak pieron i mówi: nie ganię Ameryki, bo to mój kraj, ale w Szwecji dużo rzeczy jest lepszych jak w Ameryce i dlatego mówi nie ganię Szwecji. Wreszcie przerywamy mu i mówimy, że rozmawiamy o Polsce i wreszcie się uspokoił. Jak się później dowiedziałem, to spotkał on tam dziewczynę, z którą chodził i dlatego

go nie chciał słyszeć nic złego o Szwecji. Poszedłem wreszcie do kabiny, ale nie mogłem spać. Zacząłem czytać książkę, aby w ten sposób sen mnie pręcej opinał. Serce mam jednak nadal pełne smutku i żalu za Szwecją no i Polską.

Czwartek 31 X

Obudziłem się, usiadłem na łóżku i myślę o wszystkim i o niczym. Wreszcie zastanawiam się nad tym, dlaczego nie mogę spać tak dobrze jak dawniej w domu? Skonstatowałem. Będąc w domu myślałem o sobie, ale jakże dużo zostawiałem na barkach rodziców, żeby Oni się o wszystko troszczyli – byłem po prostu spokojny. Z chwilą kiedy opuściłem dom 7 IX 1946 zmieniło się. Muszę myśleć sam o sobie i polegać wyłącznie na sobie. Nie jest to tak łatwo jak się zdawało, ale jest. Do tej pory idzie dobrze, jak dalej – przyszłość pokaże. Z tego powodu doszedłem do wniosku, że moje spokojne, bez troski życie skończyło się raz na zawsze. Ale myślę o sobie, pracuję i jest mi dobrze, względnie zniknę wśród morza rozległego świata krajów, ludzi i wszystkiego, co mi przyszłość przyniesie. Dlatego zaczynam naprawdę dojrzewać, myśleć o sobie i tym samym sprawdzają mi się słowa Ojca, gdy myślę o czymś nie mogę spać po nocach – teraz to samo jest i ze mną. Rano atrakcja i uciecha dla wszystkich, gdyż płyniemy wzdłuż wschodnich wybrzeży Anglii. Spotkaliśmy masę różnych statków po drodze oraz widzieliśmy dwa duże okręty wojenne, zatopione wzdłuż tychże wybrzeży. Pogoda marna. Deszcz plus mgła, zresztą jak zwykle w Anglii. Czytałem w kabinie przed południem, bo co było robić. Obiad był królewski, rosół z makaronem i kurze mięso, na deser zaś paja z wiśniami. Mój „pal” Solin był tak zadowolony, może jak nigdy w życiu. Po południu płynęliśmy wzdłuż wybrzeży angielskich. Potem zaczął padać deszcz i zrobiło się mglisto i wietrzno tak że czas do kolacji spędziłem na czytaniu książki. Kolacja była wspaniała, kotlet wieprzowy, a na deser lody. Mój „pal” Solin zjadł 3 porcje mimo tego, że go gardło bolało i był przeziębiony. Wywołało to ogólny śmiech w jadalni z niego po raz pierwszy. Leżąc po południu na łóżku i czytając książkę, mimo woli ze znużenia się przeciągnąłem i poczułem, że mięśnie mam dość twarde, że zaczynam naprawę nabierać siły. Słyszałem, że jutro 1 listopada mamy wypłynąć z kanału angielskiego na pełny ocean. Widocznie załoga obawia się burz na morzu, a nie mając ładunku, bo wszystko wyładowali w Szwecji, wobec czego zapełniają okręt wodą, aby

mieć lepszą równowagę, a żeby na pełnym morzu nim nie robiło we wszystkie strony wszyscy jesteście zaciekawieni co nam przyniesie pełny ocean. Marynarze nam mówili, że się spodziewają niezbyt dobrej podróży, wobec czego trochę ze strachem czekamy na ten moment, a przede wszystkim kto pierwszy zacznie rzygać. Zobaczymy. Kolacja była dobra. Po kolacji chcieliśmy posłuchać radia z Londynu w języku polskim. Poszliśmy z radiooperatorem do jego kabiny i w toku rozmowy dowiedziałem się, że pochodzi z matki Polki i rozmawia po polsku. Mówiliśmy o stosunkach panujących w Polsce podczas wojny. Żegnając się zapowiedziałem mu, że jak przyjdę następnym razem to będziemy rozmawiać tylko po polsku, aby nabrał lepszej wprawy w mówieniu. O 10-ej wykapałem się, a potem zacząłem czytać książkę i wkrótce zasnąłem. Obudziłem się i patrzę na zegarek, a tu 1/2 do 4-ej. Zgasił światło i spałem do 7-ej.

Piątek 1 XI

Rano czułem się pierwszorzędnym, wobec czego zacząłem czytać dalej. Nagle – aha, dzień Wszystkich Świętych, wielkie święto dziś w Polsce. Różne myśli przebiegają mi przez głowę. Brat umarł w 1936 r. Przez 10 lat z rzędu zawsze w tym dniu byłem z rodziną na cmentarzu. Oni będą tam i dziś, myślę sobie i pomyślą... Jeden syn już nie żyje, drugi nie wiemy dokładnie gdzie dziś jest. Jest mi tak przykro, że gdybym mógł to frunąłbym z okrętu, aby być tam razem z wami dzisiaj, ale co – można tylko myśleć. Jestem jednak mężczyzną, czuję się nim od chwili, kiedy opuściłem dom. Muszę myśleć o sobie, a potem o wszystkich. Ludzie w Polsce modlą się dzisiaj i są szczęśliwi, mają

książeczki, różańce, a ja nie mam, ale jakoś nie mogę zdobyć się na to, aby któremu powiedzieć „pożycz mi książeczki, to i ja się pomodlę trochę”. Nie mogę, jestem jakoś – nie wiem jak to napisać – inny od nich i koniec, nie mogę. Czuli bym się bardzo dobrze, gdybym wiedział, że jak wy wszyscy kochani będziecie dziś na cmentarzu i pomyślicie o mnie, że może dobrze, że mnie tam nie ma, że tu gdzie jestem jest mi lepiej, to byłaby moja największa uciecha dzisiaj. Życzę Wam na piśmie to co teraz czuję, wszystkiego najlepszego i pamiętajcie o mnie jak i ja o Was pamiętam.

Reszta dnia mi jakoś dziwnie zeszła, prawie że nie wiem i nie pamiętam. Na okręcie są mężczyźni, oprócz dwóch kobiet, z których każda ma jedną córeczkę. Z jedną się trochę bawiłem, jest nieco większa od Halinki. Nosilem ją na rękach, przyciskałem, a oczy przymrużałem i zdawało mi się, że to Halinka. Cały dzień nie mogłem jakoś myśleć. Dopiero teraz jak zacząłem pisać, zaczynam myśleć, ale nie chciałbym, bo to mi dość ciężko przychodzi, wobec czego idę do marynarzy, aby porozmawiać, posłuchać radia, zagrać w warcaby, itd. Godz. 7. Do jadalni przyszło dwóch Hiszpanów. Jeden grał na gitarze, drugi zaś tańczył jakieś narodowe tańce hiszpańskie. Popili sobie tak, że koniec końcem się poswarzyli i omal nie doszło do rękoczynu. Jeden był inteligentniejszy i ustąpił, gdyż ten drugi gotów był chwycić za butelkę lub nóż. Po tym wypadku pomyślałem sobie, że nie chciałbym z takim nigdy mieć do czynienia, bo jak sobie wypije, to jest zdolny do wszystkiego, tak jak prawdziwy dzikus. Trwało to do 2-ej. Potem poszedłem spać, ale że już jesteśmy na pełnym morzu, a okręt jest bez ładunku, więc zaczyna nim robić na wszystkie stro-



S.S. „Washington”. Takim statkiem w 1933 r. emigrowała do USA rodzina Kubików z Wojkowa. Fot. w zb. red.

NADWISŁOCZE EMIGRACYJNE

ny. Marynarze się śmieją, że pogoda i podróż na razie są bardzo dobre, ale zobaczymy co będzie za parę dni.

Sobota 2 XI

Budzę się rano, nie jestem przecież pijany, ale jakoś dziwnie przechyliam się z boku na bok. Schodzę z łóżka i nie mogę się ubrać o własnej równowadze, tylko koniecznie muszę się opierać o ścianę. Myślę sobie – aha, zaczyna się raj. Umyłem się i wychodzę na pokład, a tu „ju, ju”, do góry i na dół, z boku na bok. Pomyślałem sobie, że teraz dopiero będzie naprawdę „przyjemnie”, ale co zrobić. Morze jednak nie było bardzo wzburzone, wyglądało raczej spokojnie. W kabinie nie mogę usiedzieć, bo mi się głowa kręci. Stoję i chodzę po pokładzie. Tak zeszło do 1-ej po południu. Około południa fale zaczęły się wznosić i jeden z nas już sobie „kupił” chorobę morską. Po południu wzmógł się wiatr i do wieczora kiwaliśmy się na wszystkie strony. Do kabiny nie wchodzę, bo mieszkam w samym tyle okrętu, a tam najwięcej huśta. Płacąc „podatek”, albo myjąc się jest bardzo trudno utrzymać równowagę, tak że na wszystko trzeba uważać jak jasny pieron, ażeby nie wybić sobie zębów. Boję się iść dzisiaj do kabiny, ponieważ dostaliśmy wiadomość, że wjeżdżamy w burzę. Wszystko za tym przemawia: wiatr jest przeciw nam i to silny, morze wzburzone, a ciemności egejskie w całym tego słowa znaczeniu. Każdy czeka na zbliżającą się burzę. Co będę robił to sam nie wiem. W każdym razie pisząc teraz uwagi jest 7 wieczór. Piszę teraz po kolacji, bo jutro już może nie będę w stanie. Zobaczymy. Później przypadkowo wpadłem w towarzystwo, gdzie wypilem z ćwiartką pierwszorzędnej kanadyjskiej wódki i trochę piwa. A że teraz nie jestem przyzwyczajony do picia alkoholu, więc głowa zaczęła mi się kręcić, plus huśtanie okrętu, czyli jednym słowem było dość „płochy” ze mną. Poszedłem spać około 10-ej. Zasnąłem szybko co prawda, ale już około 4-ej nad ranem nie mogłem więcej spać, wobec czego przekręcałem się razem z okrętem z boku na bok. Towarzystwo, z którym piłem tą wódkę, to naprawdę „marynarze” w ścisłym tego słowa znaczeniu. Doszedłem do wniosku: marynarz z obojętnie jakiego kraju czy państwa pochodzi, to każdy ten sam pieron, jak sobie wypije, to świntuch, grubianin itd., itp. Byłem bardzo niezadowolony z tego towarzystwa i teraz staram się unikać takich panów.

Niedziela 3 XI

Rano naprawdę ciężko było wstać z łóżka, tak huśtało. Czuję ból głowy. Zaczęłem rozmawiać dlaczego? Czy dlatego, że wczoraj wypilem, niemnoszko, czy nie daj Boże choroba morską. Na śniadanie wypilem tylko 2 garnuszki czarnej kawy i zjadłem parę kawałków „toastu”. Nie wiem, może będę czuł się lepiej. Dzisiaj jesteśmy szósty dzień na morzu i dzisiaj czuję się najsłabiej. Nie wiem jak będzie dalej. Piszę teraz o 10-ej. Do tej pory stałem na pokładzie, gdyż tam się czuję trochę lepiej. Do godziny 6-ej przechodziłem, trochę przesiadziałem w jadalni. Wśród podróżujących można zauważyć ogólne znużenie i przygnębienie przed zbliżającą się nocą, ponieważ tam, gdzie mamy kabiny najgorzej huśta i dlatego nikt tam nie chce iść spać. Może noc przesiedzimy w jadalni, bo tu jest dość możliwe. Okręt się cholernie kołysze, a powiedziałbym nawet, że z każdą chwilą coraz lepiej. Na dworze jest straszna ciemność, plus silny wiatr, który absolutnie uniemożliwia chodzenie po pokładzie. Nie odczuwam nawet, że jest niedziela. Nie przebiebrałem się, choć w kombinie robotniczym, bo okręt jest cholernie brudny. Ostatni raz goiliłem się w Goteborgu w Szwecji 27 X, dziś jest 3 XI i jeszcze się nie goiliłem. Mówię, że nie ogolę się aż na dzień przed przyjazdem do Florydy. Bę-

dziemy tam około 16 lub 17 XI, ponieważ pogoda nie dopisuje. Wieczór ktoś mi podsunął jakieś czasopismo i tak mimo woli zacząłem czytać z zainteresowaniem do 10-ej, aż mi się zdrzemnęło. Chciałem iść spać, ale się bałem, że rano już nie wstanę, ale co – sen przemógł i trzeba było iść. Zasnąłem szybko i spałem dobrze do 4-ej. Potem się przebudziłem i przez 3 godziny przewracałem się tylko z boku na bok.

Poniedziałek 4 XI

Dzień jest ładny i słoneczny, w dodatku wiatr trochę zmalął, tak że ta śruba z tyłu okrętu nie wynurza się i chociaż huśta okrętem porządnie na boki, to śruba już nie wychodzi z wody, a okręt może płynąć całą parą. Natomiast wczoraj, gdy tył okrętu wynurzał się tak wysoko, że prawie cała śruba była na wierzchu i tym samym nie pchała okrętu. W dodatku tak chargotało, że nie można było wytrzymać, nie mówiąc o tym gdyby się urwała to kłapa bez żadnej apelacji. W każdym razie dziś jest cokolwiek lepiej, a najważniejsze jest to, że czuję się dość dobrze. Mamy przed sobą jeszcze jakieś 12 dni drogi. Po śniadaniu dzisiaj mieliśmy pogotowie z pasami ratunkowymi. Jak przejdzie reszta dnia to napiszę później, gdyż w tej chwili idę zapłacić „podatek”.

Wiał średni wiatr, dość ciepły, tak że do południa siedzieliśmy na pokładzie wystawieni do słońca. Było wspaniale. Tylko jak się okręt czasem przechylił, to było jakieś 2-3 m aby woda nie wlała się na pierwszy pokład. Po południu się pochmurzyło, wiatr jest nadal średni i okręt porządnie się kołysze, ale się tego jakby nie odczuwa, gdyż przecież jesteśmy siódmy dzień na morzu. Czujemy się dobrze i zaczyna nam się zdawać, że jesteśmy za cwani na to, aby kupić sobie morską chorobę. Lecz dobre jest przysłowie: Nie krzycz hop, dopóki nie przeskoczysz. Tak samo powinno być i z nami. Dzień zeszedł po prostu na wszystkim i na niczym. Jak zwykle chodzenie po pokładzie tam i z powrotem, trochę czytania, palenie papierosów i koniec. Pisząc to na razie przerywam, bo nie mam tak naprawdę nic ważnego do napisania.

Jest godz. 7-ma wieczór. Po kolacji rozmawialiśmy w jadalni do 10-ej. W nocy spałem nie najgorzej. Okręt nadal się porządnie kołysze, ale na to już teraz nie zwracam absolutnie uwagi, bo wydaje się to zbyt stara rzecz dla mnie. Przy każdej nadającej się sposobności, opytuję się o warunkach i możliwości dostania pracy na tym okręcie i za tydzień po przybyciu na Florydę wrócić z nim z powrotem do Szwecji. Nie wiem, czy mi się uda, a po drugie, czy sam nie zmienię zdania jak przyjadę do Florydy. Będzie to zależało od warunków tam na miejscu.

Wtorek 5 XI

Wstałem o 1/2 do 8-ej, szybko się ubrałem, umyłem, aby o 8-ej być gotowym na śniadanie. Przychoǳę do jadalni jest 8.00 na moim zegarku, a w jadalni 7.00. Aha, znowu zegar cofnięty o 1 godz. Do dziś cofnęliśmy zegarki o 3 godz. A że mamy w podróży cofnąć zegarki o 6 godzin, wobec tego cieszymy się, że już zrobiliśmy połowę drogi. Jednak tak nie jest... Mamy jeszcze 14 dni podróży przed sobą. Dziś w nocy mamy jechać koło Wysp Azorskich na Oceanie Atlantyckim. Od rana pogoda jest marna. Deszcz pada plus wiatr, że tylko siedzimy w kabinie lub też w jadalni. Jest obecnie 1/2 do 2-ej. Do tej pory zdążyłem zjeść tylko śniadanie, umyć się i jeszcze z godzinę, a będzie obiad i tak wkoło Macieju. Po południu trochę czytałem, bo naprawdę nie ma co robić, zaś po kolacji graliśmy trochę w warcaby. Poszedłem spać wcześniej, bo jakoś dziwnie się nudziłem. W nocy cholernie się tłukło, jak może jeszcze nigdy i to samo z kołysaniem się okrętu. Trzeba się było trzymać krawędzi łóżka, aby nie spadać, gdyż ja śpię do góry.

Środa 6 XI

Przewracałem się z boku na bok nie mogąc spać, aż tu nagle słyszę wołanie – Patrzcie, Wyspy Azorskie z prawej strony! A że kilka dni nic nie widzieliśmy, więc wszyscy jak dzieci pochodzili by zobaczyć te wyspy. Mieliśmy jechać wzdłuż wybrzeży północno-zachodnich, ale w nocy była taka burza, że okręt po prostu nie mógł płynąć pod fale i wiatr, bo jest lekki jak piórko i kapitan zmienił kurs. Opływaliśmy zatem wschodnie wybrzeże. Wielu z nas myślało w duchu, ażeby okręt stanął choć na jeden dzień, to moglibyśmy zwiedzić te wyspy choć trochę. Jak opowiadali marynarze jest tam dość ładnie, panuje wzorowy porządek. W ogóle ci którzy tam byli mówili, że warto je widzieć. Podobno można tam spotkać piękne czarnookie i włosie Hiszpanki. Jednak, niestety, nie mieliśmy okazji je zobaczyć. Cały dzień okręt huśtał się jak chyba nigdy do tej pory. W dzień na to nie zważam, bo idąc trzeba uważać, ażeby się nie przewrócić i przynajmniej na tym skupić trochę uwagi. W nocy natomiast jest gorzej, bo można spaść z łóżka. Obecnie marynarze pocieszają nas, że spodziewają się lepszej pogody.

Czwartek 7 XI

Rzeczywiście dzisiaj wyjechaliśmy z tej burzliwej części oceanu i pogoda teraz z rana jest piękna, zaś fale na oceanie jak na jakiejś małej rzece. Jak dalej? – zobaczymy... Około 9-jej mijaliśmy się z dużym okrętem płynącym do Europy. Był to jedyny ciekawszy widok, na który można było popatrzeć przez chwilę. Do południa wszyscy pasażerowie i załoga okrętowa siedzieli na pokładzie, wygrzewając się do słońca. Po południu zachmurzyło się trochę, jednak morze jest nadal spokojne, a wiatr to taki jak czasem na wiosnę w Polsce, kiedy dzień jest ciepły, słoneczny, a lekki zefirek powiewa z południa. Około 3-jej po południu naprawiałem sobie spodnie i skarpetki, a poza tym resztę dnia spędziłem na pokładzie. Zaczynamy odczuwać, że jesteśmy dość daleko na południu, gdyż jest tak ciepło, że myślimy o kąpeli jak tylko dotrzemy do Florydy. Jest teraz godzina 7 wieczór. Księżyc wychodzi czasem spoza chmurki, a jaki piękny widok na morze... Jak gdzieś koło Neapolu. Najodpowiedniejsze miejsce dla zakochanej pary, względnie dla młodej pary odbywającej miesiąc miodowy pod błękitnym południowym niebem do księżyca, gdzie noc jest prawie cieplejsza od dnia. Siedzę teraz po kolacji i piszę. Na razie przerywam, by iść zagrać w warcaby, względnie usiąść na pokładzie i podumać, podumać i raz jeszcze podumać... O czym? Wszystkim co myśli przyniosą do głowy. Przed spaniem wykapałem się porządnie, tak że potem spałem jak suseł.

Piątek 8 XI

Pierwsza rzecz z rana to mycie, a potem wychodzi się na pokład, by sprawdzić pogodę. Z rana powiewał lekki wiatr południowy, niebo zaś było trochę zachmurzone. Po śniadaniu zacząłem pisać na maszynie te swoje uwagi, które początkowo piszę na brudno. Pisałem prawie do 12-jej, a potem spacerowałem trochę przed obiadem. Po obiedzie zabrałem się znów do pisania. Gdy wyszedłem na pokład to słońce pięknie świeciło i do 5-jej spacerowałem po pokładzie, aby nasycić się tym naprawdę wspaniałym powietrzem. Po kolacji znowu posiedziłem trochę na pokładzie, by wypalić papierosa jak niegdyś Indianie fajkę pokoju, upajając się dymem i pięknym widokiem popołudniowego oceanu. Naprawdę nie wyobrażacie sobie, jak mi tęskno za tym wszystkim co przeszedłem i zostawiłem w Polsce. Ale co zrobić? Na razie wyglądam jak wysiedlony

lub wygnaniec. Wina to po prostu wypadku, że tak się stało. Ja osobiście nigdy nie spodziewałem się tak wyjechać. Wobec czego nie wziąłem swoich zdjęć – moja najdroższa pamiątka – oraz wiele innych rzeczy. Na razie znajduję się w takim położeniu, że mogę tylko pomyśleć lub powiedzieć – nazywa się trudno!!

Sobota 9 XI

Tej nocy wyspałem się wyśmienicie. Gdy wyszedłem na pokład promienie słoneczne mnie oświeciły. Pogoda i powietrze dziś wspaniałe. Zdaje się, że takie jak w Polsce w lipcu gdy jest upał. Masa jadących zdejmuje koszule i opala się do słońca. Przed i po śniadaniu pochodziłem trochę, a potem urządziłem sobie pranie. Zeszło mi z tym prawie do południa. Jak w Szwecji początkowo zacząłem pracować bielizną, to jakoś tak ciężko szło, a teraz już to idzie dość dobrze, jak również i prasowanie. Czyli trzeba się zastosować do amerykańskiego przysłowia help your self, bo inaczej bieda. Po kolacji wszyscy teraz siedzą na pokładzie względnie spacerują, gdyż powietrze jest wspaniałe, także nikomu nie chce się iść do kabiny spać.

Niedziela 10 XI

Zdaje się, że jakby pogoda z dnia na dzień była wspanialsza. Okręt sunie całą parą naprzód. Po śniadaniu, jak grzybki po deszczu, tak wszyscy wychodzą na pokład, aby pooddychać świeżym powietrzem i ogrzewać się do słońca. I do południa tylko rozmowa i chodzenie, aż do obiadu. Po południu zaczęło się trochę chmurzyć. Czytałem trochę, aby tym sposobem nabrać lepszej wprawy w czytaniu. Czytając przypominam sobie dużo słów, które zapomniałem, a po trzeciej, czytając i wpatrując się w słowa uczę się również pisać je. Mnie się zdawało, że umiem dość dobrze i tak było w Polsce, ale tutaj odczuwam pewne braki. Tu jest wielu takich, którzy lepiej ode mnie mówią, wobec czego staram się jak najwięcej nadrobić. Na wieczór nagle zerwała się burza. Było cholernie ciemno, deszcz lał się jak z cebra, a okręt, to tylko lada chwila, aby się przewrócić. Noc była również płochą, tylko tylko a można było wylecieć z łóżka. Może jednak jutro będzie lepiej, tak przynajmniej byśmy chcieli.

Poniedziałek 11 XI

Pogoda jest dość dobra, a morze raz wzburzone nie szybko przestaje falować. Do tego cały dzień wiatr wiał i wzmagał fale. Chwilami zdaje się, że jeszcze parę minut i okręt się przewróci. Mimo to każdy jest jakoś dziwnie spokojny i nie boi się. Jak okręt się głęboko zanurza, to najwyżej można słyszeć parę gwizdów na znak podziwu, bo mimo wszystko, oprócz strachu, to to dość pięknie wygląda. Cały dzień spędziłem na pokładzie, czytając plus chodzenie. Przed południem mijaliśmy się z okrętem zdążającym w przeciwnym kierunku. Podobno mamy być na Florydzie około 18 XI, będzie to jednak zależało od pogody. Pomimo tego że okręt dziś się huśta, ale wiatr mamy prawie że z tyłu, tak że naprawdę posuwamy się dość szybko naprzód. Pisząc to teraz jest godzina 1/2 do 7-jej. Na dworze jest ciemno jak w piwnicy. Noc była bardzo ciężka. Nie raz okręt się kołysał, ale tak jak dziś to jeszcze nie.

Wtorek 12 XI

Wstałem dzisiaj wcześniej, bo już nie mogłem na łóżku wytrzymać. Powoli zbliżamy się do Florydy, gdzie jak mówią marynarze klimat jest bardzo zmienny. Raz pogoda i pięknie, za

NADWISŁOCZE EMIGRACYJNE



Zdjęcie podpisane: „Ware 1934 r.” - USA. Rodzina Kubików. W podpisie na odwrocie czytamy: „Mietek Kubik (Książdz USA), Zofia później Lipecka (Nauczycielka), Kubik Stanisław i Michał ich ojciec.” Fot. w zb. red.

chwile deszcz i burza. Dziś właśnie mieliśmy taki dzień. Prócz spaceru, czytania, rozmowy i wałęsania się nie ma nic nowego. Powoli zaczynamy się zastanawiać jak i co będzie na Florydzie. Ja sam zastanawiam się głęboko, czy starać się o papiery marynarskie, czy też dopiero rozglądać się na miejscu, co dalej robić. Ja różnie w swojej głowie kombinuję, ale polskie przysłowie mówi: co w głowie uradzi, nigdy do skutku nie doprowadzi. Tak samo może być z moimi planami. Jak przyjadę na miejsce mogą się spotkać wręcz z przeciwnymi warunkami. Dlatego raz tak, raz tak myślę.

Praca na okręcie jako taka nie jest zła, to znaczy nie pracuje się ciężko, a dobrze zarabia. Jednak na przyszłość praca ta nie daje nic oprócz zarobku. Jedynie w przypadku, gdyby się chciało popracować parę miesięcy, aby zarobić trochę pieniędzy. Nasuwa się jednak pytanie czy jak się wejdzie między wrony, czy nie trzeba krakać jak i one. To znaczy, że jak się wejdzie między marynarzy, to nie ma mowy o składaniu pieniędzy, ponieważ z powodu wódki i piwa zawsze ich jeszcze brakuje. Czyli jak do tej pory nie byłem samodzielny. Teraz staję przed faktem, że muszę ze nim być. A że cokolwiek jakiegoś oleju w głowie posiadam, więc chciałbym od razu na coś dobrego natrafić, ale przyznać trzeba, że to jest dość ciężko. Dlatego nie mogę znaleźć końca swych kombinacji i myśli. Potrwa to jeszcze parę dni, aż wylądujemy na Florydzie, wtedy będę się musiał na to lub na coś innego zdecydować. Podróż mija jak co dzień, z tym, że ta noc co minęła i cały dzień to kołysanka 100%-owa. Cóż zrobić – jakoś się wytrzymuje.

Środa 13 XI

Cały dzień było pogodnie i pięknie. Okręt płynie całą parą, ponieważ wiatr sprzyja, a i morze też, bo jest spokojne. Pierwsze dwa tygodnie podróży niemożliwie długo się ciągnęły. Obecnie już liczymy na dnie, wobec czego czas strasznie szybko mija. Cały dzień spędziłem na wszystkim i niczym. Bawię się nawet we fryzjera, tak jak w Szwecji w szewca. Dzisiaj ostrzygłem dwóch, a jutro też zdaje się, że kilku będę miał. No co, mówię, że umiem, a robota nie najgorzej wygląda, więc uczę się tym samym zarabiając. Trudno – tak trzeba kręcić światem, jak to się mówi, żeby nic nie mieć. Poza tym dziś nie wydarzyło się nic szczególnego. Na wieczór kupiłem sobie 30 paczek papierosów, po 20 sztuk w każdej, ponieważ mamy tu papierosy bez cła i płaci się za 20 szt. 7 cents, więc robię sobie lekki zapas.

Czwartek 14 XI

Pogoda sprzyja. Okręt huśta się trochę, ale pomimo to gazuje na cały regulator. Po śniadaniu pochodziłem trochę, a potem zabawiłem się we fryzjera. Po południu ostrzygłem dwóch Szwedów. Jeden dał dolara, a drugi 75 cents. Kilku zaś mówiło, że chcieliby się jutro ostrzyć. Ja się tłumaczę, że nie mam maszynki tylko marne nożyczki i grzebień, że nie mogę podstrzyć dobrze. Pytają mi się czy jestem fryzjerem? Ależ naturalnie - odpowiadałam – Mój wujek miał zakład i ja strzygłem u niego jeden rok. Ale całe szczęście, że na okręcie nie ma maszynki, bo byłaby ze mną kłapa. Ale kto nie ryzykuje, ten w kozie nie siedzi. W Szwecji byłem szewcem, na okręcie wszyscy wiedzą, że jestem fryzjerem i tak się po polsku kręci i koniec.

Piątek 15 XI

Dzień i pogoda dzisiaj jak wymarzone. Temperatura w dzień dochodziła do 30 stopni Celjusza. Większość dnia trzeba było spędzić w cieniu. Za jakie dwa dni mamy być we Florydzie, wobec tego nic się nie chce robić, tylko wałęsać po pokładzie tam i z powrotem. Każdy jest jakby pod wrażeniem, że podróż zbliża się już do finisu. Te trzy tygodnie zleciały jak z bicza strzelił. Po południu ok. 4-ej płynęliśmy koło tzw. Zachodnich Indii – Bahama, wysp należących do Wielkiej Brytanii. Nie mogliśmy wiele widzieć oprócz jakichś domków, czy cokolwiek to było, i las, a na samym cyplu cudo latarnia morska. W tym samym czasie mijaliśmy się z okrętem zdążającym do Europy. Później wieczorem widzieliśmy kilka innych małych wyspek. Nazwa Bahama to nazwa kilkudziesięciu wysepek porzucanych po morzu niedaleko od siebie. Na okręcie już się szykują jak do lądowania. Odwiązują powrozyk i tam jeszcze inne rzeczy, które są potrzebne.

Sobota 16 XI

Dzień rozpoczął się piękną pogodą plus widokiem. Około 8-ej rano jechaliśmy wzdłuż najbardziej na wschód wysuniętych wybrzeży Florydy. Spotykaliśmy liczne duże okręty płynące do Ameryki lub do Europy, czy też do Afryki. Widok na wybrzeże Florydy był wspaniały. Jest tam jak można było zauważyć masę różnych wysepek. Są one połączone mostami. Takich mostów jak te co widziałem dzisiaj, to jeszcze nigdy nie widziałem. Były większe i mniejsze, a były i takie, które są długie od 2 do 3 km nawet. Może nie uwierzycie, bo i ja sam nie chciałbym uwierzyć, ale sam na własne oczy widziałem. Płynęliśmy i koło jednego miasta. Jak można było zauważyć miasto było dość duże, z różnymi radiostacjami, kominami, kamienicami, itp. rzeczami. Wzdłuż wybrzeża jeździło masę większych i mniejszych łodzi motorowych. Widocznie już był sezon dla bogaczy

przyjeżdżających do Florydy, aby uciec przed zimą. Cały dzień staliśmy na pokładzie obserwując wybrzeże. Słońce tak silnie prażyło, że musiałem iść pod tusz i wykapać się w zimnej wodzie trzy razy. Jesteśmy prawie w przededniu lądowania. Nie wiem co będzie na Florydzie – zostanie czy też nie. Ale jakby tam było tak gorąco jak się pokazuje, to uciekam jak najprędzej do Mass.

Niedziela 17 XI

Spodziewaliśmy się, że i dzisiaj będziemy jechać wzdłuż wybrzeży Florydy. Okazało się, że wypłynęliśmy znowu na ocean i cały dzień widzieliśmy tylko morze, no i piękne niebo południowe z prażącym słońcem. Temperatura dzisiaj dochodziła do plus czterdziestu stopni Celsjusza, tak że co 2 godziny trzeba było brać kąpiel w zimnej wodzie. A tak poza tym wałęsaliśmy się po okręcie przyglądając się marynarzom jak podnosili maszty – czyli dźwigi, które są tak zbudowane na zawiasach, że się je opuszcza i podnosi. Na tym zeszedł cały dzień. W każdym razie jutro rano 18 XI mamy być w porcie, który nazywa się Pensocola i jest zarazem pięknym miastem. Jutro zobaczymy... Rozmawiałem dziś z kapitanem, który mi powiedział, że jest możliwe załatwienie wszystkich formalności w ciągu kilku dni, tak że tym samym okrętem mógłbym wrócić do Szwecji tzn. dostać na nim pracę. Zobaczę jednak co będzie w Pensocola.

Tak pokrótce codziennie streszczałem swoje uwagi i opisałem swoją podróż na okręcie do Ameryki. Bardzo bym sobie życzył, aby ktokolwiek mnie zna i był ciekawy, to niech sobie przeczyta. Pisząc byłem w różnym nastroju, tak że może w nie jednym miejscu są jakieś usterki, to proszę wybaczyć. Nie kosztowało mnie to zbyt wiele pracy, jednak tak codziennie o tym myśleć doprowadzało też do znużenia i zniechęcenia, co sprawiało że myślałem o zaprzestaniu pisania. No ale jakoś wytrwałem. Nie raz śmiano się ze mnie – Co ty tak piszesz? Ta dziewczyna, do której piszesz nie przeczyta tego nawet w ciągu roku. Ja odpowiadałem – Jak ci się nie podoba, to kiss my... i koniec.

Może to już ostatnie zdania o mojej podróży. Jak będę miał okazję, to może coś jeszcze napiszę, a jak nie, to dopiero list z Ameryki co porabiam. Więc zdaje mi się, że na tym koniec. Z tym żegnam czytającego.

Kochana Siostrze i Szwagierku i Halinka! Ware Mass 23 XI 46

Otóż piszę już list z Ware. Podróż opisałem, jak było na okręcie. O ile dostaliście list z Szwecji, to też wiecie jak tam było. A jak nie to później może opiszę. Przyjechałem do Florydy 18 XI. Z okrętu wyszedłem 19. Tam dostałem 42,50 \$ na podróż do Ware. We czwartek rano 21 przyjechałem do Nowego Yorku, gdzie spędziłem dzień, a w nocy spałem u siostry Szaramy z Padwi, co ma tę restaurację. Ludzie bardzo zadni i dobrzy. Dostałem tam koszulę, podwuczki, skarpety i chusteczkę. Przyjęli mnie bardzo dobrze. Jak odjeżdżałem powiedzieli mi, że jak nie będę miał co robić w Ware, to żebym przyjechał z powrotem, to mi pomogą. Dawali mi nawet pieniądze na drogę, ale nie przyjąłem, bo miałem na tyle. 22 XI w piątek o 1-iej po południu wyjechałem z Nowego Yorku do Ware. Zmieniałem pociąg w New Haven, Springfield i przyjechałem do Palmer o 8-iej wieczór. Zaraz złapałem autobus i przyjechałem do Ware o 8.20. Wsiadłem przed Town Hall i patrzę. Zaraz poznałem West St. I idę, podchodzę pod sklep, a on inaczej wygląda. Pytam się jednego człowieka, aby pokazał mi sklep i wchodzi od tyłu, gdzie



Zdjęcie podpisane na odwrocie: „Lipecki Józef, Zofia Lipecka i [ich] córka. Nauczyciele z Wojkowa. (Lipa) Lipecki. Zofia Kubikowa z Wojkowa ur. w USA. Fot. w zb. red.

teraz Gile mieszkają. Zapukałem, wychodzi mąż Tośki. Ja się pytam czy Frank Gil w domu. Jest. Przychodzi i pytam czy mnie poznaje i odpowiada nie. Wyjaśniam, że przyjechałem z Polski. Przywitaliśmy się z nim, z nią, z Toską i jej mężem. Mataszka z mężem mieszka w Ware i jutro przyjeżdża. Władek koło Palmer na hurtowni wódki. Macugowa wiedziała, że mam przyjechać do Ameryki i ciągle pytała Gilów kiedy. Dudek co z ojcem mieszkał, Inbier co był fryzjerem to samo. Może ich powoli poodwidzam. Może wybiorę się i na farmę jak będę miał okazję, czy do New Bedford. Na razie nic nie wiem, bo to pierwszy dzień. W każdym razie parę dni będę u Gilów, potem mi znajdą robotę i jakoś to będzie. Ale tu się dużo zmieniło. Jak jechałem od Palmer to przybyło dużo nowych domów i wszystkiego, że trudno się orientować. Na mieście nie byłem, bo od rana piszę listy, a po południu chcę je wysłać. Zdałoby się wyjść tu i tam, bo mnie bardzo ciekawi, ale i Was tam też, więc ciężko siedzieć i pisać, ale jeszcze tyle mam silnej woli. Jak się wejdzie między wrony, to się kracze jak i one. W Polsce się dużo obiecuje, jak się jedzie do Ameryki, lecz po przyjeździe jest różnie. Gil mi pokazał list z departamentu, że dostałem wizę i żeby posłał 300 dolarów na podróż. A jakie tydzień przed tym listem dostał list ode mnie ze Szwecji, że w ten dzień co piszę, to wsiadam na okręt. Nie wiedział więc co robić – płacić czy nie? Postanowił parę dni poczekać, aż ja może napiszę albo jak się stało niespodziewanie przyjechałem. Ja jestem winien rządowi 180 dolarów, nie mówiąc już, że w tych pieniądzach wzięłem 50 dolarów na zegarek marki Omega, który kupiłem w Szwecji. Najnowszy fason, ten duży, wspaniały. Bo ja w Szwecji pracowałem i miałem troszkę pieniędzy, więc pierwszą rzeczą fundnąłem sobie zegarek, który w podróży jest bardzo potrzebny. Tak kombinowałem i kręciłem, nie mówiąc już, że Gdynię opuściliśmy bez niczego, a do Ameryki przyjechałem z walizką i teczką tą czarną, którą miałem i czyli koniec końcem za podróż jestem 130 dolarów, bo te 50 to na zegarek. Czyli w czasie podróży nabrałem wspaniałego doświadczenia plus podróż, która mnie kosztuje 170 dolarów taniej. Zastanówcie się nad tym wszystkim dobrze i powiedzcie prawdę, że trzeba było używać głowę i mieć dobrą. Na tym kończę i życzę Wam wszystkiego najlepszego, Bożego Narodzenia i Nowego Roku, bo ze mną to jakoś tu będzie. Zosiu, moje zdjęcie i inne rzeczy postaraj się, żeby były zachowane. Bardzo proszę!

Wydanie i opracowanie tekstu:
Krystyna Gargas-Gąsiewska

Mieczysław Kuriański

Ze wspomnień repatrianta – Memories of a repatriate

IV. U progu nowej rzeczywistości. Lata zmian - On the Threshold of a New Reality. Years of Change (1982 – 1994)

Święta Katarzyna – wieś z wyboru

Wieś,¹ do której sprowadziłem się z moją rodziną² jest położona zaledwie 11 kilometrów od Wrocławia przy linii kolejowej biegnącej w kierunku Opola, tuż za Brochowem. Na początku lat osiemdziesiątych miała ona charakter trochę zapyziałej miejscowości, choć znajdowała się w pobliżu dużej aglomeracji miejskiej. Niektórzy krewniaci powątpiewali w trafność mojego wyboru lokalizacji inwestycji, a nawet w celowość budowania się w ogóle, jako że wtedy nie panowała moda na tego typu poczynania. Płynęliśmy zatem pod prąd. Wielu Katarzynian patrzyło na nowo przybyłych z dozą ciekawości i może politowania, ponieważ nasz dom nie nadawał się do zamieszkania. Ciekawscy, kiedy dowiedzieli się (nie wiadomo skąd), że niegdyś byłem w seminarium, zaczęli snuć domysły co do mojego rodowodu i w konsekwencji źródeł finansowania. Wedle ich legend byłem krewnym anonimowego księdza bądź nieznanego dla nich milicjanta. Te zasłyszane wieści budziły we mnie niekłamana radość. Odbierałem to jako swoisty wiejski folklor, jak też próbę uzasadnienia tamtejszej gnuśności. Z kolei współczujący mi nie dowierzali, że można coś zrobić sensownego dzięki determinacji i modlitwie. Naprawdę posiadaliśmy skromne sumy na zakup materiałów budowlanych, na robociznę w dużej mierze nie wydawaliśmy pieniędzy, gdyż prace wykończeniowe wykonywałem przeważnie we własnym zakresie. Fama o tajemniczych sponsorach była więc zwykłą konfabulacją gminu.

Struktura zawodowa wsi przedstawiała się jak w miejscowości podmiejskiej. Rolnicy o różnym stopniu opanowania swej profesji stanowili stosunkowo nieliczną grupę zawodową, najwięcej figurowało robotników, sporo urzędników, emerytów i rencistów; nie brakowało obiboków i birbantów, którzy zimą i latem spędzali czas pod geesowskimi sklepami bądź w restauracji „Piaś”, gdzie burdy i wyczyny domorostych doliniarzy nie należały do rzadkości. Niektórzy recydywiści uchodzili za bohaterów na wzór Janosika. Podczas opowiadań przy piwie, z reguły w kłębach papierosowego dymu, stali bywalcy tego przybytku snuli o nich barwne legendy z myślą, że naiwni słuchacze z okolicznych miejscowości wynagrodzą ich kunszt narratorski i moralizatorski nieskapym napiwkami. W wielu wypadkach ziszczały się oczekiwania bazarzy lub sami egzekwowali należność za swój mozół, ale wtedy nie do pozazdroszczenia był żywot biernych uczestników knajpowego słuchowiska na drugi dzień, po wytrzeźwieniu. Budzili się oni z pustymi kieszeniami, czasem bez całorocznej sumy pobranej za buraki. Zatem doliniarze udzielali nieraz kosztownych lekcji nowicjuszom z pobliskich (i nie tylko) wsi i przysiółków.

¹ Zamieszczone przypisy pochodzą od autora artykułu

² Przeprowadzka z Młodoszowice do Św. Katarzyny nastąpiła w maju 1982 roku

Święta Katarzyna – a Village of Choice

The village¹, where I brought to my family² is located 11 kilometers from Wrocław, near the railway line running in the direction of Opole, behind Brochów. In the early eighties it had the nature of a remote place, but it was situated near a large urban agglomeration. Some my relatives doubted in the accuracy of my choice of this investment location, and even in the advisability of building in general, as if there was not a fashion for such actions. Therefore we sailed against the current. Many inhabitants looked at new arrivals with a degree of curiosity and some pity, because our house was not suitable for habitation. The curious when they found out (we did not know where) that once I had been in a seminary, began to speculate about my ancestry and, consequently, about sources of my income. According to the legend, I was a relative of an unknown priest or a anonymous policeman. These news aroused genuine joy in me. I received this as a kind of rural folklore, as well as an attempt to justify the local sloth. In turn, the compassionate did not trust that we could do something meaningful with determination and prayer. Really we had modest sums of money for our building materials, we did not spend money for the works, since we carried out them mostly on our own. The story about mysterious sponsors was simple a common confabulation.

The occupational structure of rural areas was like in a suburb place. Farmers with varying degrees of mastery of his profession were relatively a small professional group, there were manual-workers (the most), many civil servants, pensioners, and there was no shortage of unemployed who spent the winter and summer time under village shops or in the restaurants ‘Piaś’, where brawls were not uncommon. Some repeat offenders were considered heroes like Janosik. During the short stories over a beer, usually in a cloud of cigarette smoke, the regulars of this tabernacle were wandering colorful legends about them with the idea that naive listeners from the surrounding area would compensate their artistry and moralizing narrative with a reach tip. In many cases the story tellers expectations were fulfilled, or they enforced the charge for their toil, but then there was the unenviable life of passive participants of the restaurant drama on the next day. They woke up with empty pockets, and sometimes without money for a year grown beets. Thus dodgers often gave novices from the nearby villages and hamlets an expensive lesson.

However, the village had a very interesting thing. Namely, in the middle of the village towered silhouette

¹ Posted footnotes are from the author

² Moving from Młodoszowice to Święta Katarzyna took place in May of 1982

Jednakże miejscowość miała też ciekawe rzeczy. Mianowicie pośrodku wsi górowała sylwetka kościoła parafialnego pod wezwaniem Świętej Katarzyny Aleksandryjskiej. Świątynia została wzniesiona w XIII wieku i po raz pierwszy wzmiankowana w związku z przybyciem kolonistów z Flandrii.³ W ciągu wieków przechodziła różne koleje dziejów. Do naszych czasów dotrwała budowla jednonawowa murowana z cegły, z wieżą od strony zachodniej, od wschodu z prezbiterium zamkniętym absydą; zachowały się elementy gotyckie pośród dominującego stylu barokowego. Wzrok przechodnia przykuwała brama murowana zwieńczona figurą św. Katarzyny. Z tyłu za kościołem rysowała się okazała bryła plebanii. Wszystkie obiekty wyglądały dostojnie i wieściły dawne wspaniałe dzieje. Tu po wojnie głosili słowo Boże i sprawowali sakramenty św. polscy księża, którzy scalali w jedno napływową ludność i utwierdzali ją we wierze katolickiej. Z tamtych lat wryły się w moją pamięć tacy duszpasterze, jak: ks. Stefan Kozłowski, ks. Stanisław Draguła i ks. Stefan Wancel. Każdy z nich zostawił po sobie pewne dzieło, bo Kościół nie aprobejuje rewolucji, lecz hołduje ewolucji, czyli żmudnej pracy pokoleń, których owoce kumulują się z upływem czasu, nawet wieków.

Trzeba wspomnieć o prominentnej osobie z tamtego okresu, dr Rudolfe Mazurku, dyrektorze Ośrodka Zdrowia w Świętej Katarzynie. Dzięki jego inicjatywie i przedsiębiorczości powstał obiekt przychodni. W tym względzie nawet Wrocław mógł pozazdrościć nam takiego przedsięwzięcia. Dbał o niego jak o oko w głowie. Nie żałował swojego czasu ani zachodu w sprawach dotyczących jakości usług medycznych i wyglądu placówki ZOZ⁴. Jakby było za mało, przyczynił się w dużym stopniu do zgazyfikowania miejscowości i włączenia jej do komunikacji podmiejskiej. Niestety, do dziś nie upamiętniono zasług tego pracowitego Polaka z Górnego Śląska, chociażby nazwaniem jego nazwiskiem i imieniem ulicy w pobliżu ośrodka. Ale nie dziwi mnie taka sytuacja, gdyż obecnie obowiązują inne priorytety; chodzi o to, kto będzie dzierżył buławę lokalnej władzy i czerpał korzyści materialne, a nie troska o dobro wspólne.

Ognisko domowe

Ognisko domowe to dom i rodzina. Obydwa człony tej rzeczywistości znajdowały się w stanie intensywnych zmian. Zanim cała rodzina sprowadziła się do Świętej Katarzyny, dzieci zostały u teściów, zaś babcia Józefa na swojej schedzie w Młodoszowicach. Z kolei ja i żona doprowadzaliśmy dom do stanu używalności. Dlatego całymi dniami wewnątrz tynkowałem, betonowałem, odgruzowywałem, zewnątrz kosilem chwasty i plantowałem działkę. Budynek nie posiadał żadnych stałych przyłączy. Mieszkanie w nim przypominało spartańskie warunki. Kiedy niektóre pokoje zostały nieco ogarnięte, pobiałkowane i jako tako umeblowane, sprowadziliśmy pozostałych członków rodziny. Byliśmy razem. Babcia, nie tolerująca lenistwa, rzuciła się w wir pracy, nade wszystko

³ Pierwsza informacja o kościele pochodzi z 1257 roku w związku ze wzmianką o obrazie św. Katarzyny przewiezionym przez kolonistów z Flandrii; stąd Catharina Flandrina i nazwa miejscowości Św. Katarzyna

⁴ ZOZ – skrót od: Zakład Opieki Zdrowia

of the parish church of St Catherine of Alexandria. The temple was built in the thirteenth century and first mentioned in connection with the arrival of colonists from Flanders³. Over the centuries, it underwent various vicissitudes of history. To our times the nave building with bricks survived, with a tower from the west side, from the east the chancel closed with apse; Gothic elements dominant in the midst of the baroque style preserved. The passer's eyesight was riveted by the gate topped with a stone figure of St. Catherine. Behind the church was a sizeable block of the parsonage. All objects looked magnificent sending the message of old great happenings. Here, after the war Polish priests preached the word of God and the Holy Sacrament. They merged into a single foreign residents and confirmed them in the Catholic faith. In those days engraved in my memory such priests as Stefan Kozłowski, Stanisław Draguła and Stefan Wancel. Each of them left after himself some work, because the Church does not approve the revolution, but adheres to evolution, which is laborious work of generations, their fruit accumulates over time, even centuries.

We must mention the prominent person of that time, Dr. Rudolph Mazurek, Director of Health Service Center in St Catherine. Thanks to his initiative and entrepreneurship the impressive building of clinics was created. In this respect, even Wrocław could envy us such a venture. He cared about it very carefully. He did not regret his time or his effort in matters relating to the quality of medical services and the appearance of the ZOZ⁴ building. As if it was too little, he contributed significantly to providing the village with gas for heating and inclusion the village to the suburb communication. Unfortunately, to this day the merits of the hard-working Pole from Upper Silesia has not been commemorated, even by naming his name the street near the center. But that situation does not surprise me as now there are different priorities, the question is, who will be held the local authority's baton and drew his material advantage, rather than concern for the common good.

Home

Home is home and family. Both units of that reality were in intensive changes. Before we brought the whole family to St. Catherine children were in in-laws, our grandmother Jozefa in Młodoszowice. In turn, I and my wife were preparing the home to working condition. So for days inside I was plastering, placing the concrete, rubble clearing outside I was mowing weeds and leveling the plot. The building did not have any solid connections. It resembled the house in Spartan conditions. When some of the rooms were a bit seized, painted and furnished, we brought other family members. We were together. Our grandma, who did not tolerate laziness, threw herself into the whirl of work, above all, around the household growing with passion flower beds. From morning to evening,

³ The first information about the church dates from 1257 in connection with the mention of a painting of St Catherine took by colonists from Flanders, hence the name Catharina Flandrina and the village name St Catherine.

⁴ ZOZ - an acronym for: Department of Health Care.

KRESOWE NADWISŁOCZE

oddala się pasji uprawy przydomowych grządek. Od rana do wieczora kopała i grabiła, siała i podlewała. Wszędzie musiały rosnąć kwiaty bez względu na plan zagospodarowania. Nieprzyjaznym okiem patrzyła na gazony, ponieważ widziała w nich konkurencję dla grządek. Stąd pod naszą nieobecność powiększała niejednokrotnie areał swojego królestwa kosztem trawników. Nie pomagały perswazje Ireny.

Babcia Józefa miała większy zakres czynności, niż by się wydawało osobom postronnym. Na jej barkach spoczywał bowiem również trud opieki nad wnuczkami. Co prawda preferowała zajęcia na działce, jednak nie stroniła od roli troskliwej opiekunki i wychowawczynie dzieci. Trzeba powiedzieć, że jej szkoła była twarda, wręcz purytańska. Ćwiczyła w porę i nie w porę małe latorośle. Uczyła je modlitw, katechizmu; uczyła z nimi do kościoła. Kiedy nierozważna dziatwa nudziła się, podsuwała im pożyteczne zajęcia, jak szycie czy sprzątanie. Wielkim świętem było opowiadanie bajek. Wówczas wnuczki otaczały staruszkę i z otwartą buzią słuchały opowieści, kończące się najczęściej morałem. Czasem zdarzało się tak, że uważne słuchaczki stwierdzały niezgodność ostatniej wersji fabuły z poprzednią. Wówczas dochodziło do zamieszania i słownych utarczek. Ale wkrótce wszystko wracało do normy i kończyło się pokojem i zażyłością. Aldonka zazwyczaj bawiła się z koleżankami w klasę, zaś Angelika wolała zajęcia techniczno – wojskowe z kolegami. Każda z nich miała swoje upodobania.

Barwy szczęścia uległy wielokrotnieniu, gdy przyszedł na świat nowy członek rodziny, Dawid.⁵ Długo oczekiwany syn wreszcie zagościł w nasz nowy dom. Wszyscy cieszyliśmy się. Babcia nie szczędziła dla niego czułości i równocześnie karności. Wnuk wzrastał w zaciszu środowiska domowego pośród resoraków i klocków lego, a gdy z wiekiem okrzepl, udał się z kolegami na „front” do sąsiednich budynków będących na etapie budowy, które w ich wyobraźni zamieniały się w twierdze. Po kilku latach owa armia poszła w rozsypkę, militarizm ustąpił miejsca pacyfizmowi. Wszystkie dzieci w stosownym czasie poszły do Szkoły Podstawowej w Świętej Katarzynie. Córki jako starsze zaczęły później uczęszczać do szkół średnich we Wrocławiu: Aldona do Liceum Ogólnokształcącego prowadzonego przez urszulanki, Angelika do Technikum Ochrony Środowiska przy ul. Dawida, syn musiał zadowolić się jeszcze miejscową szkołą. W takiej sytuacji kontakt jego z babcią Józefą był jeszcze nie nadwątlony. Korzystał przeto z jej gwary kresowej, dochodząc do wprawy w posługiwaniu się nią. Znajomość językowa dotyczyła zasadniczo codziennych zwrotów tudzież przysłów ukraińskich. Sprzeczkę z wnukiem kończyła Józefa wyrażeniem sakramentalnym: „Jdy, ty, didu sorokatyj!”⁶ To iskrzenie we wzajemnych stosunkach nie wpływało na jej szczodrość względem męskiej pociechy. Nieraz ze swej renty zdeponowanej pod poduszką dawała swemu pupilowi na łakocie ochoczo i hojnie.

Tymczasem, gdy dzieci rosły, oboje pracowaliśmy zawodowo, ja na budowie we Wrocławiu, żona, po przeniesieniu się z Urzędu Powiatowego w Brzegu, zatrudniła się w Urzędzie Gminy w Świętej Katarzynie. Bliskość zakładu

⁵ Dawid urodził się 8 VIII 1985 roku we Wrocławiu

⁶ Zwrot w gwarze ukraińskiej, który można przetłumaczyć mniej więcej tak: „Odczep się, dziadu!”

she kicked and robbed, sowed, and watered. Flowers had to grow everywhere regardless of the development plan. She looked with unfriendly eye on the lawns as she saw them as a compete to the flower beds. Thus, in our absence she often augmented his kingdom at the expense of lawns area. Irene persuasions did not help.

Grandmother Jozefa had a greater range of activities than would have seemed to any third parties. On her shoulders rested also effort of care for grandchildren. Although she preferred working on the plot, but she did not shunned the role of caring guardian and educator of children. Needless to say that her school was hard, even puritanical. She taught them prayers, catechism, attended to church with them. When the children were bored she suggested to them useful activities, such as sewing and cleaning. A big celebration was storytelling. Then, the grandchildren surrounded with open mouths the old woman and listened to the story, ending with the moral. Sometimes it happened, so that careful listeners noticed non-compliance of the latest version of the story from the previous one. Then there was confusion and verbal skirmishing. But soon everything returned to normal and ended with the peace and intimacy. Aldonka usually played with her friends ‘in class’, and Angelika preferred technical – military activities with colleagues. Each had her tastes.

Color of happiness multiplied, when a new member of the family, David⁵, came into the world. The long-awaited son finally was placed in our new home. Everyone was happy. Our grandma has not spared for him sensitivity and discipline at the same time. The grandson grew in the privacy of the home environment among toy cars and Lego bricks, and when became a bit advanced with age, he went with his friends on the ‘front’ of the adjacent buildings during the construction phase, which in their imagination turned into fortresses. After several years these troops went into disarray, militarism gave way to pacifism. All children in due time went to Primary School in St. Catherine. Daughters who were older began later to attend school in Wrocław: Aldona the high school run by the Ursulines, Angelika the Technical Environmental Protection, Davida Street, the son had steal to settle in a local school. In this situation, contact with his grandmother Jozefa was not yet weaken. Therefore he benefited from the borderland dialect, coming to practice in the use of it. His knowledge of the language related primarily to the daily expressions and also Ukrainian proverbs. Ending a quarrel with his grandson Jozefa used sacramental words: ‘Jdy, ty, didu sorokatyj!’⁶ Those sparks in their mutual relations not influenced her generosity to the male grandchild. Often from her pension deposited into the pillow she gave her pet coins willingly and generously.

Meanwhile, when the children grow, we both worked professionally, I was on construction site in Wrocław, my wife, after moving from the Office of District Bank, recruited the Municipal Office at St Catherine. The

⁵ David was born on 8 August 1985 in Wrocław, Poland.

⁶ Return the dialect of Ukrainian, which can be translated roughly as: ‘Leave me alone, old man!’

pracy pozwalała jej na wgląd w sytuację domową, rozłożyć kontrolę nad dziećmi i chorą babcią. Na początku lat dziewięćdziesiątych ukończyłem dwuletnie wieczorowe Technikum Budowlane we Wrocławiu, wcześniej uzyskawszy dyplomy czeladnika i mistrza murarskiego. W tych poczynaniach krył się zamiar założenia własnej prywatnej firmy budowlanej. Jednakże plany spaliły na panewce, gdyż okres ten odznaczał się wielkim kryzysem gospodarczym i galopującą inflacją. Wtedy mogły funkcjonować jedynie firmy mające związki z byłą nomenklaturą, reszta zakładów albo bankrutowała, albo nie płaciła pracownikom regularnie wynagrodzeń. Należało więc znaleźć jakieś inne logiczne rozwiązanie.

Pierwsze kroki w katechezie

W 1994 roku wybór padł na teologię i to nie bez przyczyny, ponieważ w latach sześćdziesiątych ukończyłem 8 semestrów tej dyscypliny w Wyższym Seminarium Duchownym we Wrocławiu. Władze uczelniane PWT⁷ zaliczyły je. Na tej podstawie mogłem finalizować studia teologiczne na szczeblu magisterskim i równocześnie podjąć pracę katechetyczną w Zespole Szkół Gastronomicznych we Wrocławiu. W 1997 roku uwieńczyłem owe zmagania studenckie tytułem magister teologii katolickiej (specjalność historia Kościoła). Dysertacja, której tytuł brzmiał: „Historia zespołu klasztornego cystersów w Lubiążu w dobie średniowiecza i baroku”, została napisana pod kierunkiem ks. profesora Józefa Swastka. Powyższy temat tak mnie zafascynował, że postanowiłem kontynuować naukę. Wstąpiłem więc na drogę licencjatu i doktoratu. Czułem, że coś się zmieniło w moim życiu, rozciągniętym dotychczas między kielnią a domem. Rozpocząła się nowa rzeczywistość nie tylko za sprawą studiowania, ale też z powodu zmiany zawodu.

Na początku września pojawiłem się w gastronomii.⁸ Wszędzie było rojno, nie wyłączając pokoju nauczycielskiego. Dominowały w nim panie, które namiętnie dyskutowały w swoich grupach. Mężczyźni wyraźnie ustępowali kobietom pod względem liczebności. Wkrótce wywiązała się konwersacja. Zapytany oświadczyłem, że będę uczyć religii. Pokazano mi, jak wypełniać dzienniki i posługiwać się planem lekcji, bo nigdy nie uczyłem w szkole. Trzeba wyznać, iż byłem zdolowany molochem instytucji szkolnej i wszędobylskim hałasem. Zastanawiałem się, dlaczego nauczyciele rozwodzą się nad sprawami skądinąd prostymi, może banalnymi. Na budowie przecież nie młócono słomy, lecz podejmowano dość szybko określone decyzje. Niestety, tu świat prezentował się zupełnie inaczej, ponadto chodziło się w garniturze. W łonie ciała pedagogicznego istniał zróżnicowany stosunek do wprowadzenia katechezy do zajęć szkolnych. Jedni nauczyciele byli przychylni takiemu postanowieniu episkopatu i rządu, drudzy nie mieli wyrobionego zdania w tej materii, a jesz-

⁷ PWT – skrót od: Papieski Wydział Teologiczny

⁸ Ówczesny skład dyrekcji przedstawiał się następująco: dyr. nac. Zuzanna Balawender, z – za dyr. Stanisława Kowalczyk, z – ca dyr. Barbara Witkowska, kier. szkolenia praktycznego Ewa Morawska. Od 2000 roku następują zmiany personalne w gremium kierowniczym szkoły, tworzą go osoby: dyr. nac. Krystyna Szumilak (od 1 IX 2000 r.), z – ca dyr. Agata Pokrzywa (1 IX 2002 r.), z – ca dyr. Małgorzata Frydel (od 1 IX 2005) oraz kier. szkolenia praktycznego Krystyna Głowacka (od 1 IX 2009 r.)

proximity of the employer allowed her to insight into the situation at home and have control over children and ailing grandmother. In the early nineties I graduated two years Building Technical in Wrocław, previously I had received the diploma of a bricklayer master. In these endeavors was concealed an intention to start my own private construction company. However, the plan failed, because this period was marked by a great economic crisis and galloping inflation. Then can only work companies with a firm relationship with the former nomenclature, the rest of the companies or bankrupted, or did not pay employees regular wages. I had to find some other logical solution.

Getting Started in Catechesis

In 1994 the choice fell on theology and not without reason, because in the sixties I completed 8 semesters of this discipline at the Major Seminary in Wrocław. PWT⁷ university authorities passed them for me. On this basis, I could finalize my theological studies at master degree and simultaneously take the catechetical work in the Complex of Gastronomy Schools in Wrocław. In 1997, my struggles were crowned by the title of Master of Catholic Theology (specializing in church history.) The dissertation, which title was ‘The History of the Monastery of the Cistercian Abbey in the Middle Ages and the Baroque Era’, was written under the direction of Fr. Professor Joseph Swastka. I was so fascinated by the above subject, that I decided to continue my education. So I went on the way of undergraduate and doctorate. I felt that something had changed in my life, yet stretched between a trowel and home. A new reality began not only through my study, but also because of changes in the profession.

At the beginning of September I was at school.⁸ Everywhere was crowded, not excluding the teaching facilities. It was dominated by women who passionately discussed in their groups. Men clearly appeasing women in terms of numbers. Soon a conversation discharged. When asked, I stated that I would teach Religion Education. I was shown how to fill registers and use the lesson plan, because I had never learnt at school. I must confess that I was depressed by the giant educational institution and noise. I wondered why the teachers discussed over the affairs which were otherwise simple, perhaps trivial. On the construction site we had not threshed straw, but quickly taken down a decision. Unfortunately, there the world appeared differently, also I was wearing the suit. In the bosom of the teaching staff, there was a varied approach to the introduction of catechesis to school. Some teachers were favourably disposed to such order of the

⁷ PWT - an acronym for: Pontifical Faculty of Theology.

⁸ The then part of the management was as follows: Dir. in chief. Susan Balawender, with - as director. Stanislaw Kowalczyk, z - Deputy Dir. Barbara Witkowska, practical training led by Ewa Morawska. Since 2000, the following personnel changes in the school steering committee, formed by a person: Dir. in chief. Christina Szumilak (from 1 September 2000), with - ca Dir. Agata Pokrzywa (1 Sep 2002), with - Deputy Dir. Malgorzata Frydel (from 1 September 2005) and Hearts of practical training Krystyna Glowacka (from 1 September 2009).

KRESOWE NADWISŁOCZE

cze inni reprezentowali wręcz wrogie podejście, czemu dawali wyraz w swych licznych poczynaniach, uciekając się przy tym do niekonwencjonalnych metod względem przedmiotu lub katechety. Całe szczęście, iż z upływem lat *homo sovieticus* stawał się coraz mniej aktywny.

W tym samym dniu spotkałem ks. Tadeusza Zajkowskiego, z którym – jak się okazało – przyszło mi katechizować razem młodzieź, i to stosunkowo długo. Współtowarzysz był człowiekiem starszym o usposobieniu łagodnym i żartobliwym; z jego ust nie schodził uśmiech. Nas obecnych obdarzał wszędzie dobrym słowem, bułką, cukierkiem, kawą. Odznaczał się dużą wiedzą i życzliwością. Dobrze pracowało się z nim, jemu też wiele zawdzięczałem, gdy idzie o tajniki katechezy. W gronie osób przyjaznych katechetom znalazło się ponadto kilku nauczycieli świeckich, wśród nich: Irena Repeła, Maria Zawrotniak i Elżbieta Musiał oraz śp Wiesław Kuc. Sercem i duszą wspieraliśmy się wzajemnie. Katecheci wrastali powoli w środowisko szkolne. Niektórzy nasi wczorajsi adwersarze zmieniali negatywne stanowisko wobec katechetów i naszego przedmiotu, gdyż przebywając razem i poznając się bliżej, dostrzegali, że nie taki diabeł straszny, jak go malują; zamierał duch konfrontacji, kiełkował zaś z wolna duch współpracy.

Mój pierwszy kontakt w roli katechety z młodzieżą należał do niezbyt udanych. Nie potrafiłem bowiem zapanować nad żywiołem nastolatków i przemówić do nich przekonująco. Dialog był drętwy. Pod wpływem chwili traciłem wątek myślowy, nogi ugięły się pod mną. Czułem się niekomfortowo. Czekałem na dzwonek i koniec lekcji, ponieważ nic nie miałem do powiedzenia. Wahałem się, czy nie wrócić na powrót na budowę. Ta porażka sprawiła, że jechałem do domu pełen goryczy i niezadowolenia. Jednak nie chciałem poddać się bez wystrzału. Z dnia na dzień opadały wszakże emocje i ukazywała się sylwetka ucznia, który w stosunku do mnie zajmował postawę oczekiwania – to wszystko wciągało mnie w wir zaangażowania i sferę poszukiwań. Powoli dosiadałem konia, wchodząc w rytm nauczania. Zacząłem dostrzegać palące problemy na niwie mojego przedmiotu: małą frekwencję uczniów na lekcjach religii, spadek rangi katechezy, słabnący związek katechizowanych z Kościołem w wymiarze parafii, niedzielnej Eucharystii, rosnący rozdźwięk między wiedzą religijną a akceptacją norm moralnych, wreszcie kruche zamocowanie prawne religii w szkole. Powodzenie katechizacji zawisło przeto od dobrej woli ciała pedagogicznego z dyrekcją na czele oraz merytorycznego przygotowania katechety i jego osobistego autorytetu. Świadomość tych kwestii jeszcze nie zapewniała skutecznych rozwiązań. Nie mniej jednak sugerowała, że skoro zawiodły metodyka i treści katechezy, to należy zająć się katechizowanym, uczynić z niego główny punkt odniesienia procesu dydaktyczno – wychowawczego.

Święta Katarzyna, dn. 3 stycznia 2010

episcopate and the government, while others had no definite opinion on the matter, and still others represented almost hostile approach, which they expressed in their many endeavors, resorting to unconventional methods against an object or catechist. Fortunately, over the years that 'Homo Sovieticus' was becoming less active.

On the same day I met a priest Tadeusz Zajkowskiego, which - as it turned out - came together to catechize youth, for a relatively long time. The elderly companion was a man of gentle disposition and playful; the smile never left from his lips. Us present he lavished a good word, bread, candy, coffee. He was known for great knowledge and kindness. It was well to work with him, I owe him a lot when it comes to the secrets of catechesis. Among the people there were friendly to catechists teachers, among them: Irena Repel, Maria Zawrotniak and Elżbieta Musiał and later Wiesław Kuc. With heart and soul, we supported each other. Catechists grown slowly in the school environment. Some of our adversaries have changed yesterday's negative attitude towards our catechists and of course, since coming together and getting to know closer, they saw that the devil is not so black as he, withered the spirit of confrontation, free spirit of cooperation was born.

My first contact in the role of the catechist with the youth belonged to a not very successful. Indeed, I could not control the vitality of teenagers and speak to them convincingly. The dialogue was numb. Under the spur of the moment I was losing thread of thought, my legs gave way beneath me. I felt uncomfortable. I waited for the bell and the end of the lesson, because I had nothing to say. I hesitated whether or not to return to the building. This failure caused that I went home full of bitterness and discontent. But did not want to give up without a shot. Day by day emotions came down and the silhouette of the student appeared, who had the attitude of waiting - all these pushed me into a vortex of engagement and the realm of searching. Slowly, I mounted a horse, going into the rhythm of teaching. I began to see the burning issues in the floodplain of my course: a small turnout of students for Religious Education, lower level of catechesis, the declining relationship students with the Church in the parish, the Sunday Eucharist, the growing gap between knowledge and acceptance of religious moral standards, and finally the fragile attachment of religion in the school law. Catechesis, therefore, pending the success on the goodwill of the teaching staff and the head of the school and the substantive preparation of the catechist and his personal authority. Awareness of these issues have not yet ensured effective solutions. No less, however, suggested that since the failed methods and content of catechesis, it needs to be addressed to the pupils, making it the main reference of the didactic - educational process.

Święta Katarzyna, 3 January, 2010

KRZYŻE KRESOWE

*Pokażcie mi swój cmentarz
a powiem wam
jacy byliście
jacy jesteście
jacy będziecie*

Krzyże kresowe

Tam na umarłej dla Polski ziemi
ubiczowanej wolności
i ukrzyżowanej historii
stoją jak na kresowej Gólgocie
jak na wzgórzu
przestrzelonych czaszek
stróże mogił
i dołów grzebalnych
niemi świadkowie świetności
znaczący zwycięstwa
i krwawe klęski
na ostatniej warcie

Krzyże kresowe
zmuśniętego drewna prochy
sypiącej się rdzy
utraconych żelaznych kikutów
i marmurowych obelisków
i szarych legionowych pomników
milcząco i dumnie
pozostawione na baczność
po salwie honorowej
pochylone burzami dziejów
słabe ze starości
i silne pamięcią
krzyże Rzeczypospolitej

Krzyże kresowe
wspomnienie matek i żon
córek i synów
pomniki ojców mężnych
i troskliwych
którzy dochowali wierności
przysięgi i ślubów
i kapłanów, braci i sióstr
ziemskich pasterzy
którzy drogami krzyżowymi
prowadzili i odprowadzali
witali i żegnali
na początku i na końcu
każdej drogi
czyniąc i stawiając znak krzyża
który pozostał
na zawsze

Włodzimierz Gąsiewski



28 VI 2008 r. Utracony krzyż żeliwny na cmentarzu polskim w Nowogródku na Białorusi (fot. W. Gąsiewski)



23 VIII 2009. Krzyże na polskim cmentarzu wojskowym w Zadwórzcu. Ukraina (fot. W. Gąsiewski)



23 VIII 2009. Krzyże na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Lwów, Ukraina (fot. W. Gąsiewski)



30 IV 2007 r. Strzaskany kamienny krzyż na polskim cmentarzu w Żytomierzu na Ukrainie (fot. W. Gąsiewski)



29 VI 2008 r. Krzyż na grobie nieznanego żołnierza Wojska Polskiego z wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. Krywicz, Białoruś (fot. W. Gąsiewski)

Marian Piórek

Losy wojenne rodziny Jachyrów z Cmolasu i zabójstwo, ale jakie?

Rodowód

Władysław Jachyra pochodzi z rodziny o tradycjach związanych z przemysłem drzewnym Puszczy Sandomierskiej. Jego dziadek Jan i ojciec Piotr byli znanymi na przełomie XIX i XX wieku budowniczymi domów i wiatraków, a robotę ciesielską znali w okolicy najlepiej. O dobrej robocie ciesielskiej stolarzy powiatu kolbuszowskiego mile wspomina w swoich wspomnieniach wybitny działacz ruchu ludowego Wincenty Witos. Z jego rodzeństwa tradycje rodzinne utrzymywali, już nieżyjący brat Stanisław znany gonciarz i Władysław – koszykarstwo i plecionkarstwo.

Jego rodzina była spokrewniona z rodem Andrzeja Kędziora z Toporowa, słynnego działacza ruchu ludowego, wiceministra robot publicznych (melioracyjnych) i kandydata na prezydenta II RP oraz z rodem Ginterów z Ostrów Tuszowskich. Nic dziwnego, że w rodzinie Jachyrów żyła tradycja ruchu ludowego.

Jego opowieści z czasów okupacji niemieckiej, ruchu oporu i utrwalania „władzy ludowej” w okolicach gminy Cmolas są niesamowicie interesujące i mało znane.

O proboszczu z Cmolasu!

Ks. Stanisław Jagła – proboszcz parafii Cmolas był bardzo lubianym kapłanem w oczach swoich parafian. Oprócz swoich obowiązków duszpasterskich i administracyjnych, jako proboszcza - spełniał wielką rolę charytatywną

i opiekuńczą wśród tutejszego ludu. Był uczulony na ich biedę i w miarę swoich możliwości pomagał.

Wł. Jachyra tak opowiada: „(...) w 1948 r. wieczorem jechałem motorem niedaleko cmolaskiej parafii z narzeczoną i zabrakło mi benzyny. Akurat przechodził koło mnie ks. St. Jagła i zapytał się, co się stało, ja odpowiedziałem – brakło mi paliwa, sklep był już zamknięty. Proszę zaczekać! Gdzieś poszedł i przyniósł mi butelkę paliwa. Chciałem mu zapłacić, a on powiedział, że nie potrzeba. Życzył mi Szczęść Boże i szczęśliwej drogi!”. I dalej: „(...) W czasie okupacji niemieckiej dom mojej rodziny Jachyrów i Jabłońskich na Zakościelu został otoczony przez żołnierzy niemieckich i granatowej policji w celu ich pacyfikacji. W domu Jabłońskich przebywała tylko trójka: matka i jej dwie córki. W czasie przeprowadzonej rewizji córki schowały się w stodole w specjalnej kryjówce w sianie. Niemcy dowiedzieli się o tym, że dziewczyny uciekły, mimo ich szukania, nie znaleziono ich. Zagrozili, że spalą zabudowania. Powiadomiono ks. Stanisława Jagłę, przybył natychmiast i w jęz. niemieckim poprosił okupantów, aby tego nie czynili, gdyż może spłonąć część wsi. Poza tym większość mieszkańców pracuje w firmie budowlanej niemieckiej „Kokota”. Usłuchali księdza i tego nie uczynili. Przy okazji zabrali wszystko z domu, w tym zabytkowe meble wykonane jeszcze przez stolarza Mazurkiewicza w Kolbuszowej i wywieźli do

Nowej Dęby. Brata Stanisława aresztowali i osadzili w obozie w Hucie Komorowskiej. Po drodze przypadkowo wykryli przez szpary stodoły także te dwie dziewczyny. Po ich wyjeździe resztę rabunku dokonywali sąsiedzi, dopiero pokazanie się Ojca z karabinem wystraszyło ich.” Pacyfikacja nastąpiła z uwagi na donos, że Jachyrowie i Jabłońscy uczestniczą w ruchu oporu. Brat Władysława Fryderyk przebywał często w Ostrowach Tuszowskich u siostry babci (ciotki) i tam wstąpił w szeregi BCh. Znał się z nią i polubił ją jeszcze z lat dziecińczych.

Wesele u wójta

Inne zdarzenie tak relacjonuje: „(...) U wójta gminy Cmolas Maciąga odbywało się także w czasie okupacji wesele. Żenił się jego syn, który pełnił stanowisko sekretarza gminy. Poprosili także kilku podoficerów (czterech) niemieckiej Abwehry stacjonujących w Nowej Dębie, na znak dobrej współpracy. W trakcie odbywającego się przyjęcia przyjechali samochodem, do środka weszło trzech, zaś kierowca ich został przy samochodzie. Odbywały się tańce. W pewnym momencie zaprosili także kierowcę - żołnierza. Tę chwilę wykorzystali dwaj partyzanci, obecni na podwórku: Fryderyk Jachyra (ur. 1920 r.) i Jabłoński Jan (1920 r.). Otworzyli drzwi samochodu i zabrali broń, m. in. pistolet maszynowy i uciekli. Narobiono krzyku! Niemcy podbiegli ostro do wójta i zapytali się: kto to zrobił? Mocno na niego naciskali. To całe zdarzenie widziała córka wójta, rozpoznała osoby i powiedziała swemu ojcu. Wójt znał jęz. niemiecki, gdyż służył w wojsku austriackim. Od razu zaczęło się dochodzenie! Wójt poinformował ich, kto to był i gdzie mieszkają. Niemcy udali się w miejsce ich zabudowań. Zabrali matkę Jabłońską i mojego brata Stanisława. Zawieźli ich do Nowej Dęby do siedziby Abwehry. Tutaj zatrzymano ich w piwnicy do następnego dnia i rankiem umieścili ich w obozie w Hucie Komorowskiej. W obozie przybywali dwa tygodnie pracując w lesie. Tutaj spotkali Fr. Mytycha, który był pisarzem. Pewnego razu tak do Stanisława Jachyry powiedział: Jachyra! Dzisiaj do roboty w lesie nie idziesz! Pozostaniesz tu i będziesz rąbał drzewo! Stanisław po latach miał żal do niego, że nie powiedział mu, że do niego dzisiaj przyjdą żandarmi i zabiorą go. Wówczas mógłby zbiec z obozu.



Cmolas - 1948 r., wesele w rodzinie Jachyrów (foto arch. M. Piórek)

Aresztowanie i ucieczka!

„(...) Po załadowaniu do samochodów wszystkiego, co się dało zabrać jeszcze w Cmolasie, podjechano pod bramę obozu w Hucie Komorowskiej i wyprowadzono Stanisława Jachyrę i Katarzynę Jabłońską. Dołączyli do rodziny i wyjechali kierunek Oświęcim. Był to już koniec lipca 1944 r. Zdążyli dojechać do Dębicy. Tutaj napotkano tłum ludzi przygotowujących się do wyjazdu w kierunku Rzeszy Niemieckiej. Również nastąpiła koncentracja wojska, gdyż zbliżała się Armia Czerwona. W takiej sytuacji aresztowani z Cmolasu zostali ulokowani w prowizorycznym pomieszczeniu pod nadzorem policji granatowej. Zaczęli korzystać z zaistniałej sytuacji i pojedynczo uciekać. Chwilowo zatrzymali się u znajomych w Dębicy pół dnia. Następnie z tobołkami pieszo przez polne drogi obrali kierunek dom. Po drodze spotykali nieprzyjazne miny napotkanych ludzi, którzy myśleli, że to są rodziny volksdeutsche. I tak po wielu godzinach doszli z powrotem do Cmolasu. Tutaj byli już żołnierze ruscy. Wszyscy szczęśliwie wrócili do domu!”

Ponowne zniewolenie!

Mieszkańcy tych okolic nie nacieszyli się długo z wyzwolenia i opuszczenia przez okupantów niemieckich. Nastąpił drugi okres zniewolenia sowieckiego. Trzeba podkreślić, że pod koniec okupacji niemieckiej ożywił się ruch oporu. Trwała tzw. Akcja „Burza”, a po jej zakończeniu wyszukiwanie partyzantów spod znaku BCh i AK, aresztowania, donosy i wywózki do ZSRR, pobór do wojska rekruta itp. „Od początku NKWD-ziści i UB-owcy śledzili Fryderyka Jachyrę. Ukrywając się wymykał się im. Jednak dorwali go i aresztowali. Za bimber i swojską kielbasę udało się rodzicom go wykupić. Dalsze dni przebywał w domu.”

W latach 1944 – 1948 na tutejszym terenie trwała wojna bratobójcza. Z jednej strony partyzanci spod znaku AK - WiN-u, a z drugiej rodząca się „władza ludowa” - komunistyczna. Zachodziła potrzeba oddawania broni partyzanckiej i przestrzeganie obowiązku pójścia do wojska. Na przełomie 1944/1945 przecież jeszcze trwała na naszych ziemiach wojna. Nie wszyscy chcieli się podporządkować nowej władzy. Wielu aktywnych ludowców widziało inną Polskę – wolną i niepodległą, w której chłopcy mają także odgrywać swoją rolę polityczną. A tu, okazuje się, że kto nie popiera „władzy ludowej”, ten jest wrogiem i aktywnych opozycjonistów należy zniszczyć! Trwają aresztowania i wysyłki, a także zabójstwa polityczne.

Brat Władysław przez cały okres wojny i pierwsze miesiące wyzwolenia przebywał u ciotki w pobliskim Głogowie. Od czasu do czasu na krótko wpadał tylko do rodziców. Jego brat Fryderyk nudził się w domu, nie było co robić. Wielu BCh-owców szukało pracy, bo trzeba było z czegoś żyć. Wstępowali najczęściej do szeregów MO – UB. Podobnie uczynił to Fryderyk. Pojechał do komendanta powiatowego i po rozmowie został przyjęty. W podobnej sytuacji było wielu. Podobnie uczynił jego brat Wilhelm. Ta ich decyzja uspokoiła na krótki okres czasu sytuację w ich rodzinie. Represje i przesładowania zostały przyhamowane. Władysław tak dalek relacjonuje: „Pewnego razu patrol MO złożony z niego, Br. Szwaji i Wł. Lipy dostał rozkaz wybrania się do miejscowości znanej mu Ostrowy Tuszowskie (Zagrody II) celem ukarania młodych ludzi, którzy nie zgłosili się do poboru wojskowego, m. in. Bronisława Piekarskiego. Wówczas to wielu z nich uciekało i kryło się w okolicznych lasach.



Działdowo – 1955 r. Na zdjęciu: por. Wł. Jachyra, jego żona Anna, syn Ryszard i brat Wilhelm (foto arch. M. Piórek)

W drodze powrotnej zostali zaatakowani silnym ogniem przez nieznaną im oddział partyzancki. Później dowiedzieli się, że był to oddział W. Lisa. Wówczas Lipa i Szwaja uciekli do koryta rzeki Babulówki i udało im się zbiec w kierunku Przylęka. Natomiast Fryderyk padł pod naciskiem ostrego ostrzału. Nie mógł się ruszyć. Myśleli, że jest zabity. Podeszli do niego i karabinem go zaczęli okładać. W. Lis rozkazał im „rannego nie wolno bić”. Mówią do niego. „Poszedłeś komunię budować, a my walczymy o Polskę demokratyczną”. Po tym zdarzeniu wszyscy poszli do sklepu Szwanenfelda w Ostrowach Tuszowskich i tutaj się rozstali. Brat wziął furmankę i wrócił do Kolbuszowej. Myśleli, że padł on w boju. Tutaj został aresztowany, przesiedział trzy dni. Po przesłuchaniu „u góry” MO i UB, oddali mu pistolet niby jako dezerterski, latarkę i powrócił wieczorem do domu. Przed pójściem do łóżka powiedział: „Mamo! Obudź mnie rano, jadę do Ostrow Tuszowskich”. Na to mama: „Po co tam jedziesz, wiesz, co Cię tam czeka!”. Powiedział: „Mam rozkaz!”. Rano wstał, zjadł śniadanie chleb z mlekiem, pistolet zostawił w domu przykrywając kurtką na wieszaku, zabrał rower i pojechał bezbronny. W dokumentach – po latach sprawdzono – znajdowały się oświadczenia szefów MO i UB, że Fryderyk zdezerterował. Rzeczywiście stamtąd już nie wrócił”.

Śledztwo po latach

Władysław Jachyra nie dał za wygrane! W latach sześćdziesiątych ub. wieku zwrócił się do władz administracyjnych o odszkodowanie za poległego brata Fryderyka. Otrzymał odpowiedź, że: „Wrogom Polski Ludowej nie damy żadnego odszkodowania!” Następnie zwrócił się do Komendy Głównej MO w Warszawie o przeprowadzenie dochodzenia i ustalenie okoliczności śmierci brata. Jako odzew prowadzonej korespondencji przyjechał do niego oficer z KG MO do jego domu i wyjaśnił mu, że „to jest już stara sprawa. Nie powinien dochodzić.” Relacjonuje dalej: „Byłem uparty, chciałem otrzymać akt jego zgonu. Komenda Główna MO na moją prośbę zleca to zadanie prokuratorowi z Kolbuszowej o przeprowadzenie szczegółowego dochodzenia. Sprawą tą zajął się prokurator Świerk. Przesłuchano wielu świadków tego politycznego zabójstwa.”



4 czerwiec 2000 r. Władysław Jachyra – twórca ludowy, plecionkarstwo, Skansen Kolbuszowa (foto arch. M. Piórek)

Zabójstwo

Po wielu tygodniach prokuratorskiego śledztwa tak napisano: „Brat Fryderyk Jachyra przybył na spotkanie. Wcześniej przebywał w sklepie u Szwanenfelda w Ostrowach Tuszowskich. Wieczorem udał się w kierunku Zagród (przysiółek) do domu Konstantego Kędziora z Toporowa i przebywał w obecności matki i brata Franciszka Kędziora. Zaczęli się znęcać nad Fryderykiem, a przy tym było wiele krzyków i słychać było w całym domu. Byli obecni: W. Lis, K. Kędzior i Tadzik. Matka wypędziła ich z domu, bo miała już dość tych krzyków. Udali się do następnego domu i w dalszym ciągu trwało znęcanie się nad nim, aż dzieci były wystraszone i krzyczały. Opuścili ten dom i udali się do kolejnego domu i tam przebywali do rana. Miano mu pokazać kartkę! Wczesnym rankiem wyszli wszyscy do lasu w Toporowie, niedaleko od wsi, zatrzymali się i wykonali nad nim wyrok śmierci strzałem w plecy. Prawdopodobnie strzelał Konstanty Kędzior (jego kuzyn). Ciało jego przykryli gałkami.”

Epilog

Rodzina przez lata nie wiedziała, co się z nim stało, tylko przeczuwali, że został zabity! Po latach byli komendanci powiatowi MO i UB (Wiącek i Sołtys) zmienili oświadczenie, że nie zdezerterował, tylko że wystąpił go w ramach obowiązków służbowych. Był czas, który minął, w którym bohaterom nadawano odznaczenia, a obecnie nastał czas, że

też bohaterom tamtego okresu nadają odznaczenia. Nastąpił „remis polityczny” w ocenie niedawnej przeszłości, ale zabójstwa polityczne były po obu stronach i było to zjawisko negatywne!

Jeszcze o okupacji!

W 1943 r. w Dąbrówce przez kilka miesięcy ukrywali się u gospodarza o nazwisku Dziedzic dwaj wspomniani już partyzanci z BCh: Fryderyk Jachyra i Jan Jabłoński. Tutaj ojciec Fryderyka budował dla niego mały wiatrak na przemiał zboża.

W Cmolasie za okupacji niemieckiej kwaterowała jednostka wojskowa w przysiółku Zakościele na przełomie roku 1941/1942. U Jachyrów nawet stacjonowało czterech podoficerów. Nie było konfliktów, a tutejsza młodzież także miała swoje życie. Kawalerka polsko-niemiecka też była. Dwie panienki (Wrzask i Łagoda) przed 1939 r. uczyły się w szkole średniej, a w omawianym okresie także uczestniczyły w potańcówkach młodzieżowych i nie traciły ducha patriotyzmu. Jedna z nich nawet zaprzyjaźniła się z młodym oficerem Wehrmachtu. Podczas takiej randki podała mu kartkę z następującym wierszykiem: „Jeszcze Polska nie zginęła i zginąć nie musi. Jeszcze Niemiec Polakowi buty czyścić musi!” Z tą kartką udał się ten żołnierz do Ojca rodziny Jachyrów, a że służył w wojsku austriackim, to ten tekst przetłumaczył. Niemiec przyjął to z uśmiechem i uznał, że jest to dowcip jego sympatii. Mimo wojny duch patriotyzmu u młodzieży nie wygasł.

Inny przykład! Wzdłuż drogi Cmolasy – Trzęsówka każdego dnia kilka razy dziennie przechodził patrol wojskowy. Otwierano szlaban. Po przejściu patrolu mali chłopcy założyli go. Gdy żołnierze wrócili zrobił się wielki szum we wsi, uznano to za sabotaż i trwało dochodzenie, i pytanie, kto był tego inspiratorem. Wyperswadował im tutejszy wójt, że dzieci zabawiały się.

Wsie wysiedlone w gminie Cmolasy były często pod ostrzałem broni maszynowej. Z tego powodu dużo było niewypałów. Niemcy sądzili, że to jest wina fabryki amunicji. Wszczęli dochodzenie. Zbięrali te pociski. Chłopcy pod osłoną nocy zabierali i chowali. Okupanci sądzili, że w tym rejonie jest zapewne ruch oporu, ale wójt po niemiecku wytłumaczył im, że to czyniły znów dzieci. Nie było śledztwa.



Marian Piórek, *Zapomniane karty z dziejów Dzikowca i okolic*. To książka znanego na Podkarpaciu regionalisty, historyka i badacza lokalnych obyczajów. Ponownie odkrywa on „zapomniane karty”, które wynikają z jego żmudnych badań, także archiwalnych, analizy źródeł, relacji, wspomnień i opowieści. Na jego obecną książkę składają się rozdziały: *Miana (przezwiska - nazwiska)*; *Blotniccy herbu „Doliwa” z Dzikowca*; *Opowiadki i legendy z Puszczy Sandomierskiej*; *Artykuły (naukowe i prasowe)*. A także *Aneks: Dokumenty; Zdjęcia, Bibliografia; Wykaz książek i Mapa Dzikowca i Nowego Dzikowca (Wildenthal)*. Książka formatu 15,5x23,5 cm zawiera 237 stron. Sygnowana jest: Dzikowiec 2011, a druku dokonał Zakład Poligraficzny Z. Gajka w Mielcu.

W. Gaśiewski

Okupacyjne Zbrodnie na Ziemi Mieleckiej

Wydawałoby się, że dziś blisko 66 lat po zakończeniu II wojny światowej i okupacji niemieckiej Polski, wiemy już wszystko, a zwłaszcza w aspekcie lokalnym, o rozmiarach zbrodni hitlerowskich nazistów na obywatelach polskich, w tym narodowości żydowskiej, zamieszkujących polskie wioski, miasteczka i miasta. Mogłoby się wydawać, że zwłaszcza małe społeczności wskazały już wszystkie ofiary, miejsca kaźni i przypuszczalnych oprawców. W rzeczywistości jednak niemal każda wieś kryje nadal mroczne tajemnice, tak jak i niektóre miejscowości w powiecie mieleckim. W związku z tym w niniejszym artykule, na podstawie materiałów archiwalnych Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie przedstawiamy nazwiska i okoliczności zabójstw tamtejszych mieszkańców. Jednocześnie zwracamy się z apelem: **ktokolwiek wie coś jeszcze w tych sprawach, o kontakt z naszą redakcją, abyśmy mogli bardziej dokładnie o nich opowiedzieć.**

Oto nazwiska zamordowanych:

Bardan Bronisław z Jam (gmina Wadowice Górne) - został zastrzelony przez Niemców.

Błachaniec Jan z Jam (gmina Wadowice Górne) - został powołany do tzw. junaków Baudienst, ale się tam nie zgłosił. W lutym 1943 r. złapał go komendant niemieckiego posterunku w Czerminie - Zimmermann i pobił go tak dotkliwie, że ten nie mógł iść. Działo się to w Woli Wadowskiej. Zimmermann prawdopodobnie chciał Jana Błachaniec zaprowadzić na posterunek niemiecki w Wadowicach Górnych, a gdy ten nie mógł iść - zastrzelił go na miejscu. Następnie furmanką przywiózł go do wsi Jamy i polecił gospodarzom, by powiesili go na łańcuchu. Początkowo nikt nie chciał tego wykonać, ale pod presją któryś z gospodarzy wykonał to polecenie. Tego samego dnia Zimmermann w Jamach pobił dotkliwie matkę zamordowanego Agnieszkę Błachaniec.

Bryła Justyn - został rozstrzelany w 1943 r. w Trzcianie (gmina Czermin), w tym samym czasie co Władysław Wilk, przez tego samego żandarma. Świadkiem tego morderstwa była jego żona Mieczysława Forczek, później zamieszkała w Czerminie oraz Władysław Leś z Trziciany.

Buława Anna, pochodząca z poznańskiego, zamieszkała w Szafranowie (gmina Czermin) została zastrzelona przez Niemca o nieznanym nazwisku. Na miejsce przyprowadził ją prawdopodobnie miejscowy sołtys Michał Kokoszka,

a poświadczył to Józef Pietrzyk s. Jana z Szafranowa.

Bury Katarzyna prawdopodobnie z Trziciany (gmina Czermin) - zginęła w domu od pocisku artyleryjskiego. Fakt ten poświadczał Mateusz Działo s. Jana z Trziciany.

Grasińska Franciszka i Grasiński Wojciech z Ziempiowa. Byli bici karabinami koło domu Mariana Dyndora s. Władysława z Ziempiowa, przez dwóch Niemców, przybyłych tu ze Szczucina, jeden z nich o pseudonimie „Mały”. Pobitych Grasińskich zabrali furmanką do Szczucina i tam na rynku rozstrzelali.

Grzanka Wojciech z Jam (gmina Wadowice Górne) został wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie zginął. Wraz z nim w obozie przebywała jego żona Apolonia Grzanka, która po wojnie wróciła do domu.

Idzik Apolonia - z Jam (gmina Wadowice Górne) aresztowana i wywieziona do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie zginęła.

Idzik Władysław - z Jam (gmina Wadowice Górne) został zastrzelony przez Niemców w grudniu 1942 r. Początkowo ukrył się w domu pod łóżkiem, ale odnalazł go tam komendant żandarmów niemieckich z Radgoszczy Guzdek „Gustek”. Kazał mu wyjść przed dom, a potem nakazał do niego strzelać i polscy lub niemieccy żandarmi go zastrzelili. Zdarzenie to widziała m.in. córka Władysława Idzika - Maria, która później z tego powodu zachorowała na chorobę psychiczną.

Kulpa Jan z Jam (gmina Wadowice Górne) - Niemcy przyszli do jego domu i chcieli zabrać mu jego trzy córki. Wówczas do wioski wkroczyli partyzanci i po wymianie strzałów uwolnili aresztowane przez Niemców córki Kulpy. W kilka dni później gdy partyzanci znów przebywali w domu Kulpów, do wioski wrócili Niemcy, otoczyli ich dom i w wyniku wymiany strzałów jeden z partyzantów zginął. Uratowały się jednak córki Kulpów i żona Katarzyna. Niemcy natomiast złapali Jana Kulpę, ograbili jego dom, a jego samego zastrzelili. Jego ciało wraz z ciałem wcześniej zastrzelonego partyzanta położyli na stercie drzewa i spalili. Podobnie spalili zabudowania Kulpów. Prawdopodobnie dokonali tego funkcjonariusze niemieccy z Czermina z Zimmermannem na czele.

Kulpa Kazimierz z Jam (gmina Wadowice Górne) w grudniu 1942 r. był w domu podczas zatrzymania i zastrzelenia Władysława Idzika. Żandarm Guzdek aresztował go również i zabrał na posterunek żandarmerii niemieckiej w Radgoszczy. Tam połamał mu ręce i zakatował go na śmierć.

Łaz Jan - został rozstrzelany w Trzcianie przez żandarma niemieckiego jadącego na czołgu. Poświadczył to Mateusz Działo s. Jana z Trziciany.

Rodzina Hepsingerów i Kohlmanów (6 osób) z Borowej, zostali prawdopodobnie rozstrzelani na terenie gminy Czermin. Czaja Klemens z Czermina oświadczył, że widział [kolonistów] niemieccy Jan Zeft (pisownia z protokołu IPN), Mesinger, Mendel i Kiwa rozstrzelali obywateli żydowskich w Czerminie. Jan Trybulec z Czermina widział jak nieznany mu Niemiec zastrzelił dziecko żydowskie. Zabitych Żydów grzebał w lesie Mieczysław Miga z Dąbrówki Osuchowskiej.

Kołodziej Mateusz i jego syn **Kołodziej Andrzej** z Trziciany - zginęli w domu od pocisku artyleryjskiego. Poświadczył to Mateusz Działo s. Jana z Trziciany.

Rzeszut Stanisław - został wyprowadzony z domu w Trzcianie przez żandarama niemieckiego i rozstrzelany. Potwierdził to Mateusz Działo s. Jana z Trziciany.

Setera Józef z Jam (gmina Wadowice Górne) został zastrzelony przez Niemców.

Śwół Józef - został odnaleziony w Trzcianie na drodze jako rozstrzelany. Odnalezienie jego zwłok poświadczył Mateusz Działo s. Jana z Trziciany.

Wilk Jan - został zastrzelony w Trzcianie w nieustalonym dniu przez żandarma niemieckiego, który jechał na czołgu. Jan Wilk w tym czasie wychodził z domu wynosząc sprzęt domowy. Świadkiem tego byli: Franciszek Leś s. Józefa i Mateusz Działo s. Jana, obydwaj z Trziciany.

Wilk Władysław - został rozstrzelany w 1943 r. w Trzcianie przez żandarma hitlerowskiego, kiedy wychodził z domu w pole. Najprawdopodobniej za to, że posiadał na sobie mundur kolejarski.

Wszolek Antoni - został rozstrzelany w Trzcianie przez żandarma niemieckiego. Poświadczył to Józef Kozioł, s. Józefa z Trziciany.

Ziobron Bronisława z Jam (gmina Wadowice Górne) 7 XI 1942 r. aresztowana i wywieziona do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie zginęła.

Ziobron Franciszek z Jam (gmina Wadowice Górne) 7 XI 1942 r. aresztowany i wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie zginął.

(Cdn.)

Włodzimierz Gąsiewski

Źródła: *Protokoły przesłuchań świadków. Okręgowa Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Rzeszowie. Akta Śledcze*, sygn. IPN-Rz.-191/913.

Archiwum Istnień

Wywiad z Justyną Łuczaj Salej - reżyserem i autorką scenariusza filmu dokumentalnego pt. „Archiwum istnień”



Justyna Łuczaj Salej - Absolwentka wydziału Malarstwa ASP w Krakowie oraz Wydziału Reżyserii PWSFTViT w Łodzi. Jest autorem wielu filmów krótkometrażowych. Za film dyplomowy T. Rickster otrzymała nagrodę Stowarzyszenia Filmowców Polskich na FPFF w Gdyni. „Archiwum istnień” prod. TVP S.A. to jej debiut dokumentalny.

Włodzimierz Gąsiewski - W jakich okolicznościach powstał pomysł realizacji filmu „Archiwum istnień”?

Justyna Łuczaj Salej - Okoliczności były dość wyjątkowe. Materiały z badań Sekcji Ras i Ludoznawstwa Instytutu Niemieckich Prac na Wschodzie (który działał w czasie wojny na terenie zlikwidowanego Uniwersytetu Jagiellońskiego) będące głównym tematem filmu, trafiły do Polski w 2007 roku. Otrzymała je Archiwum UJ. Wcześniej materiały znajdowały się nietknięte w archiwum Smithsonian Institution. Odnalazła je amerykańska antropolożka niemieckiego pochodzenia Gretchen E. Schafft. Podjęła się uporządkowania ich. Wrażenia z pracy opisała w części książki „Od rasizmu do ludobójstwa. Antropologia w III Rzeszy”.

Zawartość 88 pudeł, które dotarły do Polski była szokująca, tysiące materiałów – czarnobiałych fotografii, kolorowych szklanych slajdów, kopert z włosami, ankiet, testów. Szokujący był cel tych najróżniejszych badań czyli określenie „jakości rasowej” mieszkańców Generalnego Gubernatorstwa, ale i ilość i wygląd tych materiałów. Pracownik Archiwum UJ Bogusław Sławiński potrafił docenić unikatowość i atrakcyjność tych zbiorów i zobaczył w tym temat na film. Trafił z tym projektem do TVP i tak się złożyło, że mnie ten temat zaproponowano. I poświęciłam mu dwa lata, do mnie bardzo zafascynował.

Włodzimierz Gąsiewski - Jak wyglądały przygotowania do filmu, scenariusz, zbieranie materiałów, poszukiwanie osób do rozmów oraz ułożenie trasy realizacji kolejnych zdjęć?

Justyna Łuczaj Salej - Wiadomo, że najpierw trzeba było znaleźć ludzi, którzy byli badani. Cześć tej pracy już na samym początku wykonał Bogusław Sławiński z pomocą pani dr Trebuni-Staszek z Etnologii w Krakowie.

Więc wykonaliśmy pierwsze zdjęcia. Niestety temat nie był jeszcze wtedy przetrawiony, zdjęcia zaczęły się zbyt szybko i niezbyt wiele z nich wyniknęło.

Wtedy odczułam, że nie mniej ważną kwestią będzie dotarcie do materiałów, które zostawili po sobie naukowcy – wniosków z badań, korespondencji. Że trzeba zagłębić się w temat, aby móc kręcić dalej film. Na to potrzebne były dodatkowe fundusze, bo nie było na przykład pieniędzy na tłumaczenie z niemieckiego. Napisałam więc wniosek do Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej o dofinansowanie filmu. Na szczęście projekt został bardzo wysoko oceniony. I mogłam ruszyć dalej z pracą.

No a potem kolejni bohaterowie, kolejne aspekty badań, kolejne zdjęcia.

Oczywiście do filmu weszła niewielka część nakręconych materiałów filmowych, bo mieliśmy ponad 50 godzin, a film trwa 54 minuty. Spotkaliśmy wielu ciekawych ludzi, którzy niestety nie zmieścili się w filmie. Również jeśli chodzi o materiały pisemne, przetłumaczyliśmy kilkaset stron, a do filmu weszło zaledwie kilkanaście zdań.

Ale, żeby znaleźć te, które były potrzebne do stworzenia struktury filmu, trzeba było się przekopać przez stosy. Nie było to łatwe, bo część z nich pisanych było hitlerowską nowomową.

I nawet najlepszy w Polsce tłumacz, poccił się po kolejnej dawce tych dokumentów.

Podobnie było z bohaterami. Każdy z nich był ciekawy, ale jednak musiałam ich podporządkować strukturze filmu. Każdy nowy bohater w filmie musiał wносить coś nowego, innego, odsłaniać kolejne aspekty problemu badań rasowych.

Jeśli chodzi o szukanie bohaterów to w zależności od regionu, w którym były przeprowadzane badania sprawa wyglądała różnie. Na Podhalu sprawa wyglądała najprościej, były zdjęcia ludzi, podpisane imieniem i nazwiskiem, również miejsce skąd pochodził badany. Gorzej było np. na Łemkowszczyźnie, gdzie zdjęcia nie posiadały przyporządkowanych nazwisk, często też miejscowość nie była jasno określona. W tym wypadku trzeba było wykonać sporo wręcz detektywistycznej pracy. Kłopot był też takiego rodzaju, że na Podhalu badano często dzieci, i one jeszcze żyją, a na Łemkowszczyźnie badano ludzi dorosłych, więc już do niewielu z tych ludzi można dotrzeć, a nawet jeśli, są już w bardzo podeszłym wieku. Poza tym niewielu jest na miejscu. Wiadomo przesiedlenia w wyniku Akcji Wisła.

Pamiętam moją ogromną radość kiedy udało mi się zidentyfikować zdjęcia z Hańczowej (Łemkowszczyzna), które nie były opisane, a były błędnie sklasyfikowane przez Gretchen Schafft jako Podhale. Zobaczyłam na zdjęciu fragment drzwi cerkwi z Hańczowej, którą znałam i nagle mnie olśniło. Myślałam, że będę lewitować z radości. Bo to była piękna seria zdjęć reportażowych, pokazujących życie tej wsi w tę niedzielę kiedy robiono badania. A tak się złożyło, że zanim znalazłam te zdjęcia, byłam w Hańczowej i nagrałam wywiad z bohaterem, który to wszystko opisywał, jak zabrali kobiety z cerkwi po mszy. Takich odkryć było wiele.

Włodzimierz Gąsiewski - Na jakie trudności napotkała Pani w realizacji filmu?

Justyna Łuczaj Salej - Trudności było mnóstwo. I nie chcę ich nawet wspominać. Były to głównie trudności produkcyjno-finansowe. Ale mogę opisać pewną trudność innego typu. Mianowicie bardzo zależało mi, aby wy dostać z Bundes Archiv w Berlinie teczki osobowe wraz ze zdjęciami antropologów nazistowskich, którzy wykonywali te badania. Niestety odmówiono mi dostępu do nich. To było dla mnie szokujące i bulwersujące, że prywatność tych ludzi ochrania się jakby byli normalnymi obywatelami, a nie budowniczymi nazistowskiego obłędu rasowego, który pochłonął miliony ofiar.

Włodzimierz Gąsiewski - Na czym polegała współpraca z Archiwum

Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz z współscenarzystą Bogusławem Sławińskim?

Justyna Łuczaj Salej - Bogusław wykonał już na wstępie część dokumentacji. Znalazł część bohaterów. Wyszukiwał potrzebne materiały. Również był podczas kręcenia części zdjęć.

Włodzimierz Gąsiewski - Jaką rolę w filmie odgrywają fragmenty związane z Ziemią Mielecką?

Justyna Łuczaj Salej - Zainteresował mnie Czermin, tzn. kolonia niemiecka Hohenbach, z tego względu, że zachowały się ciekawe testy psychologiczne, którym poddawano jego mieszkańców. Właściwie tylko z tej miejscowości dysponowaliśmy takimi materiałami, więc chciałam je pokazać. Niestety było za mało czasu i środków, aby dotrzeć do któregoś z dawnych mieszkańców Hohenbach. Na szczęście udało się spotkać pana Czaję z Czermina, który pamięta badania i kolonistów niemieckich.

Włodzimierz Gąsiewski - Film już był wyświetlany kilkakrotnie w TVP, jakie są dalsze plany jego emisji, czy planowane są np. pokazy w tym zagranicze?

Justyna Łuczaj Salej - Film był pokazywany w TVP1 i trzykrotnie w TVP Kultura, to i tak dużo zważywszy na to jaki teraz jest program w telewizji. Był również pokazywany na festiwalu „Człowiek w zagrożeniu” w Łodzi oraz w Warszawie w konkursie WJFF oraz na Film Market w Lipsku, gdzie zainteresowało się nim kilku zagranicznych dystrybutorów. Został też wystany na kilkanaście festiwali zagranicznych, czekam na wyniki czy się zakwalifikuje.

Włodzimierz Gąsiewski - Jakie są dalsze plany, czy będzie Pani kontynuowała podobną tematykę?

Justyna Łuczaj Salej - Pracuję nad projektem kolejnego filmu dokumentalnego. Jest to również temat historyczny.

Włodzimierz Gąsiewski - Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

Włodzimierz Gąsiewski



Lemko. Zdjęcie z archiwum IDO (foto arch. Justyna Łuczaj Salej)

Włodzimierz Gąsiewski

HITLEROWSKIE „NAUKOWE BADANIA” ANTROPOLOGICZNE W BOROWEJ

Justyna Łuczaj Salej w swoim filmie „Archiwum istnień”, ukazuje tylko swoisty wierzchołek góry lodowej, jaką była próba germanizacji i regermanizacji mieszkańców niektórych terenów okupowanej Polski. Działania te podejmowano m.in. na obszarze Puszczy Sandomierskiej, m.in. wzdłuż Wisły, Sanu i dolnej Wisłoki, jako że tu przez stulecia trwała intensywna kolonizacja niemiecka.

Zamiary „regermanizacji” (Wiedereindeutschung) i budowy „niemieckiego wału” wzdłuż Sanu spowodowały utworzenie w Raniszowie już latem 1940 r. większego skupiska Niemców, reichs i volksdeutschów, rolników, pod nazwą Gutsverwaltung Ranischau z filiami w wysiedlonych wsiach Dzikowie Wildenthal, Lipnica i Wola Raniszowska. Na jego czele stanęli: płk Emil Ruge i Schmallenberg, jako wójt gminy zbiorowej Ranischau. Jeszcze większą rolę niż zarząd dóbr Raniszów, odegrała w planach regermanizacji Posania niżańska ekspozytura starostwa w Jarosławiu. Dużą aktywność rozwinęła tam wiosną 1944 r. komisja wysiedleńcza, złożona z urzędników starostwa i wyższych oficerów luftwaffe, oraz burmistrz w Nisku i wójt gminy w Górnice - Reinberger. „Niemiecki wał” nad Sanem obejmował prócz centrów w Nisku i Raniszowie, dwa boczne bastiony na obszarach skupień i kolonizacji z lat 1782/3 na Powiślu wzdłuż dolnej Wisłoki (Reisheim - obecnie Sarnów, Hohenbach - kolonia Czermina, Josephsdorf - obecnie Józefów, a także Schönanger - obecnie Orłów oraz częściowo Rzędzianowice i Wolę Pławską) i na Posaniu w okolicach Leżajska (Königsberg, Steinau, Gillersdorf). Na Ziemi Mieleckiej za akcję wysiedleń odpowiadała komendantura poligonu „Południe” w Dębie reprezentowana przez gen. Salitter i mjr Gehreta, filia tej komendantury w Smoczce reprezentowana przez mjr Geichta i kpt. Kurza z doradcą prawnym dr Buhle, współautorem planu wskrzeszenia niemieczyny w byłych koloniach józefińskich kłucza Tuszów Kameralny (dziś Narodowy). W wysiedleniach ludności współdziałali funkcjonariusze gestapo z Mielca, landkomisarz z Kolbuszowej Walter Twardoń i kierownik placówki kryminalnej w tym mieście Włodzimierz Halicki, Ukraińiec. Główną metodą realizacji tego planu były wysiedlenia ludności polskiej i osadzaniu na jej miejsce ludności niemieckiej. Niemcy zaś rekrutowali się spośród byłych kolonistów jako volksdeutsche oraz przybywając tu z głębi Rzeszy, jako reichsdeutsche. Akcja ta na Ziemi Mieleckiej przyjęła bardzo duże rozmiary.¹

Badania te objęły m.in. wsie Hohenbach (Czermin - Kolonia), Langenau (Czermin), Weizenbring (Wola Pławska), Schönanger oraz Borową i prowadzili je pseudonaukowcy z Instytutu Niemieckiej Pracy Wschodniej (IDO) z Krakowa pod kierunkiem dr Riemanna.

¹ K. Skowroński, *Wysiedlenia ludności polskiej w widłach Wisły i Sanu w latach okupacji 1939-1943*. W: *Studia nad okupacją hitlerowską południowo-wschodniej części Polski*. Red. S. Zabierowski. Rzeszów 1976, s. 116-140.



Logo IDO, źródło: A. Rybicka, *Instytut Niemieckiej Pracy Wschodniej. Kraków 1940-1945*. Warszawa 2002

Jednak okupanci niemieccy ani nie mogli, ani nie chcieli wysiedlić wszystkich mieszkańców rdzennie polskich wsi na interesujących ich obszarach. Nie mieli też tylu chętnych nowych niemieckich osadników. Na Ziemi Mieleckiej, m.in. ze względu na swoje położenie, między niemieckimi koloniami (Schönanger i Hohenbach) interesowała ich wieś Borowa, dlatego też po rozprawieniu się z tamtejszymi Żydami w 1942 r., od początku 1943 r. rozpoczęto tu masowe badania antropologiczne, zwłaszcza dzieci i młodzieży, które miały na celu ustalenie, czy nadają się oni do zniemczenia i służenia niemieckim panom.

Instytut Niemieckiej Pracy Wschodniej (Institut für Deutsche Ostarbeit) powstał jako realizacja pomysłu Generalnego Gubernatora Hansa Franka z 16 III 1940 r. i faktycznie utworzony 20 IV 1940 r. (w dzień urodzin Hitlera).² Jego prezesem był Hans Frank, a mieścił się on w budynkach zamkniętego przez okupantów Uniwersytetu Jagiellońskiego. IDO miał później swoje filie w Krakowie i Warszawie, a jego pierwszym dyrektorem został Wilhelm Coblitz. Instytut składał się z 11 następujących sekcji:

- prahistoria,
- historia,
- historia sztuki,
- prawo,
- ekonomia,
- językoznawstwo,
- agronomia,
- geologia,
- ogrodnictwo i architektura krajobrazowa,
- leśnictwo i gospodarka leśna,
- rasoznawstwo i ludoznawstwo (łącznie z Judenreferat, referatem badań spraw żydowskich).

² W rzeczywistości Instytut powstał 19 IV 1940 r. na mocy Rozporządzenia o utworzeniu „Institut für Deutsche Ostarbeit” w Generalnym Gubernatorstwie. Dziennik Rozporządzeń GGP. R. 1940, cz. I, s. 149; A. Weh, *Prawo Generalnego Gubernatorstwa*, nakł. Institut für Deutsche Ostarbeit. Kraków 1941, s. 25.



Logo IDO, źródło: A. Weh, *Prawo Generalnego Gubernatorstwa*, nakł. Institut für Deutsche Ostarbeit. Kraków 1941

Zadaniem IDO m.in. było wykrycie siły roboczej oraz dóbr kultury w Generalnej Guberni, nadających się do wykorzystania na rzecz Rzeszy. IDO miało też rolę wydawniczą i propagandową, a jedną z pierwszych jego akcji było zorganizowanie wystawy „Ludność niemiecka nad Wisłą” (Deutsches Volkstum im Weichselland), a po niej inne wystawy. W działalności Instytutu szczególnie aktywna była Sekcja Badań Rasy i Ludoznawstwa (Sektion Rassen- Und Volkstumsforschung SRV), którą m.in. kierowali: Anton Plügl i Erhard Riemann. Niektórzy pracownicy i współpracownicy IDO rekrutowali się z Niemiec i Austrii i byli fanatycznymi nazistami. Pracownicy SRV czuli, że mają pewną misję do spełnienia. Byli przodownikami wdrażania teorii ras w terenie. Dla Rzeszy naczelną troską ideologiczną były tzw. „krew i ziemia” (Blut Und Boden). Zamierzano ściągnąć Niemców z powrotem do Rzeszy, a mieszkańców mniej wartościowych przesunąć z ziem „proniemieckich”. W tym celu potrzebna była im wiedza o składzie rasowym poszczególnych grup zamieszkujących Polskę. Wszystkie badania prowadzone przez sekcję były wspierane i osłaniane przez SS i policję, które w zamian korzystały z nieograniczonego dostępu do wyników.



Dziewczynka. Zdjęcie z archiwum IDO (foto arch. Justyna Łuczaj Salej)

GENERALGOUBERNEMENT
KREISLEITAMTSCHAFT BERICA
AUSSSENSTELLE MIELEC
LANDGEMEINDE BOROWA

Borowa, dnia 19. stycznia 1943 r.

Do
P.T. Mieszkańców Gromady Borowa

Urząd Gminny wzywa Pana/ię, z polecenia Naukowej Komisji Antropologicznej, do stawienia się w ~~oswiatek~~ ²⁸ stycznia 1943 r. o godz. 14-tej.... w strażnicy w Borowej.

Stawienie się ma na celu przeprowadzenie badań naukowych. Obowiązek stawienia się jest zarządzony pod groźbą dotkliwej kary grzywny i przymusowego doprowadzenia przez policję. Badanie nie pociąga żadnych ujemnych skutków dla zewszanych.

W y k a z
osób wezwanych do stawienia się przed Komisją Antropologiczną w dniu ..28 stycznia.....1943 r. *godz. 14-tej*

L.p.	Nazwisko i imię	Miejsce zamieszkania	Wiek	Potwierdzenie wezwania /podpis wezwanego/

Część nagłówekowa wezwania na badania mieszkańców Borowej, z listą, wiekiem, miejscem zamieszkania i potwierdzeniem odbioru. Część wzywanych nie podpisała przyjęcia wezwania, wielu podpisywało nieczytelnie. Wzywane były też dzieci kilku-kilkunastoletnie. Dokumenty IDO. Źródło: Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, kopia zb. wł.

Szczerze zainteresowaniem IDO cieszyli się górale podhalańscy, którym Niemcy usiłowali udowodnić „odrębność” rasową tzw. Goralenvolk, wbrew oporom samych górali. Na początku 1943 r. badaniami objęto również osady założone – wg Niemców – w XVI wieku, jak np. Gołkowice, Nowy Sącz, Borową, Wawrzeńczyce, Witów, Szaflary, Hańczową, Jasło i inne. Przedmiotem zainteresowań IDO byli też Łemkowie, Huculi, Ukraińcy oraz Żydzi. Referat żydowski miał m.in. informować o „tradycyjnej nienawiści” Polaków do Żydów. Zadanie to miało być wykonane na podstawie analizy... przysłów i porzekadeł, książek i innych materiałów ukazujących te antypatie. Pod koniec wojny, w miarę pogarszania się sytuacji militarnej Niemiec, instytut zaczął przenosić się do Niemiec. W Krakowie pozostały tylko nieliczne dokumenty, część z nich trafiła do archiwów niemieckich, a siedem skrzyń oryginalnych danych antropometrycznych, instrumentów i fotografii dotarło po wojnie do USA i znalazło się w Oddziale Wywiadu Medycznego przy Biurze Naczelnego Chirurga Armii amerykańskiej. Były tam też m.in. próbki włosów, odciski palców, rysunki sylwetki ciała oraz rysunki wykonywane przez badanych. Dokumenty znajdowały się w Państwowym Archiwum Antropologicznym (National Anthropological Archives) przy Smithsonian Institution w Waszyngtonie, a od 2008 r. przechowywane są w Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.³

Przymusowe badania mieszkańców Borowej koło Mielca trwały od 18 stycznia do 13 lutego 1943 r. Zmierzone 745 osób, frekwencja była jednak słaba, mimo że wójt groził karami. Niemcy w specjalnym piśmie – wezwaniu pisali o konieczności stawienia się w celu przeprowadzenia badań naukowych, które nie pociągną żadnych ujemnych skutków dla wezwanych. Pisali też dalej: „Obowiązek stawienia się jest zarządzone pod groźbą dotkliwej kary grzywny i przymusowego doprowadzenia przez policję.” Wezwanie opiewczone przez ówczesny Urząd Gminy Borowa podpisał wójt Lubas. Dysponujemy listą kilkuset (ok. 500) wezwanych na badania. W większości z ich dat urodzin wynika, że były to głównie dzieci i młodzież. Jednak na innych posiadanych przez nas listach znajdują się osoby starsze. Wynika więc z tego, że na badania zostali wezwani wszyscy ówczesni mieszkańcy wsi Borowa. Z opublikowanego w Waszyngtonie katalogu wynika także o badaniach mieszkańców innych wymienionych w artykule wiosek. Można je oczywiście odnaleźć, ale tylko w wyniku żmudnych poszukiwań w zasobach Archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

³ Por. G. E. Schafft, *Od rasizmu do ludobójstwa. Antropologia w Trzeciej Rzeszy*. Kraków 2006; zob. także: T. Bałuk-Ulewiczowa, *Wyzwolić się z błędnego koła. Instytut für Deutsche Ostarbeit w świetle dokumentów Armii Krajowej i materiałów zachowanych w Polsce*. Kraków 2004; A. Rybicka, *Instytut Niemieckiej Pracy Wschodniej. Kraków 1940-1945*. Warszawa 2002; B. Schuster, *Records of the Institut für Deutsche Ostarbeit, Sektion für Rasse- und – Volkstumforschung*. Washington 2007.

26 września 2007 r. podczas ceremonii w polskim konsulacie w Nowym Jorku Lech Kaczyński, Prezydent Polski, formalnie zaakceptował przekazanie dokumentów Instytutu Niemieckiego w Ostarbeit ze Smithsonian Institution [do archiwum UJ]. Transfer dokumentów oznaczał zakończenie ponad sześćdziesięcioletniej wędrówki tych dokumentów z Krakowa, przez Niemcy, do Stanów Zjednoczonych i z powrotem do Polski. Kolekcja dokumentów zawiera głównie dane z badań antropologicznych Niemieckiego Instytutu Badań Wschodnich, Sekcji Badań Tradycji Narodowych (Instytut Niemiecki Ostarbeit - Sekcja ds. rasowych) zebranych w okupowanej Polsce przez antropologów zatrudnionych przez nazistowski rząd. Charakter tej kolekcji sprawia, że jest ona nieocenionym źródłem informacji dla genealogów, historyków i naukowców wielu specjalności.

„Anthropolog”
Newsletter of The Department of Anthropology. National Museum of Natural History. Summer 2008

Niejako przy „okazji” badań problematyki IDO pojawia się nazwisko prof. Władysława Szafera, pochodzącego z Mielca, który przed wojną był rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Wymienia się go w kontekście ujawnionej rzekomej współpracy niektórych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego z Niemcami, której fakt przemilczał sam Szafer, by chronić w ten sposób swoich kolegów. Informacje o tym zawarte są w cytowanej już publikacji Anety Rybickiej Instytut niemieckiej pracy wschodniej. Kraków 1940-1945 oraz w szeregu artykułach prasowych.⁴

Autor artykułu zwraca się do wszystkich żyjących osób, które były objęte badaniami, jak też do ich krewnych o ewentualne informacje na ten temat. „Badania” te, jako przymusowe, były ewidentnym wykorzystywaniem władzy okupacyjnej przez Niemców i osoby te mogą uważać się za pokrzywdzone przez III Rzeszę Niemiecką.

Kontakt
Redakcja Kwartalnika „Nadwisłocze”
39-300 Mielec
ul. Mickiewicza 7
tel./fax 17 5831498
tel. kom. 602 776197
e-mail: promocja.mielec.pl

Włodzimierz Gąsiewski

⁴ Zob. A. Rybicka, *Instytut Niemieckiej Pracy Wschodniej. Kraków 1940-1945*. Warszawa 2002; A. Litewka, *Kolaboranci*. „Tygodnik Powszechny”. R. 2003, nr 21, b. p.; I. Lisiak, *O historii, honorze i... opluwaniu*. „Nowa Myśl Polska”. R. 2003, b. nr i b. p.; S. Sieradzki, *Instytut kolaboracji*. „Wprost”. R. 2003, nr 13, b. p.

Wspomnienie arcybiskupa Życińskiego

10 lutego 2011 r. zmarł w Rzymie arcybiskup Józef Życiński, arcybiskup metropolita lubelski, a w latach 1990-1997 biskup ordynariusz diecezji tarnowskiej. Był pasterzem na trudne czasy zmian ustrojowych i społecznych, trudnych i bolesnych przemian gospodarczych. Jako biskup poza siedzibą diecezji wizytował - odwiedzał także parafie. Do Borowej, na północne krańce diecezji tarnowskiej przybył 3 czerwca 1995 r. i został tam niezwykle serdecznie przyjęty.

Oficjalne powitanie biskupa odbyło się w kościele parafialnym w Borowej. Jeszcze przed świątynią przywitał go ks. proboszcz Józef Mróz. Już w kościele w imieniu dzieci przywitała go Małgorzata Moryto - uczennica II klasy Szkoły Podstawowej w Ujściu, a w imieniu młodzieży Paweł Komoński z Borowej - student II roku historii na WSP w Rzeszowie. W imieniu społeczności parafialnej ks. biskupa chlebem i solą witała Teresa Drozdowska z Pława oraz Włodzimierz Gąsiewski z Borowej, który powiedział m.in.: *Księżo Biskupie. Ojciec całej naszej diecezjalnej rodziny, witamy Cię chlebem i solą oraz z otwartymi sercami i jeszcze raz wyrażając wielką radość z Twojego przybycia prosimy Cię, abyś w swojej ojcowskiej mądrości udzielił nam duszpasterskich wskazówek, jak mamy żyć i postępować, abyśmy w tych nowych, rodzących nowe zagrożenia czasach, mogli być zawsze Bogu i Ojczyźnie wierni.*

Po oficjalnym powitaniu ks. kan. J. Mróz złożył biskupowi sprawozdanie o stanie moralnym parafii, na co bp Życiński odpowiedział: *Kochani - rzadko się zdarza, żeby ks. proboszcz tak chwalił swoich parafian na początku wizytacji jak to uczynił wasz ks. kanonik. To znaczy, że was kocha i ceni. Mam świadomość, że to co mówił, mówił naprawdę i że tacy jesteście i za to wam dziękuję, za to wszystko dobro co tu wyrasta.*

Następnie została odprawiona Msza św. koncelebrowana przez ks. biskupa i księży rodaków: Stefana Działo, Jana Polaka, Krzysztofa Smolenia, Andrzeja Jędrzejewskiego i Leszka Rojowskiego. Podczas homilii, ks. biskup, zwracając się do młodzieży, nawiązując do patrona parafii - św. Mikołaja, powiedział m.in.: *W świecie, gdzie wszystko przelicza się na pieniądze, w świecie gdzie ocenia się nieraz człowieka po szerokości jego samochodu, czy po bogatej willi, w której mieszka, wy zachowajcie tę prostotę, której uczył święty patron waszej parafii św. Biskup Mikołaj, ten który z wysokości swoich biskupich nie zatracił serca wrażliwego.*



Zofia Krawczyk, dyrektor Szkoły Podstawowej w Borowej wita bpa Józefa Życińskiego

Po mszy z biskupem spotkali się strażacy parafii Borowa, a wieczorem odbyło się spotkanie z nauczycielami, podczas którego, w rozmowie ks. biskup podkreślał godność, honor i etykę zawodu nauczycielskiego.

Obszerny artykuł o wizycie bpa J. Życińskiego w Borowej, pt. Pierwszy dzień wizytacji kanonicznej Ks. Bpa Józefa Życińskiego w Parafii Borowa, autorstwa Szczepana Komońskiego, ukazał się w „Wieściach z Gminy”, R. 1995, nr 5.

Redakcja „Nadwisłocza” wyraża wielki żal z powodu śmierci ks. arcybiskupa Józefa Życińskiego, który, poza swoimi funkcjami biskupimi, był moralnym i duchowym nauczycielem i to nie tylko jako akademicki profesor, ale też i przewodnik zwykłych prostych ludzi. Jego nauki pozostaną w naszych sercach i pamięci.

Redaktor Naczelny
dr Włodzimierz Gąsiewski



3 VI 1995 r. spotkanie w Szkole Podstawowej w Borowej, na zdjęciu od lewej: ks. Józef Mróz, Kazimierz Ogorzałek, bp. Józef Życiński, Zofia Krawczyk, Ewa Aleksiej

Teologiczny sukces licealistki z Jeżowego

Uczennica klasy IIa Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowie – Karolina Szewczyk – zajęła IV miejsce w finale ogólnopolskim XXI Olimpiady Teologii Katolickiej, który odbywał się w dniach 17-19 marca w Krakowie. Mieszkająca w Zalesiu (gmina Jeżowe) licealistka, podopieczna księdza Roberta Zynwali, po raz drugi znalazła się wśród najlepszych w kraju i po raz drugi z rzędu wygrała diecezjalny etap Olimpiady w Sandomierzu.

Karolina Szewczyk już jako uczennica klasy Ia LO w Jeżowie nie miała sobie równych w diecezjalnym etapie XX Olimpiady Teologii Katolickiej, w finale ogólnopolskim zaś ponownie uzyskała najwięcej punktów spośród reprezentantek diecezji sandomierskiej i chociaż nie zakwalifikowała się do czołowej dziesiątki laureatów, to uzyskała dużą ilość punktów i dobrą lokatę w mocnej konkurencji uczniów z wyższych klas licealnych. Jej zwycięstwo w kolejnej edycji OTK na szczeblu diecezjalnym pewnie już nie miało wymiaru niespodzianki, ale znakomity występ w ogólnopolskim finale z pewnością zasługuje na wyjątkowe uznanie. W części pisemnej Karolina Szewczyk uzyskała 62 punkty i była to najwyższa ich ilość, którą uzyskały jeszcze tylko Anna Jończyk z diecezji częstochowskiej i Magdalena Stelmach z diecezji warszawskiej. Część ustna wypadła dla niej nieco pechowo, gdyż wylosowała trudniejsze pytania niż rywalki, jednakże zdobycie czwartego miejsca, statusu laureatki konkursu i cennej nagrody w postaci laptopa to wspaniałe osiągnięcie uczennicy Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowie – szkoły w powiecie niżańskim. Ostatecznie Karolina Szewczyk zdobyła 83 punkty, o jeden punkt więcej miała zdobywczyni III miejsca Marta Mojżysz, uczennica Zespołu Szkół w Wodzisławiu Śląskim, reprezentująca diecezję katowicką, i sklasyfikowana na II miejscu Małgorzata Grodzka, uczennica II LO w Białymstoku (diecezja białostocka). Zwyciężyła Anna Jończyk z I LO w Częstochowie (diecezja częstochowska).

Liceum Ogólnokształcące w Jeżowie po raz drugi z rzędu miało dwie reprezentantki w finale ogólnopolskim. Drugą podopieczną księdza Roberta Zynwali, Katarzyna Bednarz z klasy III LO, laureatka II miejsca na etapie diecezjalnym, uzyskała 46 punktów i uplasowała się na dobrym miejscu w stawce 123. uczestników finału. Przyzwoicie

spisała się także trzecia reprezentantka diecezji sandomierskiej – Dominika Pasek z LO im. Mikołaja Kopernika w Tarnobrzegu, która uzyskała 40 punktów.

Hasło tegorocznej Olimpiady Teologii Katolickiej brzmiało: „Mieć wyobraźnię miłosierdzia”. W rozegranym 18 listopada 2010 r. szkolnym etapie wzięło udział 18330 uczniów z 1347 szkół z całej Polski. Do etapu diecezjalnego zakwalifikowało się łącznie 2335 uczniów z 1123 placówek. Zespół Szkół w Jeżowie w OTK na szczeblu diecezjalnym w Sandomierzu miał aż pięciu – najwięcej spośród wszystkich – reprezentantów, co było efektem nie tylko bardzo dobrych ich wyników na szczeblu szkolnym, ale także sukcesu uczniów szkoły w poprzednich edycjach Olimpiady. Od kilku lat przygotowywał ich do OTK, uczący religii w Zespole Szkół w Jeżowie, ksiądz Robert Zynwala i jego zaangażowanie oraz dobra, sumienna praca przyniosły znakomite efekty. Już dwa lata temu trzecie miejsce na szczeblu diecezjalnym zdobył licealista Krzysztof Socha, biorąc udział w ogólnopolskim finale w Kaliszu. W roku ubiegłym zwyciężyła Karolina Szewczyk, zaś trzecia była Katarzyna Bednarz i obie wzięły udział w zmaganiach najwyższego szczebla w Brennej (diecezja katowicka). W bieżącym roku szkolnym tym samym uczennicom przypadły w Sandomierzu dwa pierwsze miejsca i mogły się zaprezentować w Krakowie. Dla Katarzyny był to finał udany, dla Karoliny – znakomity.

17 marca uczestnicy XXI OTK przyjechali do Wyższego Seminarium Duchownego Księża Salezjanów, następnego dnia rano odbyła się część pisemna Olimpiady, a potem uczniowie

zwiedzali Kraków, wzięli udział we mszy św. w Łagiewnikach. Ostatni dzień – 19 marca – zaczął się od mszy św. w Katedrze Wawelskiej, później nastąpił ustny etap finału OTK, a po nim spotkanie z księdzem kardynałem Stanisławem Dziwiszem. Gala wręczenia nagród miała miejsce w Krakowskim Seminarium Duchownym.

Zdobywczyni IV miejsca w krakowskim finale – Karolina Szewczyk – to wyjątkowo wszechstronna i zdolna uczennica, która nie skupia się jedynie na zagadnieniach teologicznych. Jest zastępcą redaktor naczelnej szkolnej gazetki „Post Scriptum” i ma wielkie zasługi w sukcesach tego pisma, będącego jednym z najlepszych w kraju, a w tym roku szkolnym zdobywcą I nagrody w V Podkarpackim Przeglądzie Gazetek Szkolnych w Leżajsku. Ponadto Karolina jest znakomitą poetką, która zdobyła dwa razy z rzędu wyróżnienie Międzynarodowych Spotkań Poetów „Wrzeciono” w Nowej Sarzynie i również dwukrotnie jest laureatką Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Poetyckiej im. Jacka Kaczmarskiego „Rytmy nieskończoności” w Warszawie. 8 kwietnia wyjeżdża do stolicy na finał tego renomowanego szkolnego konkursu, którego jury przewodniczy ojciec Waław Oszajca. W tym roku szkolnym zdobyła także wyróżnienie poetyckie XVIII Rzeszowskich Dni Kultury Szkolnej. Wyjątkowy sukces w XXI Olimpiadzie Teologii Katolickiej, który zapewnia Karolinie Szewczyk studia na niektórych kierunkach, łączy się więc w jej przypadku z wieloma innymi osiągnięciami, zwłaszcza o charakterze dziennikarskim i literackim.

Ryszard Mćsisz



Od lewej Karolina Szewczyk i Katarzyna Bednarz (foto. arch.)

Ks. Józef Mandziuk

Postacie z dziejów Kościoła śląskiego w czasach nowożytnych (cz. XI)

**JERZY WILHELM
NEUHERTZ
I JEGO POLICHROMIA
KRZESZOWSKA**

Najznakomitszym dziełem malarstwa ściennego na Śląsku jest bezsprzecznie polichromia kościoła klasztornego Panny Maryi Łaskawej w Krzeszowie. Powstała ona w l. 1728-1734 jako dzieło Jerzego Wilhelma Neuhertza, wnuka i ucznia Michała Willmanna. Artysta pokrył malowidłami całość sklepień w nawie, transepcie, prezbiterium, nademporami, w kaplicach i na zachodnich partiach ścian pod emporą muzyczną. Wielki cykl fresków przedstawia sceny biblijne oraz zaczerpnięte z historii i legend zakonu cysterskiego.

Na sklepieniu pierwszego przęsła, pod hasłem Admirabilis, Neuhertz umieścił Adama i Ewę w raju oraz Niepokalaną Dziewicę. Szenie towarzyszy przedstawienie legendarnych początków cystersów, związanych z kultem Maryjnym. Nad emporami bocznymi widnieje scena Matki synów Machabejskich i królowa Estera wyniesiona na tron. Na sklepieniu przęsła drugiego, noszącego tytuł Consiliarius, artysta namalował scenę Bożego Narodzenia i powstania zakonu cystersów w chwili opuszczenia przez św. Bernarda rodzinnego zamku i przybycia z 30 krewniakami do klasztoru w Cîteaux. Nad emporami znajdują się sceny starotestamentalne: Rebeka, zabiegająca o uzyskanie przez Jakuba prawa pierworodztwa i Miriam, śpiewająca hymn dziękczynny za przejście Izraelitów przez Morze Czerwone. W przęśle trzecim, pod nazwą Deus, mistrz ukazał Ofiarowanie Pana Jezusa w świątyni i legendy z życia św. Bernarda z Clairvaux. Nad emporami widnieją dwa ofiarowania: Samuela i Samsona. Wreszcie w przęśle czwartym, pod wezwaniem Fortis, widzimy Ucieczkę do Egiptu i następne sceny z życia św. Bernarda, który Hostią broni rodzimego klasztoru przed zbrojnym napadem Wilhelma Akwitańskiego i wzywa rycerzy do walki z Saracenami w drugiej wyprawie krzyżowej, której był inicjatorem. Nad emporami obrazy ukazują Jahele, zabijającą Siserę oraz Judytę, ucinającą głowę Holefernesowi.

Największa kompozycja w kopule zawiera eschatologiczny program całego założenia, ukazując ponowne przyjście Chrystusa na Sąd Ostateczny. Oto Zbawiciel wita swoją Matkę Wniebowziętą, prowadzoną przez aniołów i otoczoną apostołami. Wokół Chrystusa zgromadzeni są mędrcy, a dalej święci i błogosławieni cysterscy: papież i kardynałowie, biskupi i opaci, mnisi i mniszki. Całość wypełniają wersety biblijne. W południowo-wschodnim narożniku widoczny jest orzeł piastowski. Malowidłami pokryte są również ramiona transepu północnego i południowego. Na sklepieniu transepu północnego artysta ukazał Maryję, otrzymującą od Boga Ojca, stojącego na kuli ziemskiej, mądrość, którą przelewa – jako karmiąca matka – na św. Bernarda i uczonych jego zakonu. Nad kaplicą Loretańską przedstawiono scenę przeniesienia domku Świętej Rodziny z Nazaretu do Loreto. W południowym ramieniu transepu zostały ukazane sceny męczeństwa 70 zakonników krzeszowskich, zamordowanych przez husytów, a Najświętsza Maryja Panna ukazana jest jako Królowa Męczenników.

W prezbiterium została namalowana scena Koronacji Matki Bożej. Na ścianach bocznych prezbiterium od strony południowej widoczny jest książę Bolko I świdnicko-jaworski, fundator klasztoru, a od strony północnej – św. Jadwiga, patronka ziemi śląskiej. Nad emporami od strony południowej scena obrazuje Maryję Królową nieba, po stronie północnej natomiast – wyniesienie Betszaby na tron. W kaplicach znajdują się kompozycje związane z poszczególnymi świętami. Nad wejściem głównym, pod emporą organową, Neuhertz umieścił Dobrego Pasterza, a obok swoją sygnaturę i portrety czterech ostatnich opatów, związanych z barokową przebudową Krzeszowa.

Przedstawiony program ideowy polichromii kościoła opackiego w Krzeszowie – zdaniem ks. prof. Stanisława Kobielusza – skłania do wyciągnięcia wniosku o zbawczej mocy dzieła Chrystusa, jakim jest Kościół katolicki, który małego człowieka prowadzi do bram Niebios.

**ANTONI DORAZIL
– TWÓRCA RZEŹB
W KRZESZOWSKIM
MAUZOLEUM PIASTÓW**

Niewątpliwie jednym z największych poloników na ziemi śląskiej jest Mauzoleum Piastów świdnicko-jaworskich w Krzeszowie. Zostało ono dobudowane w latach 1735-1747 do wschodniej ściany kościoła klasztornego, od strony prezbiterium. Budowla jest kaplicą nagrobną, wzniesioną na prostokącie, zamkniętą od wschodu dwiema apsydami, nakrytymi kopułami. Dużą rolę odgrywa kolorystyka wnętrza. Posadzkę ułożono z sześciokątnych płyt z czarnego i białego marmuru. Powierzchnię ścian i elementy architektury barwnie marmoryzowane, rzeźby i ornamentykę wykonano z białego stucco lustro, w czasach kopuł i partiach sklepień umieszczono malowidła. Ich realizację podjął ok. 1736 r. Jerzy Wilhelm Neuhertz, autor wspaniałej polichromii wnętrza kościoła opackiego. Artysta w kopułach ukazał dzieje fundacji krzeszowskiej. Na kopule północnej umieścił początki opactwa, natomiast na południowej przedstawił późniejszych władców, cesarzy i królów związanych z dziejami Śląska oraz bardziej zasłużonych opatów krzeszowskich.

Dnia 30 V 1738 r. szczątki książęcych fundatorów, które dotychczas znajdowały się w krypcie, przełożono do wspólnej miedzianej trumny i umieszczono w tumbie pod nagrobnym pomnikiem księcia Bernarda. Przy ścianie zachodniej ustawiono barokowe nagrobki książąt Bolka I i Bolka II. Pierwszy z nich był właściwym fundatorem opactwa krzeszowskiego. Wdzięczni biali mnisi wystawili mu po wiekach epitafium, na którym znalazły się słowa: „Uwieńczonym prochom Bolka I, niezwyčajzonego księcia świdnicko-jaworskiego, wojowniczego dla innych, dla nas czyniącego pokój, który w obu sprawach zapisał się dla potomnych jak najchwalebniejszym imieniem. Założyciela tego Domu i jak najgorliwszego Dobroczyncę, który nie jako żarłoczny wilk, ale jako mściciel wolności orła, ongiś schwytanego przez lwa. Tu wreszcie rozluźnił swój dobytek, dla Wiecznego Księcia Pokoju i dla czci Dziewicy Matki Łask, fundując ten Dom Łaski”.

Szczególną opieką otoczył klasztor krzeszowski książę Bolko II, o którym nasz historyk Jan Długosz pisał, iż „był stały i niezachwiany dla Polski, bo kiedy wszyscy inni książęta śląscy

poodrywali się od Królestwa Polskiego i przyjęli jarzmo czeskie, on sam pozostał tylko wierny królowi polskiemu i królestwu, uważając to za głupotę i szaleństwo, żeby własnych porzucić, a przekładać raczej czeskich królów”. Wdzięczni cystersi wystawili Bolkowi II sarkofag, którego pierwotny wygląd można odtworzyć ze starych rysunków. Pod głową książę miał nie poduszkę, lecz hełm z klejnotami. Pod stopami widniały figury lwa i psa, obrazujące dwie cechy charakteru władcy: siłę i wierność oraz herb Dolnych Łużyc, które posiadał w dożywocie. Lewą ręką Książę trzymał tarczę z dwubarwnym – czerwono-czarnym orłem, godłem księstwa świdnicko-jaworskiego. Poza tym w klejnocie figurowała szachownica, będąca emblematem księstwa brzeskiego. Epitafia obydwu Bolków umieszczono w supraportach portali prowadzących do kościoła.

W kościele krzeszowskim został pochowany również książę Bernard, mąż Kunegundy, córki króla polskiego Władysława Łokietka. W 1317 r. ufundował on wieczną lampę na grobie ojca, księcia Bolka I.

Wdowa po Bolku II, księżna Agnieszka, darowała opactwu wieś Wierzbnok. Świdnicy, aby codziennie na ołtarzu przy grobie małżonka w kościele krzeszowskim odprawiano fundacyjne Msze św. W ten sposób powstał uniwersał dla pochowanych w Krzeszowie książąt piastowskich, wiernych Królestwu Polskiemu.

Przy wejściach do mauzoleum z kościoła naprzeciw sarkofagów książęcych ulokowano rzeźby Agnieszki, żony Bolka I i Beatrycze, żony Bolka II. Jednak małżonki książęce nie zostały pochowane w Krzeszowie. W centrum budowli usytuowano ołtarz Wszystkich Świętych, a środkowy pomnik nagrobny księcia Bernarda wyznacza miejsce wtórnego pochówku szczątków książęcych. Twórcą wspomnianych rzeźb był Antoni Dorazil, kierownik tzw. drugiego warsztatu krzeszowskiego.

Po pruskiej sekularyzacji opactwa w 1810 r., zdjęto miedziane pokrycie dachowe i obiekt nastawiony był na dotkliwe straty. Dopiero w l. 1838-1839 założono płaski dach z atyką i dobudowano od strony południowej klatkę schodową. Prace remontowe były prowadzone jeszcze wielokrotnie, ale dopiero za pontyfikatu pierwszego biskupa legnickiego Tadeusza Rybaka, obiekt mauzoleum otrzymał pierwotny wygląd architektoniczny i piękno wyposażenia wnętrza.

FRANCISZEK ZELLER – TWÓRCA STALL W KOŚCIELE PW. ŚW. WINCENTEGO WE WROCŁAWIU

Zasłużeni dla Śląska premonstratensi musieli opuścić swój klasztor Na Ołbinie, będący fundacją komesa Piotra Włostowica, i w 1530 r. objęli klasztor minorytów wraz z gotyckim kościołem pw. św. Jakuba Apostoła. Obejmując świątynię, zmienili jej wezwanie na św. Wincentego. W jej murach znajdował się nagrobek księcia Henryka Pobożnego, bohaterskiego męczennika chrześcijańskiego. Synowie św. Norberta, korzystając z bogatego uposażenia, w latach 1662-1678 dokonali przebudowy wnętrza świątyni w stylu barokowym. Nowe wyposażenie było wprost imponujące i można je uznać za najbogatsze ze wszystkich świątyni wrocławskich.

Rzeźba figuralna dla stall, ołtarzy, prospektu organowego, ambony i oratoriów została powierzona Franciszkowi Zellerowi, rzeźbiarzowi pochodzenia bawarskiego. Stelaże i architektoniczne elementy retabuli ołtarzowych wykonał stolarz Franciszek Motsch. Podczas Festung Breslau w 1945 r. zniszczeniu uległo całe wyposażenie z wyjątkiem stall, które przeniesiono do katedry świętojańskiej. Były one pierwszymi wczesnobarokowymi dziełami tego typu na ziemi śląskiej i zapoczątkowały szereg wspaniałych snycerskich osiągnięć doby baroku, zrealizowanych w stalach Lubiąża, Henrykowa i Krzeszowa. Na ich zapleczkach umieszczono sceny o bogatym programie treściowym, wzorując się na ilustrowanej legendzie Vita S. Norberti, wydanej w 1672 r. w Amsterdamie przez Chryzostoma van der Sterre.

Przypatrzmy się bliżej poszczególnym 16 scenom, przybliżającym życie założyciela norbertanów. Na czele całej kompozycji po stronie lekcji bawarski artysta umieścił Najświętszą Maryję Pannę, jako patronkę zakonu. A oto następujące obrazy z biografii św. Norberta: 1) nawrócenie św. Norberta, 2) rozdzielanie dóbr przez Świętego, 3) św. Norbert w roli piewcy pokoju, 4) św. Norbert w szatach liturgicznych podczas sprawowania Eucharystii, 5) ukazanie się św. Norbertowi Matki Bożej i ofiarowanie

mu szaty zakonnej, 6) wizja krzyża ukazując Świętemu miejsce jego pierwszego klasztoru, 7) Święty zwycięża zło, przedstawione tutaj w postaci niedźwiedzia. Po stronie ewangelii znajdują się następujące sceny: 8) św. Norbertowi ukazuje się św. Augustyn i przekazuje mu swoją regułę zakonną, 9) św. Norbert otrzymuje od papieża Honoriusza III dokument zatwierdzonej reguły, 10) synowie znakomitych rodzin jako członkowie zakonu premonstratensów składają swoje insygnia u stóp Matki Bożej, 11) św. Norbert zwycięża błędy niderlandzkiego sekciarza Tanchelma, występującego po 1115 r. przeciwko ofierze Mszy św. i świętości sakramentów, 12) św. Norbert występuje w roli cudotwórcy, 13) Cud uzdrowienia niewidomej niewiasty przez św. Norberta, 14) papież Innocenty udaje się w towarzystwie św. Norberta i Lotara II na jego koronację, 15) Król Lotar II w otoczeniu swoich doradców, 16) śmierć św. Norberta, arcybiskupa magdeburgskiego. Ostatnie pole wypełnia medalion z herbem opata Mateusza Paula oraz data: 1665. W zwieńczeniu umieszczono figury aniołów z narzędziami męki. Pomędzy płaskorzeźbami widnieją figury apostołów, ewangelistów, męczenników i ojców Kościoła. Rzeźby te, spokojne w ruchu, o dobrej, zgodnej z naturą ponderacji, nie wykazują już żadnego manierystycznego wynaturzenia i deformacji. Z przedstawionych postaci, wykonanych w twardym dębowym drewnie, bije siła i tryska życie. Wspaniałe stalle autorstwa Zellerera zajęły miejsca zniszczonych stall w leżącej w gruzach katedrze świętojańskiej.

Pisząc o świątyni wrocławskich premonstratensów, można jeszcze wspomnieć o ich nowym klasztorze. Zbudowania klasztorne były położone na północ od kościoła, nad brzegiem Odry. Kierownictwo robót objął Jan Frölich, rodem z Opawy, który nieco wcześniej rozpoczął przebudowę klasztoru w Czarnowasach. Poświęcenie kamienia węgielnego nastąpiło w 1682 r. Budowa trwała 13 lat. Pewne nieregularności w ukształtowaniu czterech skrzydeł zamykających tradycyjnie klasztorny dziedziniec były wynikiem wykorzystania murów starego klasztoru i ograniczeń terenowych. Po odbudowie ze zniszczeń wojennych w 1945 r., w klasztorze znalazły się pomieszczenia uniwersyteckie.

O. FRYDERYK WOLFF VON LUDINGSHAUSEN – PIERWSZY REKTOR AKADEMNII LEOPOLYŃSKIEJ

Niewątpliwie największą chlubę jezuitom przyniosło założenie uniwersytetu we Wrocławiu. Do początku XVIII stulecia Śląsk był jedyną większą krainą w tej części Europy, która nie miała własnej uczelni akademickiej. A przecież Wrocław pod niejednym względem przewyższał od wieków inne miasta uniwersyteckie. Młodzież śląska w poszukiwaniu wiedzy musiała udawać się poza granice kraju, zwłaszcza do Pragi, Krakowa, Wiednia, Erfurtu, Lipska, Bolonii, Rzymu czy Perugii. Wszelkie próby założenia uniwersytetu wrocławskiego były bezowocne. Dopiero jezuitom udało się zrealizować marzenie wielu pokoleń mieszkańców ziemi śląskiej. Dążyli oni do tego celu, początkowo myśląc o założeniu akademii w biskupiej Nysie, gdzie powstało słynne gimnazjum Carolinum, a potem w sprostanzowanym Wrocławiu. Już w 1644 r. w kolegium wrocławskim utworzono wydział filozoficzny, a 20 lat później rozpoczęto 4-letnie studia z zakresu teologii spekulatywnej, moralnej i polemicznej. Ciągle rosła liczba studentów ze Śląska i spoza jego granic. W końcu XVII w. uczyło się w kolegium blisko 900 osób.

Założycielem dwuwydziałowego uniwersytetu we Wrocławiu był o. Fryderyk Wolff von Ludingshausen, odznaczający się dużą dozą konsekwencji i mający silną osobowość. Pochodził z Inflant, gdzie urodził się 16 X 1643 r. w Duneburgu. Wychowywał się na dworze króla polskiego Jana Kazimierza. Już w 16-tym roku życia wstąpił do jezuitów, gdzie otarł się o problematykę miast uniwersyteckich: Wilna i Lwowa. Filozofię studiował w Pradze i zapoznał się z akademią jezuicką w Ołomuńcu. Przez pewien czas był kapelanem cesarskim, wykładowcą poetyki w Bydgoszczy i filozofii w Poznaniu. Zdobył więc szlify dydaktyczne i organizacyjne.

Po przybyciu do Wrocławia dwukrotnie był rektorem kolegium jezuickiego, pozostając z protestancką radą miejską w dobrych stosunkach. Co więcej rajcy wrocławscy uważali go za swojego protektora na dworze cesarskim. Relacje uległy pogorszeniu z chwilą pojawienia się idei przekształcenia kolegium w akademię. Po prostu obawiano się, że powstała wyższa uczelnia katolicka będzie dążyła do rekatolicyzacji miasta. W 1695 roku ze strony magistratu opracowano

nawet stanowczy protest, skierowany do cesarza Leopolda I. Wysunięto w nim rzekome zagrożenie spokojnych stosunków handlowych przez rzeszę studentów, skorych do zamieszek i tumultów. Wysunięto nawet propozycję złożenia do skarbcza cesarskiego 30 000 talarów, gdyby tylko władca odrzucił projekt powstania uczelni katolickiej. Zaproponowano również przekształcenie nyskiego Carolinum w uniwersytet. Ponadto w piśmie przytoczono trudności lokalowe, związane z funkcjonowaniem uniwersytetu. Tak więc w opinii wrocławskiej rady miejskiej mający powstać uniwersytet sprowadziłby na miasto same klęski i nieszczęścia.

Tymczasem opanowany o. Fryderyk Wolff wystosował 11 V 1695 r. memoriał do cesarza, który dotarł do kancelarii władcy już po złożeniu protestu przez rajców wrocławskich. Jezuita w swoim piśmie w ogóle pominął milczeniem adres magistratu, jak gdyby w ogóle nie był mu znany. W swoim piśmie natomiast podał liczne argumenty, przemawiające za przekształceniem wrocławskiego kolegium w akademię. Prosił o przywilej cesarski nadawania stopni naukowych, bowiem kształcenie w kolegium wrocławskim odbywa się już na wyższym poziomie. Wspominał też, że dla utworzenia pełnego uniwersytetu należałoby w przyszłości utworzyć wydział prawa i medycyny. Cesarz przekazał pismo o. Fryderyka do aprobaty Urzędowi Zwierzchniemu we Wrocławiu, którego przewodniczącym był biskup wrocławski Franciszek Ludwik Neuburg jako namiestnik cesarski. 29 października t. r. do wymienionego urzędu wpłynął również memoriał wrocławskiej rady miejskiej, zawierający mnóstwo argumentów, świadomie przesadzonych, mających na celu odrzucenie projektu powstania wyższej uczelni w stolicy Śląska.

Mimo podanych zastrzeżeń, cesarz Leopold I dnia 21 X 1702 r. wystawił dokument erekcyjny dla nowej Alma Mater Wratislaviensis. Od imienia tego władcy uczelnia wrocławska otrzymała nazwę: Akademia Leopoldyna. Uczelnia otrzymała prawo do własnych insygnów (berło, pierścień, łańcuch, birety i pieczęcie). Na czele uczelni stał rektor, którym był każdorazowy przełożony kolegium wrocławskiego, mianowany przez generała lub prowincjała. Przełożeni zakonnicy decydowali o obsadzie kanclerza, dziekanów, seniorów wydziałów oraz profesorów. Wszyscy, z wyjątkiem syndyku, musieli być jezuitami.

Oficjalne otwarcie uczelni miało miejsce 12 XI 1702 r. w dniu imienin cesarza. W inauguracji wzięli udział przedstawi-

ciele cesarza, władz kościelnych i państwowych, magistratu wrocławskiego oraz duchowieństwa. Nowy rektor o. Jakub Miles otrzymał Złotą bullę, którą w całości odczytano. Podczas nabożeństwa w kościele o. Franciszek Schönfelder wygłosił kazanie o św. Leopoldzie. W udekorowanej sali po południu odbyła się pierwsza obrona i promocja doktorska norbertanina Aleksego Hainischa z klasztoru św. Wincentego.

Akademia Leopoldyńska miała tylko dwa wydziały: filozoficzny i teologiczny (wydział medyczny i prawa powstał dopiero po 1811 r.). Studia filozoficzne trwały trzy lata, a podstawą nauczania były objaśnienia dzieł Arystotelesa. Obok wykładów odbywały się tygodniowe i miesięczne dysputy teologiczne. Po drugim roku studenci na podstawie pozytywnie zdanego egzaminu otrzymywali bakalaureat, a po trzecim roku – magisterium z filozofii. Wydział teologiczny miał pięć katedr: teologia scholastyczna, kazuistyka, egzegeza biblijna, prawo kanoniczne i teologia polemiczna. Absolwenci zdobywali stopnie akademickie, łącznie z doktoratem z teologii lub prawa kanonicznego.

Liczba studentów systematycznie wzrastała, sięgając w 1724 r. 1300 osób. Przeważali „filozofowie”, wśród których byli też protestanci. Najwięcej studentów oczywiście pochodziło ze Śląska, choć byli też z Czech, Moraw, Węgier, Łużyc, Brandenburgii i Rzeczypospolitej. Uczelnia utrzymywała stały kontakt z rzymskim Germanicum, wysyłając tam co roku zwykle dwóch swoich studentów. Niezależnie od pochodzenia, wszyscy studenci mieli być traktowani jak osoby szlacheckiego stanu. Byt materialny Leopoldyny opierał się na fundacjach cesarskich i osób prywatnych oraz na różnych przywilejach. Dzięki tym środkom jezuita mogli wybudować w latach 1728-1740 imponujący gmach uniwersytecki na miejscu dawnego, przekazanego im przez cesarza zamku piastowskiego. Wzniesiona Aula Leopoldyna nie miała sobie równych w świecie uniwersyteckim. Celom naukowym służyło obserwatorium astronomiczne, drukarnia, a nawet apteka.

Z pewnością znaczenie wrocławskiej uczelni jezuickiej było wielkie. Mimo ścisłego trzymania się zasad Ratio studiorum z 1599 r. Akademia Leopoldyńska konkurowała z powodzeniem z ówczesnymi uniwersytetami Czech i Niemiec, a pokonawszy wiele sprzeciwów i trudności, stała się kolumną Kościoła katolickiego na ziemi śląskiej.

Mieczysław Kuriański

RADOŚĆ ZMARTYCHWSTANIA

pąki na drzewach w białych sukienkach
i z nimi brzęcząc rozmawia pszczoła
aby ustalić harmonogram pracy miodowej
a forsycje ubrane odświętnie na żółto
mają u stóp wonne fiołki i zieloną trawę
oznajmiają nam wesołe nadejście wiosny

działwa spieszy do kościołka wiejskiego
ze święceniem darów tak ochoczo i szybko
że zajączek ze snu zerwany pod serwetką
mało nie wyskoczył z koszyka na drogę
zaś rudy piesek nie poczęstował się serem
ksiądz nie żałował wody w kropieniu

wędzonka pachnie i pieczona pascha
przez gospodynię starego testamentu
co kisi w glinianym garncu żurek sama
ćwiklę zaprawia tartym chrzanem
koniecznie maślanego baranka z chorągwią
rzeźbi według dawnego wzoru mamy

gospodarz podwórze miołką ładzi
pobielwszy wcześniej kamienne stróże
czas od czasu dym z wędzarni wpadnie
w nozdrza zwiastując smakołyki wielkie
rumianą kielbasę boczek szynkę
taką swojską inną nie z marketu

wreszcie wielkanocny poranek bardzo rześki
choć słonko jeszcze nie wstało
gdy anieli odsunęli kamień od grobu
dzwony ogłosiły zmartwychwstanie pana
niesionego w monstrancji pośród ludu
który zaczął śpiewać nabożnie wciąż alleluja

zanim pójdziemy na wielkanocne śniadanie
pod rezurekcyjny baldachim stańmy pospołu
by dotknąć się ran triumfującego chrystusa
w bieli chleba ukrytego przed natrętami
i ogłosić całemu światu niewysłowioną radość
z szansy naszego powstania z martwych

Sanctae Catharinae, die XXX mensis Martii
Anno Domini MMXI

NEW AGE I WIELKANOC

po cóż nam krzyż chrystusowy
kazania pasyjne w kościele
drogi krzyżowe ze śpiewem
i lamenty nad zmarłym bogiem
w czasie gorzkich żali moherów
także posty jak dokoła markety

my nowocześni spod znaku
massy i meriby skał kłótni i picia

po co biedzisz się klecho
nad ratowaniem owieczek

gdy jest tylko wolność bez grzechu
odprawiasz msze i dla kogo
dzwonisz na rezurekcję tak z rana
kiedy on w nas nie zmartwychwstał

my promotorzy postępu
strząsamy naiwne prochy przeszłości

bóg wenter i bogini venera
wchodzą w związek partnerski
błogosławią im hedone i eros razem
nam zaś dane są gody weselne
podglądamy więc kulisy szczęścia
by je zawlec do polskiej zagrody

new age my pokolenie nowe
mamy wielkanocne sakramenty

gałązki wierzby z baziami nad rowem
kurczaczki z zajączkami w zieleni rzeżuchy
pisanki kolorowe na stole
żurek z białą kielbasą wyborną
jajka zgotowane na twardo
i ćwiklę z ostrym chrzanem
najważniejszy to święconkę w koszyku
skropioną obficie świętą wodą

wystarczy

my dzieci weekendowe i kultu nowości
w zbawieniu samowystarczalni

Sanctae Catharinae, Die Sancti Ioseph

NA TWOJE IMIENINY

Jak dobrze mieć święto wspaniałe:
imienniny w polskim zwyczaju;
prezenty, kwiatów pęki całe,
które fetującym wręczają.

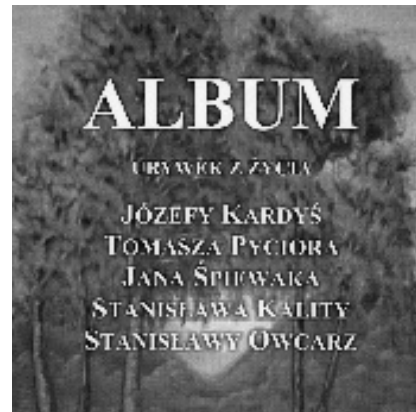
Wspomnij własnego patrona,
co otacza troską codziennie
twe sprawy (a wierność sprawdzona)
i za tobą wstawia się w niebie.

Przychodzę do ciebie z bukietem
niezapominajek z mojego
ogrodu myśli o sensie ukrytym,
gorących też życzeń do tego.

Druha pamięć niechaj uskrzydli
twoje marzenia, gdy brak siły;
wszelkie troski w radość przemieni,
duszę w koncert boski na lirę.

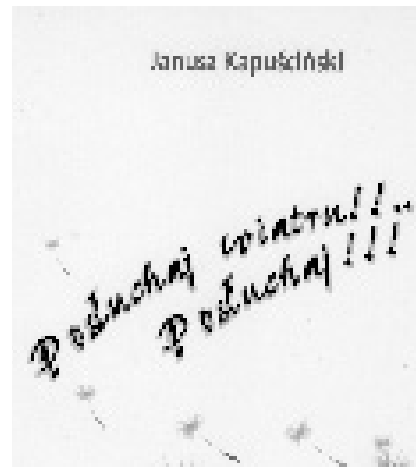
Usłysz Ojczyzny nam łkanie,
hałas zdrajców, ichnie gonitwy;
niech zmilkną wiaty i granie!
Ściskam dłoń... przyjmij modlitwę.

Święta Katarzyna 2011



„Album. Urywek z życia Józefy Kardys, Tomasz Pyciora, Jana Śpiewaka, Stanisława Kality, Stanisławy Owcarz”, to pierwsza bodajże publikacja poetycko-artystyczna Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu w Czerminie. Powstała ona w ramach projektu „Dzieje mieszkańców gminy, której jestem obywatelem”, współfinansowany przez Polską Fundację Dzieci i Młodzieży w Warszawie, Polsko-Amerykańską Fundację Wolności, a także w ramach Regionalnego Konkursu Grantowego „Równać Szanse 2009”.

Opracowania redakcyjnego i graficznego dokonała Bernadeta Adamczyk, a druku dokonała drukarnia w Maliniu. Książka datowana Czermin 2010, formatu A-5 liczy sobie 113 stron.



„Posłuchaj wiatru posłuchaj”, to pierwszy tomik wierszy Janusza Kapuścińskiego, emerytowanego nauczyciela szkół podstawowych nr 1 i 2 w Mielcu. Wydawcą jest Towarzystwo Miłośników Ziemi Mieleckiej im. Wł. Szafera w Mielcu. Publikacja formatu A-5, datowana Mielec 2010 liczy 64 strony i jest kolejną edycją Biblioteczki Mieleckiej Grupy Literackiej „Słowo”, działającej przy TMZM. Druku dokonał Zakład Poligraficzny Z. Gajka w Mielcu.

W. Gąsiewski

Dominika i Karolina poezją zajął Warszawę

Zdobycie statusu laureata renomowanego VI Ogólnopolskiego Przeglądu Twórczości Poetyckiej im. Jacka Kaczmarskiego „Rytmy nieskończoności” w Warszawie już było wielkim osiągnięciem Dominiki Gil i Karoliny Szewczyk z Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowie. W czasie gali finałowej w dniu 8 kwietnia okazało się, że to nie koniec ich sukcesów. Dominika Gil z klasy III LO zdobyła III nagrodę konkursową, zaś Karolina Szewczyk z klasy IIa otrzymała konkursowe wyróżnienie za wiersz „Boskie dzieło”. Obie zatem znalazły się w gronie najlepszych z najlepszych.

Więść o tym, iż znalazły się w gronie laureatów znakomitego warszawskiego konkursu, organizowanego przez panią Katarzynę Walentynowicz i L LO im. Ruy Barbosy w Warszawie, dotarła do Dominiki i Karoliny w dniu szczególnym. Było to dokładnie 28 stycznia, gdy obie odbierały wyróżnienia XVII Międzynarodowych Spotkań Poetów „Wrzeczono 2011” w Nowej Sarzynie. Można więc powiedzieć, że ich radość była w tym dniu zwielokrotniona, a poetycki sukces obu dziewczyn znalazł dodatkowy wymiar, potwierdzenie. Warto przy tym dodać, że Dominika została laureatką „Rytmów nieskończoności” po raz trzeci, a więc za każdym razem znajdowała się w tym elitarnym gronie, co sprawia, iż jest pewnym poetyckim fenomenem, osobą wyjątkową w konkursie. Ale Karolina, która została laureatką po raz drugi z rzędu także ma podobne osiągnięcie – przecież chodzi dopiero do drugiej klasy i jej sukces także jest „maksymalny”.

Wyjazd do Warszawy po raz kolejny stał się możliwy dzięki wójtowi gminy Jeżowe, Gabrielowi Lesicze, który wydatnie wspiera młodzież Zespołu Szkół w Jeżowie i jej sukcesy docenia. Urząd Gminy w Jeżowie zapewnił samochód z kierowcą, panem Henrykiem Olejarszem, i nocny wyjazd do Warszawy (o godzinie 3.00) stał się możliwy. Wraz z laureatkami i ich opiekunem Ryszardem Mściszem udała się to stolicy dyrektorka Publicznego Gimnazjum w Jeżowie – pani Krystyna Jabłońska, oraz uczennica, jej podopieczna – Aneta Bąk.

„Rytmy nieskończoności” to konkurs, na którym naprawdę warto być nie tylko ze względu na zaszczytny status laureata. Corocznie odbywają się tu doskonale warsztaty poetyckie, prowadzone przez znakomitego specjalistę, poetę i wykładowcę uniwersyteckiego – ojca Waława Oszejcę, który corocznie przewodniczy konkursowemu jury. Mają miejsce także w czasie uroczystości finałowych ciekawe spotkania, spektakle, koncerty. Tym razem uczniowie L LO uczestniczyli w spotkaniu autorskim z Ryszardem Mściszem – opiekunem Dominiki Gil i Karoliny Szewczyk. W ten sposób organizatorzy „Rytmów nieskończoności” docenili go nie tylko jako nauczyciela opiekującego się laureatkami konkursu, którego uczennice były laureatkami w każdej z sześciu dotychczasowych jego edycji, co jest absolutnie wyjątkowym wydarzeniem. Tym bardziej, że podobnie jak w roku 2011 – właściwie uczniowie z Jeżowego są jedynymi laureatami w Polsce wywodzącymi się ze szkoły wiejskiej. Ryszard Mścisz został w ten sposób uhonorowany jako twórca, którego tomiki poetyckie i inne utwory dotarły do młodzieży warszawskiej, stały się znane uczniom L LO im. Ruy Barbosy.

Wydarzeniem tegorocznego finału był niewątpliwie wspólny spektakl wyreżyserowany i opracowany przez panią Ka-



Laureaci i jury konkursu (foto. arch.)

tarzynę Walentynowicz. „Wesele” wg Jacka Kaczmarskiego to przedstawienie, które zderza ze sobą dwie wielkie osobowości, wyjątkowych twórców: Stanisława Wyspiańskiego i Jacka Kaczmarskiego. Przygotowany przez uczniów L LO im. Ruy Barbosy, którzy sami stworzyli jego scenariusz, pod patronatem nauczyciela roku w jednej z edycji „Głosu Nauczycielskiego” – dyrektora tej szkoły, Wiesława Włodarskiego, spektakl zrealizowany został z wielkim rozmachem. Brało w nim udział kilkudziesięciu uczniów, którzy grali role aktorskie, śpiewali, tańczyli, opracowali stronę muzyczną, techniczną, zadbał o scenografię, dekoracje, stroje, zdjęcia, filmowanie całości, opracowanie edytorskie programu – tworząc dzieło kompletne, zgoła profesjonalne.

Oczywiście centralnym punktem Przeglądu było ogłoszenie wyników, które nastąpiło na koniec, przed obiadem dla laureatów i zaproszonych gości. Tu okazało się, że sukcesy uczennic Liceum Ogólnokształcącego w Jeżowie mają jeszcze dodatkowy wymiar, albowiem Dominice Gil przypadła III nagroda „Rytmów nieskończoności”, zaś Karolina Szewczyk otrzymała wyróżnienie za wiersz „Boskie dzieło”. Obie otrzymały wielkie brawa i spotkały się ze sporym zainteresowaniem patronów imprezy, zgromadzonej licznie młodzieży i mediów. I nagrodę konkursową otrzymała Agnieszka Skowronek z Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Oświęcimiu. Trzeba przy tym powiedzieć, iż to konkurs o wyjątkowej randze także pod tym względem. Patronat nad nim sprawowali wszak między innymi: Minister Edukacji Narodowej, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy, Mazowiecki Kurator Oświaty, Fundacja im. Jacka Kaczmarskiego Alicji Delgas czy „Głos Nauczycielski”. Jedną z konkursowych jurek, dziennikarka i poetka, pani Maria Aulich, przeprowadziła w imieniu „Głosu Nauczycielskiego” rozmowę z Ryszardem Mściszem i dyrektorką Krystyną Jabłońską, deklarując w imieniu tygodnika chęć przyjazdu do Jeżowego celem zrobienia obszernego materiału o szkole, której uczniowie odnoszą tak wyjątkowe w skali kraju sukcesy.

Dla Dominiki i Karoliny była to wielka radość, spotkały się z dużym uznaniem i zainteresowaniem. W pewnym sensie dopełnieniem poetyckich laurów i nagród była wycieczka po Warszawie, którą zaproponowała i wystąpiła w roli przewodniczki dyrektorka Publicznego Gimnazjum w Jeżowie, pani Krystyna Jabłońska. Mimo niesprzyjającej aury, padającego deszczu i porywistego wiatru, udało się zobaczyć kilka znanych, ciekawych miejsc w stolicy. W ten sposób poetycki „podbój” Warszawy został połączony z odkrywaniem miasta, które tak wiele ma do zaoferowania, tyle pięknych, ciekawych miejsc gotowe jest odsonić przed zwiedzającymi. Tym razem czasu było mało, pogoda nie sprzyjała, ale może za rok wciąż poezja będzie w Jeżowie tak pięknie rozkwitała...?

Ryszard Mścisz

Promocja tomiku wierszy pt. „Mowa wiatru” Kazimierzy Szczykutowicz

Nieczęsto mamy okazję uczestniczyć w spotkaniach, które zapadają głęboko w pamięć. A takim na pewno była promocja tomiku poezji „Mowa wiatru” Kazimierzy Szczykutowicz. Wieczór poetycki odbył się 11 marca br. w Osiedlowym Klubie Kieleckiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Miniatura”. Lidia Bernatek - kierownik klubu, zaprosiła do współpracy młodzież. Dziewczęta z Zespołu Szkół Ekonomicznych im. O. Langego i Zespołu Szkół Katolickich św. S. Kostki swoimi interpretacjami utworów stworzyły niepowtarzalną atmosferę, pełną poetyckich wzruszeń w oprawie muzycznej zespołu „New Way”.

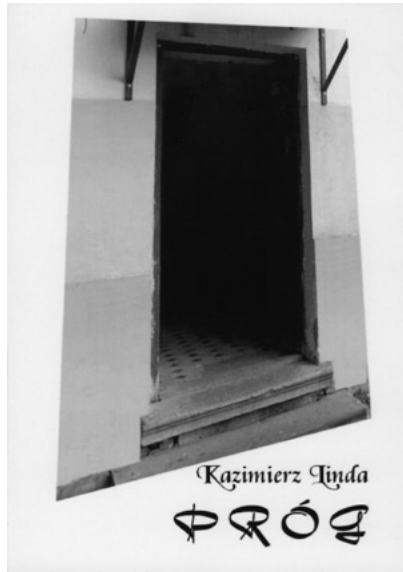
Prezes Związku Literatów Polskich Oddziału Kieleckiego stwierdził między innymi, iż autorka jest wrażliwym obserwatorem, który ujmując wierszem wiele tematów. Używa ciekawych metafor i oksymoronów. Jej utwory mogą zainspirować tych, co są wrażliwi na słowo.

Wypowiedział się również członek Związku Literatów Okręgu Świętokrzyskiego - Romuald Bielenda, zwracając uwagę na to, iż styl pisania Kazimierzy Szczykutowicz jest charakterystyczny, ciekawy, odmienny.

Młodzież była zainteresowana najbardziej tym, co inspiruje autorkę do ujmowania świata w niecodzienny sposób. - „Inspiracją jest wrażliwość na otaczające piękno, którego często nie zauważamy, gdyż jesteśmy zbyt zajęci, jesteśmy w pośpiechu, załatwiamy ważne sprawy” - stwierdziła bohaterka wieczoru.

Na zakończenie spotkania Kazimiera Szczykutowicz otrzymała kwiaty od młodzieży oraz dwa długopisy od zgromadzonych gości wraz z życzeniami aby nie przestawała pisać. Uściski, podziękowania i życzenia stwarzały ciepłą atmosferę, która znalazła odbicie w podpisywanych przez poetkę książkach.

Jolanta Sobczyk,
nauczycielka języka polskiego
w Zespole Szkół Ekonomicznych
im. O. Langego w Kielcach,
a także gość spotkania



Kazimierz Linda **Próg (Threshold)**

(ofiarom ze Smoleńska)

Kiedy zamilkną dzwony
Opadnie pył po konduktach
Zapuchnięte oczodoły
Zszarpane łkaniem gardła
Przestaną boleć
Zwiędną kwiaty na mogiłach
Świat wróci do normalności
Nie zapomną tylko
Najbardziej kochani
I kochający

Kazimierz Linda, *Próg (Threshold)*. Stalowa Wola 2010. Format A-5, 52 strony. Wszystkie wiersze na język angielski przetłumaczyła Dorota Zegarowska.

PRZYŁĄDEK MOJEJ NADZIEI

„Przyłodek mojej nadziei” Zdzisławy Górskiej, to monumentalna i rzadko spotykana w środowisku literackim publikacja (format 17x24 cm, 262 strony i kilkadziesiąt stron czarno-białych i barwnych fotografii), do tego jeszcze twarda kolorowa oprawa i wysokiej jakości papier. Książka, która jest chyba podsumowaniem dotychczasowego dorobku autorki, zawiera rozdziały: *Drogi, bezdroża; Listy zza oceanu; Dziennik powrotu; Felietony i Strofy bliskie*. Publikacja opatrzona jest wstępem dr Józefa Janowskiego i długim wywiadem z autorką przeprowadzonym przez Mieczysława A. Łypa, książka Zdzisławy Górskiej jest swoistą perłą na podkarpackim rynku wydawniczym, tak pod względem edycji jak i treści. Sygnowana jest Krosno-Strzyżów 2010, a wydana i wydrukowana w Rzeszowie. (WG)

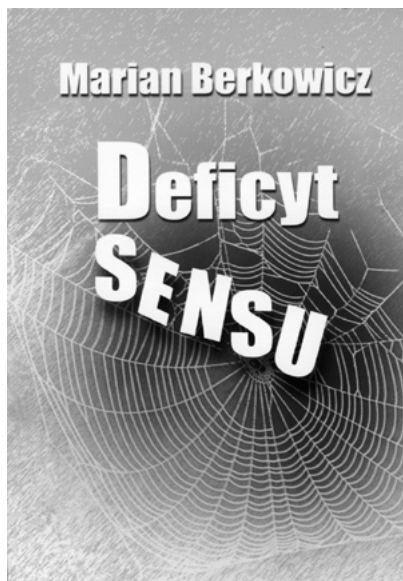


Marian Berkowicz **DEFICYT SENSU**

WROTA CZASU

muzyka ziemi
echem
rozlega się we mnie
metafora
zamętu i fałszu
nabrała emocji
jacyś ludzie
niczym kwiatami
w dłoni
wymachują
sercu

Marian Berkowicz, *Deficyt sensu*. Wydawnictwo SZTAFETA, Stalowa Wola 2010. Format A-5 68 stron.



Miejsca, słowa i prawda czasu, czyli „Jesień 2”

Mirosława Osowskiego

„Jesień 2” to kontynuacja zbioru wierszy Mirosława Osowskiego „Jesień” – niejako jego dopełnienie. I w tym przypadku mamy do czynienia z wierszami stworzonymi przez niemal 40 lat, a liryki, jak poprzednio, zostały zestawione w cykle tematyczne. Taki stan rzeczy przesądza, że wiele uwag recenzyjnych sformułowanych w odniesieniu do poprzedniego zbioru – zwłaszcza w zakresie poetyki, sposobu obrazowania czy uniwersalizacji „rejestrów” własnego ja oraz percepcji świata – zachowują swoją aktualność. Jednakże kolejnych sześć cykli, jakie zawiera „Jesień 2”, to przecież nowe areny doświadczeń, konfrontacji siebie z światem, ujęcia rzeczywistości, które dopełniają i wzbogacają poprzednie.

Od najskromniejszego, liczącego 4 utwory, cyklu „Przemiany” aż po najobszerniejszy cykl „Miejsca”, na który składają się 23 wiersze, doświadczamy „jesiennych” reminiscencji, poetyckich odślon zewnętrznego i wewnętrznego zarazem „przenikania” podmiotu lirycznego. Mirosław Osowski bardzo stara się pokazać swoiste *genius loci* – subiektywnie odczuwany fenomen miejsc, z którymi zetknięło go życie. Wszakże zbiorok otwiera cykl „Krainy szczęścia”, zamyka zaś wspomniany cykl „Miejsca”, z których w dodatku ostatnim jest miejsce zamieszkania poety (zamykające tomik wiersze noszą tytuły „Nad Sanem” i „Pieśń o Stalowej Woli”).

Egzystencjalnej refleksji z tytułowego wiersza pierwszego cyklu towarzyszy chęć odnalezienia owych „krain szczęścia”, miejsc kojących smutek. Jednocześnie podmiot liryczny próbuje nakreślić drogę, którą chce podążać, owo miejsce dla siebie w sensie celu życia, sensu podejmowanych działań. Wydaje się, że widzi ją w conradowskim „tak trzeba” czy w herbertowskim „bądź wierny, idź” z „Przesłania Pana Cogito”. Przywiązanie do pewnych wartości, które wyraźnie, w sposób bezpośredni zostaje zaakcentowane choćby w wierszu „Pieśń o sobie” czy w sposób bardziej pośredni w „Testamencie Cezara”, łączy się w jakiś sposób z ową wiernością miejscom, do których ciągle podmiot liryczny powraca – w wierszu „Łęczycy 2007” mówi na

przykład: Pewnie znów za rok tu przyjadę, by młodość wypatrzeć.

Powroty do miejsc związanych z młodością wydają się być równocześnie powrotami do młodzieńczych ideałów, życiowych zasad. Poeta zresztą nader często łączy fascynację miejscami z prezentacją istotnych dla niego w życiu wartości a nawet ze swoistym bilansem życia, etyczną płaszczyzną podsumowania przeżytych lat. Znacomie oddaje to tytułowy wiersz z ostatniego cyklu „Miejsca”:

miejsca te
są rachunkiem sumienia
z drogi przebytej
śladami kruchej pamięci
spojrzeniem wstecz
na czas miniony
na własne życie.

Wiersze z „Jesieni 2” w różny sposób owo subiektywne postrzeganie świata poprzez pryzmat przyjętych i usankcjonowanych wartości uwydatniają. Nawet w „minimalistycznie” brzmiącym tytule cyklu „Epizody codzienne” kryją się zuniwersalizowane przemyslenia podmiotu lirycznego. Pełne gorzkiej ironii wezwanie dla terrorystów z wiersza „Dżihad” zostaje zderzone z wartościami prezentowanymi przez Pana Cogito, w wierszu „Kamień Pomorski” mamy wymowny kontrast pomiędzy spokojem świątecznej bez troski a beżmiarem tragedii, która spada na człowieka tak nagle i niespodziewanie. I w jednym, i w drugim przypadku widoczna jest jakaś irracjonalna potęga zła – tego tkwiącego w człowieku i tego, które powoduje jakieś fatum, przeznaczenie czy siła, którą trudno jednoznacznie określić. Natomiast obłudne oblicze „zatroskanych” elit z piętnem ironii obnaża Osowski w wierszu „Ballada o zatroskanych mędrkach”. Cykl „Historia magistra vitae” łączy to przesłanie dla współczesnych z lekcją historii – zwłaszcza czasami starożytnego Rzymu i Cezara. Wiersz „Kilka zaleceń Cezara” na przykład łączy herbertowski nakaz z ironią dziejów – na zasadzie paradoksu zwykły one nagradzać zło, a nie bohatera. Utwór „Władza” obnaża ową potężną ludzką namiętność – żądzę panowania, która

decyduje o obrazie świata, zaś „Myśli Cezara” nadają uniwersalne piętno zasadzie „panem et circenses” z czasów panowania rzymskich cesarzy: sztuka uwodzenia, mamienia tłumów wciąż pozostaje naczelną zasadą polityki i wszelkiej władzy.

Ważne miejsce w tomiku zajmuje drugi co do liczebności wierszy cykl „Słowa”, który zresztą – podobnie jak pozostałe cykle – ma „płaszczyzny zespolenia” z całością tomiku. Tutaj w jakiś sposób poeta werbalizuje swoje spojrzenie na poezję, twórczość w ogóle. Uznaje za istotne wymiary twórczości zarówno barokowy przesyt, bogactwo, jak i prostotę. W wierszu „Dwa style” czytamy:

barok zachwyca
prostota urzeka
i tyle.

To końcowe „i tyle” jest jakby ikonycznym znakiem owej prostoty i wydaje się, że w znacznej mierze tej metodzie twórczej Mirosław Osowski hołduje. Nie nadużywa bowiem metafor, środków stylistycznych, niektóre jego wiersze bywają „zwyczajnym” wypowiedzeniem myśli, refleksji („Dzień i noc”, „Pieśń o sobie”) czy opisem („Raj dzieciństwa” „Łęczycy 2007”, jakby sugerującym zbędność poetyckich „ozdobników”). Wszakże i w nich pobrzmiewa nostalgia, tęsknota, delikatna aluzja do realiów rzeczywistości. Są jednak choćby w tych opisowych „rejestrach poetyckiej duszy” twórcy i bardziej wyrafinowane formalnie utwory – jak choćby „Sochy”, „Nad Sanem”, symboliczny „Dąb” czy łącząca symbolikę z impresjonistycznym opisem „Pieśń siewcy”.

Mirosław Osowski w wierszach z „Jesieni 2” łączy starożytność ze współczesnością, pochyla się nad pięknem świata i obnaża jego ideologiczne piętno obłudy, propagandowego oszustwa, wędruje ku miejscom „znaczącym” jego młodość i zdarzeniom, chwilom z przeszłości – urzeczenie widokiem miasta z wiersza „Wczesny poranek” brzmi niczym faustowskie zawołanie: „Chwilom trwaj, jesteś piękna”. Odnajduje trwałe urok „zwykłego” miasta, w którym mieszka (wiersz „Stalowa Wola”), ale też dostrzega człowieka „przefiltrowanego” przez zmieniający się świat („Przemiany czasu”). Z dystansem podchodzi do twórczej pogoni za nowoczesnością i oryginalnością, swoistego kultu błazenady („Postmodernizm”, „Poezja”, „Sztuka błazenowania”), ale równocześnie skła-

Czy to jest sen? O poezji Olgi Lalić-Krowickiej

Olga Lalić-Krowicka w swoim najnowszym tomiku „Gdy wybuchnie mina” dokonuje analizy cech, jakie posiada nasza rzeczywistość w porównaniu do tych ze świata snu. Autorka zwraca uwagę na fakt, że zło, wyrządzane przez człowieka sieje spustoszenie i pojawia się zarówno w naszym świecie, jak i w świecie snu. Człowiek, by dokonać przemiany potrzebuje często ogłuszającego bodźca. Stara się posiadać plan na wszystkie wydarzenia jakie mogą nastąpić, np.: „gdy nie kupię chleba kupię bułkę”. W poezji Lalić-Krowickiej podmiot liryczny projektuje plan, który dla niego samego jest bardzo bolesny.

W bardzo interesujący sposób puenta jednego z wierszy zachęca do słuchania opowieści osób, które ciekawie opowiadają a są od nas sporo starsze. Podmiot liryczny pragnie, aby właśnie te słowa zostały zanotowane, jednocześnie przekazując swoje własne na nie spojrzenie:

„ZANOTUJ CIE OPOWIEŚCI WUJKA
A ON WAM POWIE ŻE WOJNA
TRWA!

KURDE JAKA?

ON MA TYLKO JEDEN FRONT LIKE
JAMES BOND” [s. 5]

Poza wagą przypisywaną opowieści wujka, ważny aspekt tekstu stanowi przedstawienie fascynacji postacią Jamesa Bonda. Myślę, że wszyscy o niej słyszeli i zapewne oglądali też filmy. Nie wszyscy jednak wiedzą, że postać agenta 007 stworzył angielski pisarz Ian Lancaster Fleming (urodzony 28 maja 1908 roku, a zmarły 12 sierpnia 1964 roku). Przywołany wujek pragnie się z tą postacią identyfikować – nie tylko w sensie fizycznym, ale także w sensie duchowym (poprzez walkę z samym sobą). James Bond brytyjski agent 007 walczył zawsze w obronie ludzkości; wujek również próbuje walczyć, zaczynając od samego siebie.

W poezji pojawiają się oczy, które człowiekowi powinny służyć jako ważny element obserwacji tego, co dzieje się wokół niego np.:

„Oczy przykute do ściany
Lubią ha ha

Ale nie namówię ściany
By kara była hojna” [s. 11]

Przywołana ściana pełni rolę ekranu, na którym widz obejrzy jakąś scenę. Będzie ona ważnym składowym elementem świata podmiotu lirycznego. Pozostaje nam zapytać, co zawiera zwykła ściana, czy jest na niej coś zawieszono, skoro ściana z wiersza może być dziełem sztuki, a nasze oczy będą zmysłem poznawczym.

Podmiot liryczny wypowiada się jasno, klarownie i odważnie:

„krzywdziliście mnie proszę Państwa
moja pracowitość nie została wynagrodzo-
na
bekanie waszych dzieci pieluchy wasza
nieobecność

wszystkim tym rzuciliście do kosza
nie zdradziłam waszego domu” [s. 35]

Wypowiedź podmiotu jest także bardzo bolesna. Człowiek, chociaż psychicznie jest bardzo mocny, w pewnym momencie może jednak wybuchnąć. Wobec tego podmiot liryczny podejmując walkę o swoją godność, przedstawia warunki, w jakich musiał pracować. Jest świadomy, że praca jest wartością, która kształtuje charakter każdego człowieka. Innymi słowy, podmiot liryczny został w brutalny sposób wykorzystany przez społeczeństwo i teraz usiłuje wygzekwować zapłatę za swoją bardzo ciężką pracę. Widzi jak nieopłaconą pracą jest ważnym problemem społecznym dzisiejszych czasów. Podmiotem lirycznym w tym utworze jest szary zwyczajny człowiek. Czy możemy brać przykład z postawy podmiotu? Czy też potrzeba nam osoby, która reprezentowałaby pokrzywdzonych i wykorzystanych przez społeczeństwo? Dla nas ten wiersz powinien zatem stanowić prowokację do rozważań, na temat: po której stronie stoję, czy po stronie jednostki pokrzywdzonej czy po stronie drapieżnego społeczeństwa?

W dalszej części tomiku znajdujemy także minę. Mina często kojarzy nam się z działaniami wojennymi. W poezji Olgi Lalić-Krowickiej mamy do czynienia z innego rodzaju miną, którą jest wydarzenie szarego codziennego życia, które burzy wewnętrzny świat człowieka. Krowicka poprzez swoje doświadczenia stara się w swojej poezji przygotować i czytelnika i siebie samą na ten wybuch, powodujący nieodwracalne konsekwencje. Konkretnie wskazuje ona, gdzie znajduje się owa mina, która za jakiś czas wybuchnie. Gdy zniszczy nasz wewnętrzny świat, to społeczeństwo będzie żyło nadal swoim życiem, kiedy będzie wybuchać, człowiek będzie wykonywał swoje obowiązki, realizował swoje marzenia i pasje. Jednak autorka głośno i wyraźnie ostrzega, co się stanie gdy mina zmieni istniejący stan rzeczy.

Krzysztof Graboń

Olga Lalić-Krowicka „Gdy wybuchnie mina” wyd. Krośnieńska Oficyna Wydawnicza, Krosno 2009, s. 60.



da hołd Franzowi Kafce – samotnemu geniuszowi, który gardzi poklaskiem i nie dba o odbiorców („Franz Kafka”).

Trudno ująć w krótkiej recenzyckiej formie całe bogactwo treści „Jesieni 2”, zawierającej 66 wierszy ujętych w 6 cykli. Tym bardziej, że wiersze powstawały w ciągu niemal 40 lat, więc pewna różnorodność formalna i tematyczna całego tomiku jest rzeczą zrozumiałą i wręcz nieuniknioną. Mirosław Osowski „Jesienią 2” niejako zamyka w sensie wydawniczym twórczość poetycką (przynajmniej na razie) i wraca do prozy, która jednak wciąż pozostaje jego domeną. Wydaje się wszakże, że w jakiejś mierze ta poetycka, „lakońska muza” dopełnia dłuższe bądź krótsze historie, które w powieściach i opowiadaniach twórcy możemy poznać. I jakkolwiek sam twórca z pewnym dystansem podchodzi do poetyckiego „ple-ple”, to jednak deklaruje w wierszu „Poezja”:

mimo to nie rezygnuję
z pisania wierszy
i chcę nadal uchodzić
za poetę.

Należy sądzić, że czytelnicy prozy Mirosława Osowskiego także w jego poetycko oszczędnych, niekiedy wręcz ascetycznych – zdominowanych przez myśl – wierszach odnajdą dla siebie interesujące treści. I zgodzą się z nimi bądź nie, uznają albo nie poetycką formę, którą posługuje się twórca, w każdym razie zechcą poznać, co autorowi „Jesieni 2” i „Powołania” „w duszy gra”, jak ujmuje świat i siebie z perspektywy dojrzałych, „jesiennych” lat.

Ryszard Mścisz

Erotyczna „Ona”

Andrzej Moskal należy do Stowarzyszenia Literackiego „Witryna”. Na co dzień jest skromnym pracownikiem banku, ale poezją para się – jak wspomina – od 17. roku życia. Publikował swoje wiersze w wielu czasopismach, nawet w nieistniejącym już krakowskim „Życiu Literackim”, które od razu nobilitowało każdego młodego na poetę. Do tej pory wydawał swoje wiersze głównie w stalowowolskich almanachach, ale – jak się można dowiedzieć z okładki tomiku poetyckiego „Ona” – ma już za sobą wydane: arkusze poetycki „Świadek” i tomik „Próba generalna”, a także wiersze dla dzieci pt. „Niebo w kwiatki”. W roku ubiegłym wydał swój nowy tomik, który zatytułował „Ona” i zadedykował go żonie. Moskal dokonał w nim ciekawego zabiegu artystycznego: podmiot liryczny przybrał w jego wierszach rodzaj żeński. Ukrywanie się prawdziwego autora i zmiana płci podmiotu lirycznego nie jest w polskiej literaturze czymś wyjątkowym. W okresie Młodej Polski znana, wybitna poetką i tłumaczką, która pisywała pod pseudonimem Adam M-ski, była Zofia z Mańkowskich Trzeszczkowska. Jej pseudonim literacki przyłgął do niej na całe życie. Tak też zapisała się w historii literatury. Dziś tylko okazjonalnie i tylko w podręcznikach wspomina się jej prawdziwe nazwisko. W jeszcze większym stopniu dotyczy to Marii Komornickiej, pisującej pod pseudonimem Piotr Włast, która ubierała się nawet w męski strój. Niekiedy przyjęcie męskiego pseudonimu i tworzenie „męskiej poezji” miało w literaturze, jak w przypadku Marii Komornickiej, charakter manifestu.

Andrzej Moskal jednak nie ukrywa swego autorstwa, zmienia tylko rodzaj podmiotu lirycznego. Można więc sądzić, że chodzi tu o pewną męską „przewrotność”, próbę wcielenia się w kobietę, poznania kobiecej duszy, zrozumienia jej. Byłoby to o tyle istotne, gdy przypomni się, że Moskal dedykował swoje wiersze żonie. Być może jest to rodzaj hołdu złożonego także wszystkim kobietom, biorąc pod uwagę ciepło i liryzm tych wierszy. A może kryje się też w tej artystycznej przemianie czy zabiegu chęć ukrycia własnego zauroczenia kobiecym ciałem. Miłość u Moskala jest cielesna, pozbawiona ckliwego pięknoduchostwa i bliska humanistycznemu hasłu: „nic co ludzkie nie jest mi obce”. Dlatego wiersze miłosne, erotyki Moskala, tchną optymizmem życia. Bo miłość to nie smutny dramat, czy tragedia, ale pieśń radości, rodzaj pieśni nad pieśniami.

Niektóre z erotyków wyróżniają się niezwykłą śmiałością języka. Moskal używa w wierszach takich wyrazów, jak: „penis”, „orgazm”, „dupa”, „okrągły tyłek”, „związłe piersi”, „wchodzenie w ciało”, „między uda” czy nawet pisane razem „zadupieźdrój”, czasami wręcz balansując na pograniczu pornografii, np. w wierszu „wybaczyć”. W ten sposób Moskal odświeża język poetycki, odchodząc od wzorca ukształtowanego jeszcze w literaturze romantycznej. Stara się także być w swoich wierszach nowatorem, odrzucając zbanalizowany przez naśladowców poezji romantycznej sztafaż językowy wierszy miłosnych. Jego erotyki tryskają bowiem żywiołowością. Nie wszystkie wiersze Moskala są jednak erotykami. Większość z nich to poetycki zapis zdarzeń z codziennego życia, jakkolwiek czasami nadaje im patetyczne tytuły, np. „apel poległych”. Można to odczytać jako ironię, sprowadzanie wszystkiego, co wzniosłe, do banału, zwyczajności. Podobnie można dostrzec to w wierszu „gotyk”, w którym nie ma mowy o zachwycie nad średniowieczną architekturą, ale o urodzie miejskiego krajobrazu oglądanego nocą.

Moskal tworzy swoje utwory z prostych zdań lub równoważników zdaniowych, pozbawionych spójników. Jego wiersze w tomiku „Ona” robią czasami wrażenie układanki, rodzaju nieskładnego, bezspójnikowego monologu, tak jakby były niezwiązane ze sobą gramatycznie. A co je łączy? Wspólna myśl, wewnętrzna idea. Moskal unika też rymów, dużych liter, jakby chciał się pozbyć w poezji wszystkich ozdobników, pragnąc zachować najprostszą formę wiersza. Nie brak w jego utworach kolokwializmów, a nawet – jak już wspomniałem – wyrazów powszechnie uważanych za wulgarne. Brak natomiast jest takich atrybutów poezji jak regularna strofa wyznaczona przez rym czy rytm. A przecież takim wierszem melicznym, z licznymi powtórzeniami i paralelizmami, posługiwał się Moskal jeszcze niedawno w swoich utworach pisanych dla dzieci. O czym to świadczy? O tym, że czuje się on w każdym systemie wiersza, czy to melicznego, czy niemelicznego, dobrze i pewnie. Mając wypracowany własny warsztat, używa w poezji takich narzędzi i artystycznych środków wyrazu, które w danym momencie są mu potrzebne. Bo jest już poetą dojrzałym, który wie jak posługiwać się słowem i wierszem.

Mirosław Osowski



Andrzej Moskal. Urodzony w Stalowej Woli w 1971, z wykształcenia ekonomista, pracuje w banku PeKaOSA. Debiutował w 1989 roku na łamach „Życia Literackiego”, publikował w „Nowym Medyku”, „Sztafecie”, „Radarze” i „Nadwisłoczu”. Wielokrotny juror internetowych konkursów poetyckich. Jego wiersze publikowano w serii almanachów „Spojrzenia” oraz „Wspólnej obecności”. Autor dwóch tomów poetyckich – „Próby generalnej” (Sztafeta 1998) i „Nieba w kwiatki” (WDS 2002). W 2010 r. roku ukazał się kolejny jego tomik „Ona”, z którego pochodzi zamieszczony poniżej wiersz. Autor, co widać także na zdjęciu, poświęca swój czas własnej rodzinie i dzieciom, jak sam to określa, o wiele więcej niż literaturze.

PROLONGATA

porządek cmentarza
polega na zwątpieniu
chronologia wnika tu
w perspektywę światła
rozczarowanie życiem
rozwarstwia się w czasie
spędzonym na żalobie

tu powody
nie mają manier
rachunkom za szaleństwo
wypisanym w nekrologach
należy zaufać bezgranicznie
ideologie znajdują tu
zauważalne wytchnienie
a ciężar bytu
poprzestaje na rozczarowaniu
mijających go cieni

Andrzej Moskal „Ona”, Stalowa Wola 2010.

DANUTA KOŚLA

Córki dobrych Ojców

O córki dobrych Ojców
myśli święte,
co macie malutkie rączki,
gdy modlicie się pięknie,
wy kobiety wychowane,
u Matki Teresy,
by czuć nad życiem,
niemowlęcia i starca,
by ukochać w ramionach,
wszystkie biedy Dauna.
O córki dobrych Ojców,
damy filigranowe,
najpiękniejsze staruszki,
najlepiej wykształcone,
na skromności i pokorze.
O córki dobrych Ojców
ubrane w odwagę,
gdy budujecie słowem,
najpiękniejszą mowę,
by błyszczały pałace
od szarych diamentów,
a Matka Najświętsza,
od klejnotów bohaterstwa.
O córki dobrych Ojców,
nauczone życia,
w szkole najdroższej, w szkole
cierpienia,
gdy łzę przetyka cisza.

Różańcowe okruchy

Zagłaskany strumień łez,
wycisza się,
zbytniej osobistej troski,
by zapomnieć o codzienności.
Teraz święto będzie radości,
perlistych śmiechów zbyt
niedorosłych.
I Księżne wszystkie uroczyste,
już idą rozłożystą drogą,
zimowych lasów,
nadwrażliwie nasłuchujące
jęków głodnych ptaków,
więc hojną dłońią,
same głodne
uczują gości skrzydlatych,
jakby aniołów spragnionych
modlitwy,
módl się, módl,
na okruchach różańców.



HARFA W CHMURACH KAZIMIERZA TRELI

Kazimierz Treli, to niewątpliwie najbardziej „eksportowy” poeta z Mielca, do utworów którego sięgają takie sławy jak Edyta Geppert czy Michał Bajor. Sam fakt, iż jest członkiem ZAIKS-u w Warszawie, świadczy o tym, że jest uznawany za „autora” nie tylko w kategoriach amatorskich, ale też i zawodowo zalicza się go do „celebrytów” poezji ambitnej.

Kazimierz Treli swój sukces zawdzięcza niezwyklej wręcz konsekwencji twórczej, mistrzowskiego dopracowania swoich utworów, które już zdaje się w swojej głowie słyszy jako śpiewaną poezję, poświęcając się zresztą jej muzycznym akcentom oraz... poszczególnym instrumentom, które na swój poetycki sposób przedstawia w swoich utworach.

Mimo ewidentnych sukcesów, m.in. w konkursach poetyckich, jak też utrwalonej już pozycji wśród krajowych autorów tekstów Kazimierz Treli jest człowiekiem niezwykle skromnym, nie czyniącym wokół siebie artystycznego szumu, nie kreującego się na wielkiego poetę, nie upominającego się o wydawanie kolejnych tomików poetyckich czy też organizowania mu twórczych beneficjów.

W dniu 5 marca br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Mielcu odbył się jego wieczór autorski związany z wydaniem tomiku poetyckiego „Harfa w chmurach”, podczas którego Kazimierz Treli, jak zwykle skromnie czekał, aż poprzez bogaty program artystyczny

Kazimierz Treli urodził się 17 XII 1954 r. w Wampierzowie koło Mielca. W 1973 r. ukończył Liceum Ekonomiczne w Mielcu. Pracuje w firmie Veolia Transport Toruń, oddział w Mielcu. Współtworzył kabaret „Gwint” przy PKS Mielec. Należał do Klubu Twórców i Sympatyków Kultury „Sęk” w Mielcu. Wiersze Treli były drukowane w czasopiśmie lokalnych i ogólnopolskich. Zdobył wyróżnienia w konkursach poetyckich: „Wrzeczono 2003, 2004 i 2006” w Nowej Sarzynie. W 2004 roku ukazał się debiutancki tomik K. Treli, pt. „Saksofon na sośnie” wydany przez SCK Mielec. W 2006 r. zdobył nagrodę główną „Srebrne Pióro” prezydenta miasta Mielca za wiersz „Harfa w chmurach” w II edycji konkursu poetyckiego. Po jego wiersze, jako teksty piosenek sięgały takie sławy polskiej estrady jak Edyta Geppert i Michał Bajor. Wśród kompozytorów piszących do nich muzykę był m. in. Piotr Rubik. Piosenkami z tekstami autora owocuje również jego współpraca z rzeszowskim muzykiem Alkiem Berkowiczem. Kazimierz Treli należy do mieleckiej Grupy Literackiej „Słowo”. Jest członkiem Stowarzyszenia Autorów ZAiKS w Warszawie.

przebiję się ze swoim słowem do zgromadzonych słuchaczy. Przez chwilę nawet zdawać by się mogło, że to nie wieczór autorski, ale raczej akademii 1-majowa w dawniejszym domu kultury, z przemówieniami, wystąpieniami, recytacjami i piosenkami, gdzie prezentują się wszyscy oprócz autora. Tak oto po blisko godzinie, nie doczekawszy się autorskiego wystąpienia Kazimierza Treli, pilny telefon wyrwał mnie ze spotkania. Na szczęście dostałem od autora jego wiersze, które bronią się same bez całej tej „artystycznej” oprawy, która jak piszą organizatorzy na swojej stronie internetowej: „przyćmi, elementami wykonywanego programu...”

W. Gąsiewski



Edward Daniel

poeta, malarz i muzyk zapomniany (1921-1986) w 90. rocznicę urodzin

Edward Daniel, rolnik, poeta, malarz i muzyk. Urodził się w Filadelfii, USA, 11 IV 1921 r., jako czwarte dziecko Edwarda i Bronisławy z domu Klamut, którzy pochodzili z Sędziszowa. Edward Daniel senior wyjechał do USA przed II wojną światową jako 17-letni chłopiec. Tam dostał się do pracy w stalowni milionera Spinga (zapis fonetyczny), który traktował go jak własnego syna, również Edwarda zmarłego na zapalenie płuc. Edward Daniel jednak po jakimś czasie wrócił do kraju i został wcielony do armii austriackiej. Po wyjściu z wojska poznał i poślubił Bronisławę Klamut, córkę kowala z Sędziszowa i razem jeszcze raz wyjechali do Ameryki. Tam urodzili się ich synowie: Marian, Alojzy, Adolf i Edward, który do kraju powrócił z matką jako trzyletnie dziecko w 1924 r. Wkrótce przyjechał do kraju także Edward Daniel – senior i początkowo Danielowie zamieszkali w Sędziszowie, a na przełomie lat 20. i 30. XX w., po zakupieniu ziemi oraz zabudowań od Żyda Hermele, osiedli w Rzędzianowicach. Już w Polsce urodziły się jeszcze ich dwie córki: Danuta i Eleonora. Młody Edward uczęszczał do szkoły powszechnej w Rzędzianowicach, gdzie ukończył sześć klas i na tym etapie zakończył swoją edukację. Podczas okupacji niemieckiej zmarł syn Danielów – Adolf. Po ukończeniu szkoły Edward pracował w gospodarstwie rodziców wraz z dwoma starszymi braćmi



E. Daniel, „Portret żony”, olej, płótno, w zb. rodziny Danielów (fot. W. Gąsiewski)

i dwiema siostrami. Gospodarstwo państwa Danielów było duże, bo liczyło 64 morgi ziemi i przeciętnie 20 sztuk bydła oraz kilka koni. W 1953 r. Edward Daniel ożenił się z Zofią pochodzącą z Rzędzianowic. Z tego związku urodziło się dwóch synów, 24 XII 1954 r. Alfred i w 1960 r. Edward. Pomimo że praca w gospodarstwie zabierała dużo czasu, Edward Daniel lubił malować, choć zajął się tym dopiero po wojnie, od 1948 r. Już w szkole wykazywał duże zdolności, także rysunkowe, lecz ojciec nie był w stanie zapewnić mu dalszej nauki, ze względu na związane z tym duże koszty. Edward malował dla zaspokojenia własnej potrzeby, dla bliskich i znajomych. Dopiero w 1973 r. w Mielcu odbyła się jego pierwsza wystawa, a w 1978 r. otrzymał zaproszenie na Ogólnopolski Konkurs Malarzy Amatorów zorganizowany przez Muzeum Etnograficzne w Krakowie, gdzie zdobył II miejsce. W 1980 r. także w Krakowie, od kwietnia do lipca, miała miejsce indywidualna wystawa jego prac. Podobna wystawa odbyła się także w Mielcu w „Jadernówce”, po której Daniel przekazał kilka obrazów do mieleckiego muzeum. Jego prace znajdowały także nabywców zagranicznych głównie z Niemiec. Ich tematyka była różnorodna, przeważały pejzaże malowane z wyobraźni i w plenerze. W jego zbiorach nie brak było też obrazów o treści patriotycznej, wyrażanej za pomocą symboli zarówno polskich jak i amerykańskich, gdyż Edward Daniel nadal posiadał obywatelstwo USA. Malował też kwiaty, owady oraz portrety, m.in. obraz swojej żony. Poza malarstwem zajmował się pisarstwem. Był autorem pamiętników wydanych na XXX lecie PRL oraz siedmiu tomów wierszy, nigdzie nie drukowanych. Podobnie jak w malarstwie tematykę jego wierszy stanowiła polska wieś, przyroda, praca na roli i zamiłowanie do ziemi rodzinnej. W swoich wierszach opiewał uroki rodzinnej wsi – Rzędzianowic, która słynęła w okolicy z piękną krajobrazu, gospodarnych ludzi i dostatku. Jednak z powodu amerykańskiego obywatelstwa władze niechętnie patrzyły na ludowego twórcę z Rzędzianowic. Uniezwolnili mu nawet ponowny wyjazd do Ameryki. Przez wiele lat był uznawany za kułaka. Dokuczano mu też m.in. poprzez fałszywe oskarżenia. Edward Daniel czuł się niedoceniony, zwłaszcza jeśli chodzi o jego twórczość poetycką. Zmarł 6 XII 1986 r. i jest pochowany na cmentarzu parafialnym w Rzędzianowicach. Tradycje artystyczne Edwarda Daniela kontynuuje,



choć w dużo mniejszym zakresie, jego syn Alfred. Namalował m.in. obraz do kościoła w Dulczy Wielkiej k. Radomyśla Wielkiego i maluje do chwili obecnej. Uczniem Edwarda Daniela jest również malarz ludowy Ryszard Serafin z Rzędzianowic.

Włodzimierz Gąsiewski

Źródła: W. Gąsiewski, *Z ludu i dla ludu. Ks. Feliks Podgórnian (1901-1985). Proboszcz z Rzędzianowic. Jego parafia i parafianie*. Rzędzianowice 2010, s. 99-100; M. Krużel, *Dwa światy Edwarda Daniela. W: też, Moje fascynacje literackie. Próba rekomendacji wybranych twórców Ziemi Mieleckiej*. Praca maturalna z j. polskiego. Mielec 1982, mps, s. 25-36; *Relacja ustna Alfreda Daniela*. Rzędzianowice 14 VIII 2010 r., zapis cyfr. zb. wł.; J. Witek, *Życie kulturalne. W: Mielec. Studia i materiały z dziejów miasta i regionu*. T. 2. Red. F. Kiryk. Mielec 1988, s. 636.



E. Daniel, „Bzy”, olej, płótno, w zb. rodziny Danielów (fot. W. Gąsiewski)

Bronisława Dryja

O kobiecie i nie tylko słów kilka

Poniższy tekst, wielce szanowanego przez nas autora Bronisława Dryja odleżał na redakcyjnej półce kilka miesięcy, jako że Redakcja „Nadwisłocza” nie w pełni identyfikuje się z zawartymi w nim treściami. Niemniej jednak w obecnej dobie tzw. „parytetu”, kiedy żywo dyskutuje się kwestię równouprawnienia płci oraz dla zachowania prawa wolności słowa, publikujemy artykuł rzeszowskiego literata, jako swoisty, acz skrajny głos w dyskusji, ocenę pozostawiając Czytelnikowi.

Redakcja

Czytałem dictum Louisa Aragona /francuski intelektualista - XX w./, który napisał: „Kobieta jest przyszłością mężczyzny”. Taka wypowiedź jest butna. Nie powiało z niej znawstwem problematyki kobiecej i nie tylko. Szkoda, że autor nie sformułował, o jaką „przyszłość” chodzi. A może chciał pocieszyć oczy czytelników? A może był pewny, że jego emocja sięgnie zenitu? A może myślał, że spuścizna pióra, przysporzy mu chwały pod niebiosa? Mówię z naciśnięciem, że w oczach miał dwa nieba. I tu jest zawarta głębia prawdy!

Gdy przemyślałem cytowany aforyzm, z przerażenia dosłownie oniemiałem. Utwierdziłem się w przekonaniu, że orzeczenie intelektualisty jest niezupełne, nigdy nie otrzyma legitymacji społecznej. Jest misą tak zwanych pieczonych jaj. Tak czy inaczej, przekaz poszedł w eter i żyje swoim życiem.

Rozumowanie autora przewróciło mój świat do góry nogami. Zamotało w głowie, która wypełniła się czarnymi myślami, włosy zjeżyły się co do joty, „gęsie pióro” wypadło z ręki, ciało pokryła siatka ciarek. Nie mam buntu przeciwko światu, ale spadłem z krzesła, nogi ugięły się do oporu, straciłem refleks, zataczałem się, zostałem ze spuszczonej spodniami. W nocy miałem koszmarne sny, rano kichałem — ile mogłem, w południe wymiotowałem skisłymi flakami z olejem, wieczorem wszystko analizowałem szczegółowo.

Z autopsji znam kobiety, które jako maszyny do rodzenia dzieci często wymagają naprawy, ale - niestety - nie zatrudniają mechaników. One zachowują się jak rój pszczół, które próbują się nawzajem użądlić. Przypominają mi farbowanego lisa. Czasami swoje niemowlęta wyrzucają w workach foliowych do śmieci. W domu latorośle maltretują: nie dbają o ich dalsze, przyzwoite życie, o ich *savoir vivre*, o zdobycie wykształcenia, o darzenie ojca uczuciem. Nie dbają także o to, aby maluchy się nie stresowały, aby je wychowywać zgodnie z regułami dydaktyki - z głową na karku. Dzieci nikt nie pytał się o to, czy chcą się urodzić. Właśnie, to one powinny otrzymać wzorce humanitarnych zachowań w życiu, pełnię uciechy do życia. Poniżanie dzieci w rodzinie, prowadzi je do rozwydrzenia, a węzeł małżeński do rozwiązania.

Mimo wieloletnich, pracochłonnych zabiegów nie spotkałem ani w literaturze, ani w mediach informacji o tym, że kobiety również przyczyniają się do tego, iż mężczyźni przymusowo są osiedlani w zakładach o charakterze karnym. Rozumiem, że przez niedopracowane



„Skóra pamięci”. Krzysztof Krawiec, tusz, kartonik A-5 (zb. wł.)

przepisy mają związane ręce. Częsta rotacja władzy i panowie w koloratkach, mają wpływ na taką sytuację. I tak powstają orzeczone wyroki. To woła o pomstę do nieba. A może postępowanie kobiet jest owiane urzędową tajemnicą? A może nie władam racjonalnym osądem? Przedstawiony fakt poczynań kobiet próbował powtórnie powalić mnie na łopatki. Okazało się, że jestem lakoniczny. Nie mam nic wspólnego z dziurami, nie jestem serem szwajcarskim.

Nie jestem ani sługą, ani faworytem nikogo. Nie utożsamiam się z mężczyznami. Oni też popełniają błędy, sięgające szczytu niebios. Każdy pejoratyw dotyczący tak kobiet jak i mężczyzn, komentuję z właściwą sobie skromnością. Chociaż zmęczyłem się myśleniem o relacjach damsko-męskich, zachowałem zimną krew. Nie dałem się zrobić w trąbę konstatacji intelektualisty.

Nie jestem burzycielem, ale jako parający się problematyką kobiecą nie od dzisiaj odpowiedzialnie głoszę, że wiele kobiet włada pustogłowiem. Fakty pejoratywnego postępowania kobiet - postaci, w gruncie rzeczy, dość kabaretowych — na bieżąco podają do publicznej wiadomości.

Przy okazji akcentuję: Natura zapomniała o rozwoju cywilizacji. W pośpiechu wyrządziła nam krzywdę. Ziemię zasiała żywiołem kobiet, jednak nie objaśniła, do czego mają zdolności.

Godzi się także przypomnieć, że autorytet literatury polskiej - Adam Mickiewicz niegdyś powiedział: „Kobieto! puchu marny! ty wietrzna istoto”. Nic dodać, nic ująć.

Nie wyostrzam swoich myśli ani swojego języka, ale głośno mówię, że jestem świadomy, iż wielu ludzi ma swój rozsądek i nie muszą się ze mną zgodzić.

Rzeszów, 2010 r.

Wojskowy perłowy jubileusz

18 marca 2011 r. mieleckie Koło Związku Żołnierzy Wojska Polskiego (dawnie nazwy Związek Byłych Żołnierzy Zawodowych, ZBZZiOR WP) obchodził jubileusz XXX-lecia powstania i działalności. W tym dniu w 1981 roku w Wojskowej Komendzie Uzpełnień w Mielcu, powstało (pierwsze w województwie rzeszowskim) Koło nr 1 Związku Byłych Żołnierzy Zawodowych, które zrzeszało 24 oficerów rezerwy. Do dzisiaj żyje tylko dwóch członków – założycieli mjr Zdzisław Wojtas i st. sierż. sztab. Władysław Skawiński. Pierwszym prezesem Zarządu Koła został wybrany płk Adam Tyburczy, a w następnych latach funkcję tę pełnili: ppłk Julian Kusiak, płk Jan Frask, mjr Stanisław Gawryś, ppłk Bronisław Kowalczyk, a od 2008 roku płk Józef Pado. W pierwszych latach głównymi kierunkami działania było nawiązanie współpracy z organizacjami paramilitarnymi oraz ze szkołami i zakładami pracy, a także współorganizowanie z władzami miejskimi uroczystości wojskowych.

W latach 1988-2011 poszerzono zakres działania m.in. o popularyzację działalności Zarządu i członków Koła w prasie związkowej „Głosie Weterana i Rezerwisty”, regionalnej (Echu Dnia i Nowinach) i lokalnej (TR „Korso”, „Głosie Mieleckim” i w „Wizjerze Regionalnym”). W latach 1997-2005 do tradycji weszły koncerty noworoczne w Państwowej Szkole Muzycznej, w których udział brali członkowie Koła, wdowy po zmarłych kolegach oraz kombatanckich. Uroczystości obchodzono do 2008 roku Dzień Kobiet w Klubie ZNP „Belferek”. Zarząd i członkowie Koła włączali się do uroczystych obchodów Dnia Zwycięstwa, Święta Wojska Polskiego i Dnia Weterana organizowanych wspólnie z WKU. Szczególnie od 16.07.1997 roku, kiedy przy kierowniku Urzędu Rejonowego w Mielcu została powołana Rada ds. Kombatanatów i Osób Represjono-



15 VIII 1994, uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej przy SP Nr 3 w Mielcu wanych. Wielkimi orędownikami jej powstania byli: mjr Stanisław Gawryś, kpt. Zdzisław Stachura i ppłk Bronisław Kowalczyk, który został wybrany jej przewodniczącym, a sekretarzem kpt. Zdzisław Stachura. Od 29.03.2000 roku przewodniczącymi Rady byli: płk Zenon Kamiński, ppłk Andrzej Sitko, obecnie funkcję tę pełni płk Zenon Kamiński, a sekretarzem jest ppłk Bronisław Kowalczyk.

W ciągu tych 30 lat zarządy Koła odnosiły znaczące sukcesy, jak np. współorganizowanie uroczystości wojskowych i kombatanckich, zintegrowanie środowiska kombatanckiego i represjonowanych, wmurowanie i uroczyste odsłonięcie dwóch tablic pamiątkowych – ku czci poległych żołnierzy WP z Ziemi Mieleckiej, opracowanie czterech monografii z okazji Jubileuszu X, XV, XX, XXV-lecia Koła, organizowanie pogrzebów zmarłych kolegów z asystą wojskową z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich z Rzeszowa. Także Kronika Koła w konkursach wojewódzkich, wśród 13. kronik zajmowała wysokie miejsca. Sukcesy odnosili także członkowie Koła w zawodach sportowo-obronnych. Największe na szczeblu ogólnopolskim por. Mirosław Kluz, natomiast w zawodach wojewódzkich i lokalnych płk Józef Pado, płk Kazimierz Cichoń, por Mirosław Kluz, mł. chor. Mariusz Chlebek i sierż. Wiesław Lipiński – zajmując często pierwsze

miejsce indywidualnie i w składzie drużyny. Do sukcesów należy zaliczyć ilość artykułów o działalności mieleckich wiarusów. W miesięczniku ogólnopolskim „Głos Weterana i Rezerwisty”, w ciągu ostatnich 15. lat ukazało się 50. artykułów autorstwa ppłk Bronisława Kowalczyka, który decyzją Rady Redakcyjnej GWiR w 2010 r. zdobył tytuł „Autor Roku” i „Złotą Sowę”.

Sukcesy członków Koła i poszczególnych zarządów nie byłyby możliwe, gdyby nie pomoc prezesów Zarządu Wojewódzkiego Związku: ppłk Bronisława Wójcika, płk Antoniego Macioszka, władz samorządowych powiatu: starosty Józefa Smaczego i przewodniczącego Rady Powiatu Marka Paprockiego oraz prezydenta miasta Mielca Janusza Chodorowskiego, komendantów WKU, płk Józefa Pado, płk Zenona Kamińskiego, ppłk Andrzeja Sitko, ppłk Mirosława Ciesielskiego, dyrektora SCK Jacka Tejchmy, prezesów Zarządu Oddziału ZNP: Stanisława Karwackiego i Stanisława Rajdy, dyrektora SP nr 3 Adama Jastrzębia, dyrektorów PSM: Franciszka Wyżgi i Ryszarda Kuska, dyrygenta Chóru Nauczycielskiego „Akord” Pawła Lisa, dyrygenta Orkiestry Dętej SCK Grzegorza Ossaka. Szczególne słowa uznania i podziękowania należą się Bogdanowi Rojkowiczowi – prezesowi AWR „Korso”, za zielone światło dla artykułów o mieleckich wiarusach zamieszczanych w TR „Korso” oraz kolejnym redaktorem naczelnym: Jackowi Danelowi, Henrykowi Wyrostkiewiczowi i Małgorzacie Rojkowicz. W ciągu tych 30. lat mieleccy oficerowie, chorążowie i podoficerowie udowodnili, że bez wielkich sponsorów, ale przy dużym społecznym zaangażowaniu Zarządu Koła i członków oraz sympatyków żołnierzy Wojska Polskiego, można wiele osiągnąć. Decyzją Zarządu uroczystości jubileuszowe zaplanowano w czerwcu br.

Bronisław Kowalczyk



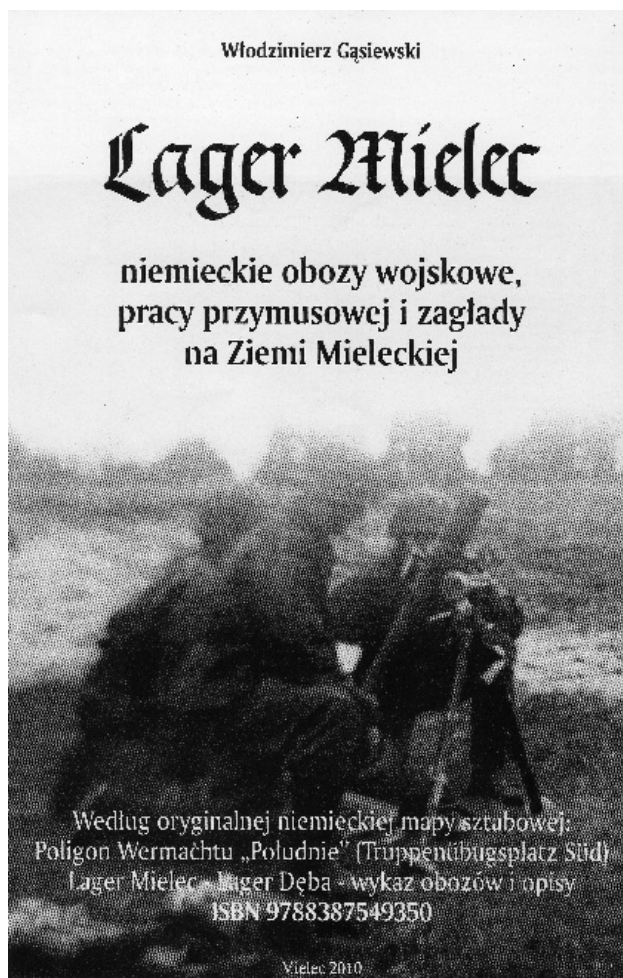
8 V 2000 r. Warty honorowe przed odsłonięciem tablicy na murze przy kościele św. Mateusza



Tablica pamiątkowa „Żołnierzom Ziemi Mieleckiej poległym za Ojczyznę” w Szkole Podstawowej Nr 3 w Mielcu, wg projektu kpt. Zdzisława Stachury, odsłonięta 13 V 1995 r.



Tablica pamiątkowa w 60. rocznicę wybuchu II wojny światowej 1939-1945. na murze przy kościele św. Mateusza w Mielcu, wg projektu mjr. Zdzisława Stachury, odsłonięta 1 IX 1999 r.



MAPA LAGER MIELEC

Jeśli chcesz wiosną, latem, jesienią, a może nawet i zimą wędrować po podmieleckich lasach, będących częścią prastarej Puszczy Sandomierskiej i jeśli chcesz, poza jej walorami naturalnymi odkrywać także jej dzieje, zwłaszcza te najnowsze, koniecznie musisz zaopatrzyć się w wojenną, niemiecką mapę sztabową, którą właśnie oferuje Agencja Wydawnicza „Promocja” w Mielcu.

Jednak mapa ta, to nie tylko kartograficzno-militarne odwzorowanie tego terenu, została ona wzbogacona w krótkie opisy oraz wykaz obozów, jakie urządzili tu Niemcy, później Sowietci, a potem jeszcze żołnierze LWP. Lasy te, mimo że tak bardzo spenetrowane zawierają jeszcze niejedną tajemnicę. Musiały mieć one szczególne znaczenie, jeśli odwiedził je m.in. feldmarszałek Erwin Rommel, szef SS – Heinrich Himler, a potem marszałek LWP Konstanty Rokossowski. Być może z naszą mapą je odkryjesz...

Można ją nabyć w niektórych księgarniach mieleckich, w naszej Redakcji, Mielec, ul. Mickiewicza 7 oraz w sklepie internetowym i na aukcjach z naszej strony:

www.promocja.mielec.pl

Zapraszamy

W. Gąsiewski

GRAWERSTWO
MIELEC, ul. Hetmańska 6
tel. 17 585 35 13
właściciel Józef Kardys

WYRÓB PIECZĄTEK
SZYBKO, SOLIDNIE I TANIO!
Zapraszamy od 7.00 do 17.00

LESTA
LOMBARD
Niskie oprocentowanie!
Pożyczki pieniężne pod zastaw
MIELEC, ul. Lwowska 4
tel. 17 583 09 18
tel. kom. 601 887 251

Mielecka STREFA KALENDARZE 2012
REKLAMA *Więści regionalne*
MIELECKA STREFA - WIĘSCI REGIONALNE - NADWISŁOCZE
PRASOWA KWARTALNIK MIELECKO-PODKARPACKI
NADWISŁOCZE
WIZYTÓWKI REKLAMOWE - KLASYCZNE - SKŁADANE
POLIGRAFIA ULOTKI - NOTESY - TECZKI - PAPIERY - PLAKATY - DRUKI ITP.
GADZETY CERAMIKA - TEKSTYLIA - DŁUGOPISY - KOMPLETY PIŚMIENNE
UPOMINKI METALOWE - ELEKTRONIKA

Agencja Wydawnicza **Promocja**
AWP

39-300 Mielec, ul. Mickiewicza 7
tel./fax 17 5831498 , tel. kom. 602 739 362

RAJ 17 583 53 35
Al. Niepodległości 5, Mielec
WYDRUKI I XERO A0 KOLOR
WYPOŻYCZALNIA DVD
DORABIANIE KLUCZY
raj.mielec@gmail.com

**KOREPETYCJE
Z MATEMATYKI**
na poziomie szkoły podstawowej, gimnazjum i liceum.
Przygotowanie do matury
rozwiązywanie zestawów maturalnych.
Telefon: 606 389 218

**KOMPUTEROWE
PRZEPISYWANIE**
PRAC MAGISTERSKICH, TEKSTÓW ITP.
WYDRUKI kolorowe i czarno-białe, SKANOWANIE
tel. kom. 606 389 218

KREDYTY
PROSTA HIPOTEKA DLA FIRM I SPÓŁEK NA OŚWIADCZENIE BEZ
DOKUMENTOWANIA DOCHODU NAWET DLA NOWO POWSTAŁYCH FIRM
DO 1 MLN ZŁ, KREDYT POD ZASTAW SAMOCHODU NA OŚWIADCZENIE
DLA FIRM ROLNIKÓW I PRACUJĄCYCH BEZ DOKUMENTOWANIA
DOCHODU I ZAŚWIADCZEŃ Z US/ZUS. HIPOTEKI NA OŚWIADCZENIE DLA
tel. 14 6813667, 501730095 CZYNNY OD 9-21

**NIE WYRZUCAJ KSIĄŻEK !!!
SKUP MAKULATURY
KSIĄŻKOWEJ !!!!!**

Także starych czasopism, map,
dokumentów, listów, kopert,
druków, dyplomów, znaczków,
pocztówek, umów, klisz,
zdjęć itp - prowadzimy
skup makulatury
książkowej
bardziej cenne pozycje
kupimy za gotówkę
lub przyjmujemy w komis.
Kupimy także płyty, kasety
magnetofonowe
i płyty kompaktowe



Kupimy lub przyjmujemy w komis
obrazy olejne, akwarele, ikony,
rzeźby i inne dzieła sztuki,
Poszukujemy różnych
antykwów i staroci.
Kupimy stare narzędzia,
militaria, zegary,
srebro, platery
porcelanę, starą biżuterię
i art. gosp. domowego.
Także patefony,
gramofony, radia i stare TV.

NIE SKUPUJEMY PODRĘCZNIKÓW DO SZKÓŁ PODSTAWOWYCH, GIMNAZJALNYCH I ŚREDNICH !

art. studio Mielec Starówka
galeria ul. Mickiewicza 7
antykwarjat tel.17 5831498; 602 776197, 602 739362

www.drukarniaautograf.pl/sklep

tel. 17 788 61 04
kom. 500 267 502

WYKONUJEMY:
ULOTKI
PLAKATY
FOLDERY
KALENDARZE
ITP.

ul. Gajowa 13
39-300 Mielec
drukarnia_autograf1@gazeta.pl

ERGO HESTIA[®] UBEZPIECZENIA

ODDZIAŁ GRUPY
Jerzy Wąs

MAJĄTKOWE, KOMUNIKACYJNE I ŻYCIOWE
UBEZPIECZENIA FIRM

BIURO ODDZIAŁU
Miejsce ul. Jagiellońska 3
tel./fax 17 288 81 11
Przynajmniej 8 11

ODDZIAŁ GRUPY
Miejsce ul. Wolności 27B
tel./fax 17 288 81 77
Główny prz. ul. Wolności 312

BIURO ODDZIAŁU
Miejsce ul. Poniańska 116
tel./fax 17 288 81 11
Przynajmniej 8 11

tel. kom. 608 317 231 e-mail: jerzy.was@ag.hestia.pl

CHŁODNICE KLIMATYZACJA



- CZYSZCZENIE TAPICEREK SAMOCHODOWYCH
- MECHANIKA POJAZDOWA
- FILTRY, OLEJE, SMARY, PŁYNY CHŁODZĄCE
- CZĘŚCI SAMOCHODOWE

REGENC - PIĄTKOWIEC 14A k/Mielca, tel. 17 585 31 19
kom. 602 756 640, 606 383 823, 694 737 718
www.regenc.com.pl

"DREW-BIK"
ZAKŁAD PRZEMYSŁOWY
DREWNIANY
Różniaty 87
58-310 Padow Narodowa
tel./fax +48 15 811 92 19
tel. kom. 604 105 319
www.drewbik.pl

Oferujemy:
- WIEŻBY DACHOWE
- PALETY PRZEMYSŁOWE
BUR, PYZORNIOWE
- TARCICE OBRZYMANA
I NIEOBRZYMANA
- ŚLĄTANY DREWNIANE
- SKRZYWNIE DREWNIANE
- PRZYSTANKI DREWNIANE

UBEZPIECZENIA

PZU ERGO HESTIA HDI
InterRisk WARTA
VIA - Insurance Group

RAJ Al. Niepodległości 5, tel. 17 583 53 35

DROZDOWSKI Zakład Metalowy Rok zał. 1949

Pława 118, 39-305 Borowa, woj. podkarpackie Poland
Zakład Pława: tel./fax: +48 17 58 155 95, 58 153 30
Zakład Borowa: tel./fax: +48 17 58 153 73

E-mail: zaklad@drozdowski.com.pl
www.drozdowski.com.pl

AUTOMATYCZNA PRZECINARKA DO METALU PA-240

Przecinarka została zaprojektowana na bazie produkowanej od wielu lat przecinarki PM-350. Została wyposażona w niezawodny hydrauliczny system podawania materiału pracujący na zasadzie zderzaka hydraulicznego. Zaciągnięta długość cięcia jest odmierzana w ruchu powrotnym inacza. Korrekta długości cięcia dozonywana jest za pomocą mikrośruby ze skalą 0,10mm. Zliczanie ilości cięć przebiega od zadanej ilości do zera, po czym cykl zostaje zakończony, co jest sygnalizowane na wyświetlaczu.

